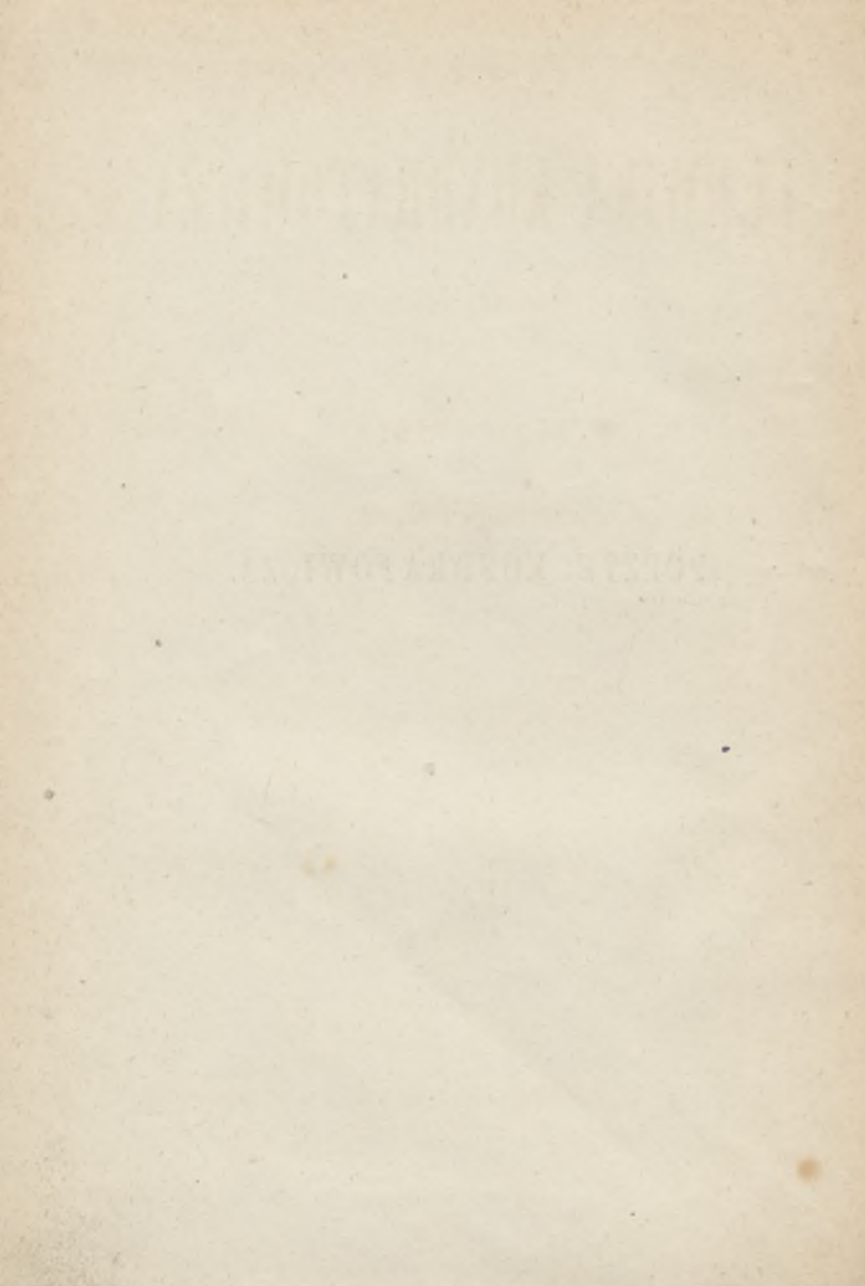






POEZYE KONDROTOWICZA.



POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI)

WYDANIE ZUPEŁNE

NA RZECZ WDOWY I SIEROT AUTORA

TOM V



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY U GEBETHNERA I WOLFFA

—
1872

200070



43580

Дозволено Цензурою.
Варшава, Января 10 дня 1871 г.

W Drukarni J. Ungra, Nowolipki Nr. 2406 (3).

D 15087/52

DZIEŁA ORYGINALNE.

DZIAŁ II.

UTWORY DRAMATYCZNE.

HRABIA NA WĄTORACH.

KROTOCHWILA WIERSZEM Z XVI WIEKU.

„Comes de Wątory

„Jeden kmięć a trzy dwory.“

Rysiński. *Proverb. Cent. VI.*

OSOBY.

WĄTORSKI, hrabia na Wątorach.

HANNA, jego córka.

STANISŁAW PACHOŁOWIECKI, młody rycerz nizkiego rodu.

BALTAZAR, dworzanin Wątorskiego.

NEFTAL, lichwiarz.

Rzecz w wieku XVI, w starym zamku Wątorach.

SŁÓWKO OD AUTORA.

Nieraz zadawaliśmy sobie pytanie: dla czego przeszłość Polski, tak żywa, ruchawa, dramatyczna, tak mało dostarcza materyałów do powieści, poezyi, a jeszcze mniej do dramatu naszym pisarzom? Zako-
chani w effektach francuzkiej literatury, ubolewając nawet, że nasze obyczaje nie dają osnowy do kompozycyi tak bogatej, jak Żyd wieczny lub Monte-Christo, zapominamy, że w kronikach własnych

mamy niewyczerpane kopalnie, z których geniusz Szekspira lub Walter-Scota cudaby stworzył.

Otwórzmy na traf którąś z naszych kronik: co tam ruchu, co śmiechu dla komedyi, co krwi dla dramatu, co scen rzewnych dla poematu, co zdrowej myśli, mogącej służyć za konkluzję pocziwego utworu! Co za malownicza rozmaitość w obrazach miejsc, w dykeyi, strojach, wyobrażeniach działających osób!

Za temat obecnej krotchwili wzięliśmy przysłowie zapisane u Rysińskiego: *Comes de Wątory*, jeden kmieć a trzy dwory, wybrawszy do niej chwilę historyczną, kiedy Stefan Batory trupiejące lub blizkie przerodzenia się w olbrzymi potwór możnowładztwo polskie chciał zastąpić świeżą krwią i świeżą zasługą.

Bo kiedy jedna, bogata część arystokracji rodowej olbrzymiała, druga dumna a słaba dogorywała w swém nicestwie, gdyż główne stanowiska w kraju były zajęte, a zajmować podrzędne zdało się jej być rzeczą uwłaczającą swęj dostojności. Wyobrazicielem tej pasożytnej kasty wybraliśmy wyczytaną u Rysińskiego postać *Comesa de Wątory*; Stanisław zaś Pachołowiecki, postać historyczna, przedstawia nowy, świeży element ludzi osobistej zasługi, którymi król Stefan pragnął licznie tron swój otoczyć. Na przeciwieństwie tych dwóch charakterystycznych elementów osnuliśmy obecną krotchwilę, dla której zamawiając pobłażliwość czytelnika, uroczyscie oświadczamy, że nie mieliśmy na celu okrywać śmiesznością zasług przodków, lecz tylko wykazać nicestwo dumy, opartej na samych rodowych tradycjach bez osobistej zasługi. Przedmiot zaprawdę niewinny, — ho dzięki

Niebu, w nasze czasy nie masz prawie postaci, w którejby można upatrzeć podobieństwo do Hrabiego na Wątorach.

HRABIA NA WĄTORACH.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Izba uboga obwieszana starymi portretami, w głębi herb srebrny. Przy skromnym stoliku hrabia WĄTORSKI, ubrany w powszedni kub'ak, pisze, odczytuje co napisał i mówi sam do siebie:

Skreśliłem nasze herby, dawnych dóbr ogromy
I nasze skojarzenia z najpierwszemi domy:
Przedmiot zaprawdę piękny, materya bogata.
Teraz piszmy o cnotach nieboszczyka brata.

(Zamyśla się.)

O cnotach! . . . jego cnoty . . . on miał swoje cnoty;
Lecz to ciche, domowe, zbyt skromne z istoty,
Rozwódzić się nie można, bo śmiechy nie miną. . .
Na przykład: lubił wino... ale dobre wino...
A że na drogie wina niezawsze stawało,
Raczył się cienkiem piwem i prostą gorzałą.
Ale taką moc duszy czyż ocenią prości
W człowieku wysokiego domu i zacności?

Powtóre: ród swój kochał i szanował święcie,
O zacności swych przodków czyste miał pojęcie.
Wiedział, z kąd Wątorowie swój proceder wiodą,
Że jeden był hetmanem, drugi wojewodą,
Że czterej kasztelani, dwaj byli biskupi,

Wiedział kim jest — i w motłoch nie mieszał się głupi...
 Kiedyśmy podupadli, gdy dobra książęce
 Koleją nędznych czasów przeszły w obce ręce,
 Czyż miał służyć krajowi? gdzie??... w królewskim
 dworze?

Lub w chorągwi ussarskiej — porucznikiem może?
 Kędy stanowią komput plebejusze sami
 I gdzie jego przodkowie byli hetmanami...
 O nie! hrabia Wątorski, *comes de Wątory*,
 Nie zdołał się poniżyć jeszcze do téj pory,
 I na przyszłość poniżyć nie będzie nas łatwo...

(Staje przed portretem. W ciągu następnego monologu wchodzi Baltazar w szarej lisowej kurtce i w rycerskim hełmie, a niepostrzeżony staje na stronie.)

Bo wy! przodkowie nasi, czuwacie nad dziatwą.
 Hetmanie! tys zastępy Bolesławów wodził,
 Kasztelanie! tys przecię z Tęczyńskiej się rodził,
 Wojewodo! ty byleś poufnym Jagielly!
 Czyżby wasze zaszczyty na zawsze zginęły?
 A my, waszego szczepu szacowne gałązki,
 Poszli na służebnictwo lub w nierówne związki?
 O nie!! ja będę wierny mych przodków gromadzie!
 Śmierć brata nowe na mnie obowiązki kładzie.
 O! ja z chlubą przyjmuję ten ciężar zaszczytny:
 Podtrzymać na mych barkach nasz dom starożytny,

(Udaje jakby co dźwigał.)

I herb sławny na świecie, co go nic nie plami,
 I ten zamek, kwitnący...

(Postrzega Baltazara i cofa się.)

SCENA DRUGA.

WĄTORSKI I BALTAZAR.

Baltazar.

Mchem i pokrzywami.

Przedawszy go na cegłę, choć dziś cegły tanie,
 Może z dziesięć talarów dałby kupiec za nie.
 Niechby te brzydkie gruzy oczyścili żydzi;
 Bo już tutaj i puszczyk zamieszkać się wstydzi.

Wątorski (*ze zgrozą*).

Przedać zamek Wątory!... gdzie dziady... pradziady!..
 Tylko takie plebejusz może dawać rady!
 Toż najdroższa spuścizna po umarłym bracie —
 Jam dzisiaj głową rodu!

Baltazar.

A czapki nie macie

Do nakrycia téj głowy. Z wyprzedaży cegły
 Toćby się zapłaciło jakiś dług zaległy,
 Odnowiło oponczę, z której barwa znika.
 Zresztą... potrzeba odbyć pogrzeb nieboszczyka,
 A tutaj niema grosza.

Wątorski (*groźnie*).

Co??

Baltazar.

Pieniądzy niema.

Wątorski.

Zuchwalcze! po to stoisz przed memi oczyma,
 Abyś mi się urągał!

Baltazar *(pokornie)*.

Broń mię Jezu Chryste!

Wątorski.

Wyprzedawać Wątory, to gniazdo ojczyste,
Gdzie tyle starych orłów wylęgło się, wzrosło...

Baltazar.

Ależ okna pobite!

Wątorski.

Czyż moje rzemiosło
Naprawiać stare szyby?...

Baltazar.

Lecz ściana się wali.

Wątorski.

Z pod tych ścian może nieraz wrogowie zuchwali
Pierzehli gdy ich odparli ot ci dzielni wodze!

Baltazar.

A dzisiaj tu puszczyki stoją na załodze,
A trzyma w oblężeniu od przeszłej niedzieli
Sroższy od nieprzyjaciół zastęp wierzycieli.

Wątorski.

Rozkaż im niech się cofną: bo przywołam strażę
I z groźnych bastyonów ognia dawać każę!

Baltazar.

A! jest stara armatka, chociaż dla popłochu
Możnaby z niej wystrzelić — ale niema prochu;
A strażę... dwóch pachołków, — wszakże pan pamięta,
Pojechali do lasu po drzewo na święta.

Wątorski *(patrząc na strój Baltazara)*.

Co to jest, Baltazarze? niechaj mi kto powie:

Kurta lisia na grzbiecie, a kirys na głowie,
Jakby głowa olbrzyma na ramionach karła!

Baltazar.

Nie, miłościwy panie! czapka mi się zdarła:
Znalazłem hełm żelazny, zardzewiały srodze,
Włożyłem go na głowę i tak sobie chodzę:
To mocniejsze od sukna, i płowieć nie zacznie,
I ochroni od zimna.

Wątorski.

Ależ to dziwacznie,
Mieszać ubiór cywilny z rycerską ozdobą!...
Słuchaj! chcę uroczyście rozmówić się z tobą.

(*Siada.*)

Gdy brat mój wiekopomny już spoczywa w grobie,
Piastuję zaszczyt domu w mój jednej osobie;
A ten, który się hrabią na Wątórach zowie,
Niegorszy niż Ostrogscy lub Radziwiłłowie.
Koło nich świetny orszak zawsze się kojarzy,
Mają marszałków dworu, mają sekretarzy,
Dowódców chorągiewnych, łowczych i dworzany;
A chociaż los uboższy w podziale nam dany,
Czuję co jestem winien mych przodków zacności,
Nie dam się sponiewierać jak plebeje prości,
Chcę mieć dwór — a że nie mam utrzymać go za co,
Ty wierny Baltazarze, za pomierną płacą,
Wszystkie dworskie urzędy, jak rozkażę tobie,
Będiesz pełnił kolejno przy mojej osobie.
Ucałuj moją rękę.

(*Wyciąga rękę, którą Baltazar całuje.*)

Otoż do wyboru,
Jesteś giermek, koniuszy i marszałek dworu,

Tys piwniczny, choć zwykle przestaję na wodzie,
Tys dowódca sił zbrojnych w moich przodków grodzie.

Baltazar.

A gdzież te zbrojne siły?

Wątorski.

Nie masz... mniejsza o to!

Baltazar.

Ależ nie mamy koni, pan chodzisz piechotą,
Jakże będę koniuszym?

Wątorski.

Nie frasuj się srodze:
Będziesz pilnował kija, z którym zwykle chodzę.
Lecz proszę mieć w pamięci, bo to rzecz nielada,
Że do każdej posługi inszy strój wypada.
Kiedy zawołam giermka lub dowódcy straży;
Przywdziewaj hełm i pancerz — ten strój ci do twarzy.
Gdy krzyknę: *Héj, pacholcy!* albo: *Jest tam który?*
Zajawisz się przedemną w téj kurtce z lisiury.
Jeśli zaś w takich słowach dam rozkazy moje:
Pana marszałka dworu prosić na pokoje!
Przywdziejesz nowy żupan z futrem popieliczém
I staniesz z ukłonami przed mojem obliczem.
Gdy wołam piwnicznego, miej kluczów pęk mnogi,
A gdy będziesz koniuszym, przypinaj ostrogi.

Baltazar.

Czyż, miłościwy panie, na każdym urzędzie
Płaca moja podwajać, potrajać się będzie?

Wątorski

Potém o tém pomówim — jeśli będzie za co,
Wątorsecy hojną dłonią za zasługi płacą.

Pomnij być wiernym stróżem dostojnego progu.
Odejdź...

(Baltazar odchodzi.)

No! urządziłem mój dwór dzięki Bogu;
Zajmiemy się pogrzebem nieboszczyka brata.
Jednak nieco utrudza to życie magnata...

(Klaska w ręce.)

Prosić rządcę dóbr moich!

Baltazar *(za sceną).*

Czy to mnie pan woła?

Wątorski *(z gniewem).*

Kara boża! ucz, gadaj—daremna mozola!
Och! plebeje, plebeje! o głowo ty, głowo!
Mówiłem ci przed chwilą... powtarzam na nowo:
Idź, zawołaj sam siebie, włóż strój jak do gości,
I przychodź jako rządcą moich posiadłości.

Baltazar *(za sceną).*

Panie rządcu! pan hrabia wzywa na pokoje;
A proszę się ustroić.

(Innym głosem:)

Jakże się ustroję,

Gdy mój kubrak święteczny, choć lichy, dziurawy,
Musiałem jeszcze latem oddać do zastawy?
Pilno mi było grosza...

Wątorski.

To skaranie boże!

Baltazar *(wychylając głowę).*

Słyszałeś pan, że rządcą stawić się nie może;
Tymczasem, jak pacholek, zwiastuję wam gościę:
Jakiś rycerz przyjechał.

W ą t o r s k i.

Uprzejmie go proście.

Każdy gość, co zawitał w te odwieczne ściany,
Na zamku moich przodków mile był widziany.
Słuchaj, mości marszałku! przynieś miód i wino!
Choćby ci przyszło stągiew wypróżnić jedyną,
Dla gościa, co jest w domu, wszystko, co jest w duszy...
Taki zwyczaj mych przodków...

Héj, panie koniuszy!

Widzę tam dwa rumaki — wziąć do stajni obu,
Ostatnią miarkę owsa wysypać do żłobu. —
Hola! giermek! pójsz gościa wprowadzić w te progi.

B a l t a z a r (biegając niespokojnie po komnacie).

Moja szuba! mój pancerz!... gdzie moje ostrogi?
Gdzie moja biedna głowa?... sam już nie wiem całkiem,
Czy jestem Baltazarem, giermkim, czy marszałkiem?
Ot znalazłem ostrogę... jest hełm... ot i futro!...

(Ubiiera się w szubę, hełm i ostrogi i wylatuje z komnaty).

W ą t o r s k i.

Gość... rycerz... niechaj u nas zabawi przez jutro:
Bo jutro pogrzeb brata — na smutnym obrzędzie
Niech uczei dom Wątoryów, niechaj świadkiem będzie.
Prosić go!.. nie!.. czekajcie!... Héj, marszałku dworu!

(Baltazar wraca się.)

To nie jest dom szpitalny lub mury klasztoru,
Ale zamek Wątory... Ów rycerz z podróży,
Nim panu tego zamku swe służby wynurzy,
Może zechce się przebrać, albo spocząć nieco.
Dać mu pokój gościnny — niech ogień naniecą;
Wszak podobno jest komin w izdebce na dole.
Czy on ma swoich ludzi?

B a l l a z a r.

Jest przy nim pachole.

W ą t o r s k i.

Dobrze... toć mu usłuży... znać gościowi dacie,
Ze czekam za godzinę na górnej komnacie.

S C E N A T R Z E C I A.

W ą T O R S K I, H A N N A.

H a n n a (*wbiegając prędko*).

Ojcie! nieco kłopotów Niebo nam ulżyło:
Przyjechał Stach z wyprawą...

W ą t o r s k i.

To mi wielce miło.

Ale nim go powitam, muszę najprzód szczerze
Dzisiejsze moje myśli otworzyć w tej mierze.
Słuchaj.

(*Siada z powagą.*)

Rzecz ci wiadoma, że sam Stwórca świata
Podzielił świat na kmiecia, szlachcica, magnata.
A pomiędzy magnaty rozliczne są stopnie:
Jeden łaską królewską swego szczebla dopnie,
Drugi zasługą wojny lub bogatym wianem
Wychodzi z prostej szlachty a staje się panem.
To jeszcze rzecz niewielka: — bo tą samą drogą
Zostać i proste kmiecie szlachcicami mogą.
A jużci... dla bogactwa i tamtych świat ceni...
Ale są jeszcze inni — wyżej urodzeni,
Wyżej... i jeszcze wyżej... słowem tak wysoko,

Że ich początków ludzkie nie doszedzi oko,
 Nad których rodosłowem chociaż dniem i nocą
 Heraldycy mozolnie swoje czoła poca,
 A jednak ich nie mogli zgłębić do téj pory...
 Na przykład: Wątorowie — *Comites Wątory*...
 Chcesz poznać ich odwieczność, czytaj foliały,
 Co mi się dziś po bracie spuścizną dostały,
 Spisane jego ręką do ksiąg starych szczytów,
 Oparte na powadze starych dokumentów...
 Patrz na ten herb, ze srebra czystego wykuty:
 Na nim lwy, słońca, gwiazdy, orły i koguty,
 Na głównej tarczy beczka, a nad nią dwa klucze.
 Słuchaj, ja cię znaczenia tych herbów nauczę.

Hanna.

Lecz ojczcie, Stach przyjechał...

Wątorski.

Nie myśl tam o Stachu:
 Córka hrabiów Wątorskich w swoich przodków gmachu
 Ważniejszymi rzeczami niech zaprzęta głowę,
 Aby zdołała poznać swe dzieje rodowe.

(*Wskazuje tarczę.*)

Patrzaj na ten herb srebrny: oto beczka wina,
 Nad nią na krzyż dwa klucze, berło je przecina;
 Tym herbem, jak uczony Anselmus dowodzi,
 Pieczętował się Noe jeszcze w swojej łodzi.
 Jafet, średni syn jego — patrz na lewą stronę —
 Już nad beczką miał w herbie hrabiowską koronę;
 A u beczki, rzeźbiarza ręką pracowitą,
 Czy uważasz? Wątory wyraźnie wryto:
 Więc i ślepy odgadnie, że od tamtéj pory
 Już się pisał Wątorski — *Comes de Wątory*.

Na inny czas odkładam ciąg wywodzić prosty
 Od Jafeta do Pawła rzymskiego starosty,
 Który był prapradziadem mego prapradziada,
 A po którym ów tytuł prosto na mnie spada...
 Dość powiedzieć, że m krewny z najpierwszemi władce,
 Z Rumulusem po ojcu, z Cyrusem po matce.
 Tutaj znajdziesz ich herby — na dziś o tém dosyć.
 Poczniéjmy ród Wątorów do Polski przenosić:
 Jeden z Wątorskich, Sławosz — rodził się z królowny,
 Przydał do herbu ówieczek, bo był Lecha krewny;
 Drugi, jak świadczy powieść mgłą wieków pokryta,
 Ten sam zamek Wątory wziął od Ziemowita,
 Położył fundamenta rodowej kolebki,
 Pieczętował się beczką — a w niej cztery klepki.
 Odtąd na nas godności płynęły jak z wodą:
 Wątorski był hetmanem, drugi wojewodą,
 Trzeci najpierwsze krzesło zajmując w senacie,
 Z Władysławem Jagiełłą był za panie bracie;
 Był hetman, co zastępy Bolesławów wodził,
 A miecznik, moja pani, z Tęczyńskiej się rodził:
 Kilku było biskupów, czterech kasztelanów....

Hanna.

Lecz, ojczcie, mamy gościa...

Wątorski.

Dobrze się zastanów,

A sama łącno uznasz....

Hanna.

Ależ tam gość czeka!...

Wątorski.

Właśnie do tego punktu przyszedłszy z daleka,

Pomówimy otwarcie:—

Świat zmienia się skoro,
 I najpierwsze rodziny upadek swój biorą,
 Jeden dom musi ginać—drugi łaski chwyta,
 Jak na przykład w tych czasach Zamojszczyk Jelita,
 Który został za jedném faworów ujęciem
 Hetmanem, i kanclerzem, i królewskim zięciem—
 Wtenczas gdy ja, potomek tak świetnego przodka,
 Miałem ubogi dworek i jednego kmiotka.
 Mój brat, a twój stryj, Hanno, po którym dziś płaczem,
 Także musiał przestawać na chlebie żebraczym;
 Przedane były włości i ziemne obszary,
 Ale posiadał dworek i ten zamek stary,
 Kolebkę swego rodu. Ja, młodszy syn domu,
 Nie taję się, żem bratu zazdrościł kryjomu,
 Iż on mieszka na zamku, ja w drewnianej budzie.
 Wiedziałem, ktośmy tacy, że nie prości ludzie,
 Że się żaden Wątorski służbami nie zmazał;
 Lecz téj szacownej księgi brat mi nie pokazał:
 Więc niejasne pojęcie mając o swym rodzie,
 Marzyłem jak plebejusz na skromnej zagrodzie.
 I przyznam się, że wielce byłem ucieszony,
 Gdy Stach Pacholowiecki zawitał w te strony,
 Syty wojennej chwały, i młody, i hoży;
 Rad byłem, kiedym widział, że starania łoży.
 By pozyskać twą rękę. Ja marzyłem skromnie,
 Kiedy zamek Wątory nie należał do mnie:
 Bo choć miła dla serca dostojność rodzima,
 Brat ma syna—myślałem—ten syn ją podtrzyma.
 Lecz dzisiaj.. dzisiaj, Hanno, insza nasza sfera:
 Umarł syn mego brata—dzisiaj brat umiera,
 A ja na czele rodu;—póki jeszcze tlejem,

Nie dam ci się niesławnie połączyć z plebejem.
 Patrz: zamek naszych przodków w gruzy rozsypany:
 Ty musisz świetnym związkiem podeprzeć te ściany.
 Nie dla ciebie na męża skromnej szlachty dziecię:
 Są Górkowie, Tęczyńscy, Zborowscy na świecie;
 Niejeden lew sarmacki, jak pokorne jagnię
 Z świetnym domem Watorów złączyć się zapragnie;
 A że się już na tobie nasze gniazdo kończy,
 Niechaj z naszym nazwiskiem swe nazwisko złączy.
 Zabłyśnie stara świetność na watorskim dworze,
 A wtedy...

SCENA CZWARTA.

CIŻ I BALTAZAR.

Baltazar (*wchodząc*).

Gość was pyta: czy się widzieć może?

Watorski.

Prosić go.

Baltazar.

Pleban przysłał dzwonnika od siebie,
 Pomówić z Waszą Cześcią o przyszłym pogrzebie,
 I rachunek wydatków... a rachunek suty...

Watorski.

Mój Boże! a ja jestem z szeląga wyzuty!
 Chciałem pogrzeb uświetnić, sprosić wielu gości...
 Co tu począć?...

(*Chodzi niespokojny po scenie.*)

Zastawię moje posiadłości,
 Powinni dać pieniądze... to środek jedyny...

Baltazar.

Jeden kmieć, dwa folwarczki i zamku ruiny

To całe wasze hrabstwo—długów co niemiara,
Lichwiarze na to wszystko nie dadzą talara.

(*Kłania się.*)

Niech to będzie, co powiem, bez pańskiej obrazy...

Wątorski.

Dać cyrograf na sumnę większą o dwa razy,
Zapewnić wielką lichwę...

Baltazar.

Nie dadzą i kwita!

Wprawdzie tutaj z pieniędzmi jest Izraelita,
Ale jego warunki ciężkie, niespodziane.

Wątorski.

Na wszystkie się podpiszę, na wszystkie przystanę!
Byle hrabia Wątorski, mój brat pierworodny,
Był pogrzebion z przepychem, którego jest godny,
Byleby jego trumnę suto ozdobiono
Szkarłatnym aksamitem z hrabiowską koroną,
Byleby czarne kiry obito w kościele,
Byleby świec jarzących było bardzo wiele,
Byleby kaznodzieja, z karty, co mu skręślę,
Starożytność Wątorskich wypowiedział ściśle,
Byleby...

Baltazar.

Ale trudno.

Wątorski.

Cóż?

Baltazar.

Nadzieja krucha:

O żadnym cyrografie lichwiarz ani słuca,
Chce po prostu słuźalec szkaradnej mamony.

Wątorski.

Cóż? zakupić w pół darmo przyszłoroczne plony?

Mniejsza o to... pomyszę, że mię okradł złodziej.
Już się zgadzam na wszystko.

Baltazar.

Nie... pan się nie zgodzi.

Wątorski.

Czegoż chce??

Baltazar.

Nie śmiem mówić...

Wątorski.

No! powiadaj śmiało!

Baltazar.

Chce po prostu wziąć w zastaw... ot tę tarczę białą.

(Wskazuje tarczę herbową.)

Mówi, że to ze srebra... sto talarów warta...

Zabytek lepszych czasów...

Wątorski *(z gniewem)*.

A idźże do czarta!

Mości marszałku dworu! żart trochę za gruby!

Baltazar *(nieśmiało)*.

On mówi, że to czyni... że w tém ma rachuby...

Że pan ceniąc ów klejnot, prędzój go wykupi...

Wątorski *(z gniewem chodząc po scenie)*.

Powiedz mu: że on głupi!... i sam jesteś głupi!

Ja... herby moich przodków... o hańba! ohyda!

Miałbym na jedną chwilę zastawić u Żyda?!

Stemmata Romulusa... Jafeta... Tankreda...

Choć za tysiąc talarów?!!

Baltazar.

Nie, on tyle nie da:

Widział u nieboszczyka co warta ta sztuka,

A jego, panie hrabio, już nikt nie oszuka.

Powiada... że tój tarczy każdą część pamięta,
 Że ten kogut na hełmie... to blacha wydęta;
 Powiada, że nieboszczyk potrzebując grosza,
 Srebrnego na żelazny zamienił kokosza;
 Powiada...

Wątorski (*po namyśle*).

Dosyć tego! Bóg wie o czém gwarzYM.
 Pójdę sam się rozmówić z niegodnym lichwiarzem,
 Może zdołam wyjednać warunki łaskawsze...

(*Do Hanny z cicha:*)

Ty, Hanno, przyjmiesz gościa — lecz zimniej niż zawsze;
 Sama go nie osmielaj i ja nie osmielę:
 Hrabianka na Wątorach dziś wyższe ma cele.
 Wkrótce po twoją rękę — ot może jak z chmury,
 Przyjedzie Wiśniowiecki lub Zborowski który...
 Panie marszałku dworu! proś gościa do sali.
 Héj, służba! Baltazarze, niechby wina dali.
 Ja tu zaraz powrócę...

(*Do Hanny:*)

Jeśli on nieznacznie
 O dawniejszych uczuciach pomrukiwać zacznie,
 Niech go spotka wzrok chłodny, i taki ponury,
 Aby już więcej nie śmiał powracać w te mury.
 Tak chcą twoi przodkowie.

(*Odchodzi z Baltazarem.*)

SCENA PIĄTA.

Hanna (*sama, rzuca się na krzesło z boleścią*).

Nie sposób!.. nie sposób!..

(*Po chwili:*)

Czekać tu na przybycie znakomitych osób??

Na co mi znakomitość??... co to wszystko znaczy?
 Dla czego się dziś ojciec z przodków tak junaczy?
 Co znaczy herb ze srebra i ciąg rodu długi,
 W obec młodego czynu i świeżej zasługi?
 Jak równać pleśń do kwiatu?.. O Boże mój, Boże!
 Ja kocham Stanisława—on wiedzieć to może;
 Bo kiedy ztąd odjeżdżał na pole swój chwały,
 Musiał dostrzedz, żem blada, że mi ręce drżały;
 Bo głosem takim ufnym, rzewnym mimo chęci:
 „Hanno!“—mówił—„zechciejcie chować mię w pamięci.
 „Tam w boju tyle śmierci czyha na rycerze,
 „Niechaj wasza modlitwa mojej głowy strzeże!...“
 Łzy mi w oczach stanęły — jam rzekła Stachowi:
 „Dobrze, będę się modlić... wracajcie nam zdrowi!...“
 Modliłam się codziennie, serdecznie a skrycie,
 I może mu na wojnie wymodliłam życie...
 A dzisiaj, gdy powraca, gdym w sercu tak rada,
 Czyż modłów, czyż radości zaprzec się wypada?..
 Mamże się samęj siebie okazać niegodną?
 Kłamać własnemu sercu i przyjąć go chłodno?..
 Dobrze! jeśli chce ojciec, jeśli chcą przodkowie,
 Usta skłamią nieczułość... lecz wzrok — prawdę powie...

SCENA SZÓSTA.

HANNA, STANISŁAW (*w rycerskim stroju*).

Stanisław.

Witajcie, krasna Hanno! czołem wasze progi!

Hanna (*podając mu rękę, ze źle ukrytą obojętnością*).

Panie Pachołowiecki! witajcie nam z drogi!...

Jakże się powodziło?

Stanisław.

Dobrze, jak widzicie:

Bóg wśród tysiącznych śmierci ocalił mi życie.
Czułem waszój modlitwy skuteczne wołanie,
I wam, Hanno, przychodzę podziękować za nie!
A jakże wasze zdrowie?... Tak jesteś wzruszoną...

Hanna.

Płakałam... stryj mi umarł...

Stanisław.

A dziś pogrzeb pono.

Wierzcie mi, biorę udział w każdej waszój szkodzie,
A każda wasza boleść żywo serce bodzie.

Hanna.

Dziękuję wam za udział i zupełnie wierzę.

Stanisław.

A wasz ojciec?

Hanna.

Pogrzebem tak zajęty szczerze,
Tyle różnych kłopotów w kościele, we dworze,
Że ledwie za godzinę powitać was może...

(Milczenie.)

Stanisław.

Jakto? Hanno, słyszałem tu w poblizkiej chacie,
Że wasz dworek nad rzeką na zawsze rzucacie?
W tak cudném położeniu, przy błoni, na górze,
Kędy lipy w ogrodzie rozrosły się duże,
Gdzie na chłodnym wietrze, nad rzeczną odnogą,
Błąkać się tak wesoło, oddychać tak błogo!
Czyż tamtego zacisza było wam niedosyć,
Że w te ciasne zwaliska chcecie się przenosić?

Tu wszystko wieje grobem, stęchlizną i pleśnią,
 Jakież więzienne myśli do głowy się cieśnią,
 Tu wolnego oddechu dla piersi nie złowię...

Hanna.

Ten zamek spadł po stryju—tu nasi przodkowie
 Mieszkali w dawne czasy. Murom, co dziś kwitną,
 Mój ojciec chce przywrócić świetność starożytną...
 Taka jest wola ojca...

(*Milczenie.*)

Stanisław (*do siebie*).

Boże! co za zmiany!

Gdzie ten wyraz radości na twarzy rozlany,
 Którym bywało wita, gdy ku niej przychodzę?..

Hanna (*do siebie*).

Och! jak ten ciężki przymus dolega mi srodze!
 Lecz taka wola ojca...

(*Po pauzie, głośno:*)

Od tak dawniej chwili,

Gdzieżeście przebywali? i coście czynili?

Nie było o was słyhać.

Stanisław.

Bo niegłośne sprawy.

Mielecki, wielki hetman, był na mnie łaskawy,
 Przy nim z orężem w ręku, z przyłbicą na czole,
 Uganiałem Tatary, co łupią Podole.
 Jakież to piękne życie... lecieć w bój otwarty,
 Bezpieczen... bo modłami życzliwemi wsparty!
 Pod wodzem doświadczoneym, w ustawicznym trudzie,
 Piersią zasłaniać wioski, gdzie bezbronni ludzie,
 W pięknych jarach i stepach uwijać się żywo,
 Puścić konia jak wicher za hordą błędną,

Wpaść na cały ich tabór, odebrać zdobycze,
 I z jeńców rozwiązywać więzy niewolnicze!
 Iluż błogosławieństw nagradza się praca,
 Gdy się matce stroskanéj jój dziecię powraca!
 Gdy starzec, co w niewoli miał już umrzeć pono,
 Wyzwolony powita swą wioskę rodzoną,
 A z płaczem przywoławszy swe wnuki i dzieci,
 Za swojego wybawcę modlić się poleci,
 I na chleb swój zaprosił.. Jakże miło potém
 Spocząć na twardém siodle, pod prostym namiotem!
 Jakie sny pełne nieba, bez skazy, bez plamy,
 Tylko rzewne tęsknotą... po tém... co kochamy!..

Hanna (do siebie z rozrzewnieniem).

Dawni ludzie musieli żyć taką zasługą:
 Cóż za dziw, że ich wnuki chlubią się tak długo
 Swém piękném pochodzeniem?.. Lecz chluba daleka
 Być prawnukiem z prawnuków wielkiego człowieka,
 A piękniejszą i świętszą ten musi mieć postać,
 Kto nie licząc swych przodków, sam wielkim mógł zostać.

Stanisław.

Potém hetman Mielecki jechał na Wołoszę,
 Więc i ja się do niego pod chorągiew proszę;
 I tam walcząc z Bohdanem na Iwona imię,
 Ważniejszy otrzymali zwycięstwo w Chocimie.
 Obok Ciołka, Herburta, Czuryły, Temruka,
 Poznałem co jest bojów regularnych sztuka.
 Bóg dozwolił prowadzić mój zawód dostojnie,
 Wzbogacił doświadczeniem i łupem na wojnie.
 Zyskawszy nieco sławy—wróciliśmy zdrowi
 Oddawać nowe służby Polsce i królowi.
 Wielkie dla nich me serce obowiązki chowa:

Bo mię sam Zygmunt August i sama królowa,
Kiedy jeszcze za ledwie dzieckiem być przestają,
Posłali dla nauki w zagraniczne kraje.

Tamem się pilno uczył rzeczy tu nieznanej:

Poznać budowę fortec, rysować ich plany,

Poznać sztukę mierniczą, jak się plany biorą,

I pisać różnym pismem kunsztownie a skoro.

Wdzięczność za tyle nauk mając przed oczyma,

Choć Zygmunta Augusta na świecie już niema,

Nie czułem się spokojny, aż mój dług wypłacę,

Dworowi królewskiemu poświęcając pracę.

Król Stefan był przychylny i przyjąć mię każe

Między Jego Królewskiej Mości sekretarze,

Gdzie przy boku kanclerza, na dostojnym dworze,

Pożyteczną zasługą odznaczę się może...

Hanna (na stronie).

Zawsze praca... zasługa... wciąż o jednem marzy...

O! jakże młodzieńcowi taka myśl do twarzy! —

A jednak, on w tych myślach za nadto ugrzęzły,

Zerwał inne ze światem łączące go węzły:

Na świetnym dworze króla, sławny i bogaty,

Może już nie pamięta co kochał przed laty.

(Głośno:)

A jakże tam w Krakowie wasz czas przepędzacie?

Stanisław.

Przy pracy lub na służbie w królewskiej komnacie...

A kiedy się unużę pracą nieustanną,

Idę za miasto dumać... dumać o was, Hanno!

A wy? czy choć niekiedy o mnie przypomnicie?

Hanna.

O panie Stanisławie! u nas insze życie:

Tu niema świetnych zabaw, jak u dworu bywa,

Tutaj trąba bojowa dumań nie przerywa,
 Wiejska cisza, modlitwa i piękna przyroda
 Żadnej do roztargnienia zřeczności nie poda,
 Kółko jednych przedmiotów ciągle nas oplata,
 Jednemi wspomnieniami żyjem długie lata,
 A kiedy smutno sercu i łza w oczach stoi,
 To wspomnienie przychodzi i smutek ukoj.
 Miło nam noc bezsenną przemarzyć w ukryciu,
 I długo śnić na jawie o dawniejszém życiu...

S t a n i s ł a w.

Hanno! wy moje szczęście spełniacie w tój dobie...
 Jednaką nas tęsknota ciągnęła ku sobie:
 Kiedy byliśmy całym rozdzieleni krajem,
 Myśli nasze ku sobie zbiegały się wzajem...
 Więc Hanno!.. jeśli wola, gdy serce bez zmiany,
 Odnówmy naszych wspomnień ciąg niezapomniany!

(Z zapalem biorąc jój rękę:)

Dajcie mi waszą rękę, i dzisiaj, w tój chwili,
 Zamieńmy w rzeczywistość to, cośmy marzyli!..

H a n n a *(cofając się).*

Stanisławie.. ja nie wiem.. na zawsze jam wasza;
 Ale dziś... dać wam rękę... ojciec mię przestrasza...
 Nie mogę... przyjaźniejszej poczekajmy pory...
 Bo ojciec...

SCENA SIÓDMA

CIŻ I WĄTORSKI.

Wątorski *(wpadając nagle, dumnie).*

Jest Wątorski, *comes de Wątory!*

Pra-pra-pra-wnuk hrabiego Jafeta jedyny,

Pan zamku swoich przodków i głowa rodziny!
 Choć jeden tylko zamek, mniej liczne mam wioski,
 Równy mi Wiśniowiecki, Tęczyński, Zborowski,
 A możem wyższy od nich, miłościwy bracie!..
 A wy kto, co po rękę méj córki sięgacie?

(Z przyciskiem:)

Szlachcie Pachołowiecki... to coś jak pacholę...
 Herb Równia... wielkie święto!.. już żadnego wołę!
 Równia... królewski pisarz!.. rycerz z pod Chocima!..
 Umie rysować zamki—ale sam ich nie ma!..
 Nie dla was połowica w naszym gnieździe starém:
 Moja córka być musi tych murów filarem!

Stanisław (kładąc rękę na główni pałasza).

Panie! tyle obelgi... takie urąganie,
 Tylko od ojca Hanny przemieść jestem w stanie.
 Nie bluźnię twoich przodków przedwiecznej rodzinie,
 Bo ich krew droga dla mnie w sercu Hanny płynie;
 Ale wara przymawiać, że mój herb za świeży:
 Osobistój zasłudze także coś należy!
 Jeśli wam herb mój skromny nazbyt w oczy kole,
 Dziś dosłużyć się nowych wyborne mam pole:
 Oto Stefan Batory dziś wojnę ogłasza,
 Zemną Bóg, moja miłość i ostrze pałasza!
 Nieprędko, nieinaczéj powrócę w tę stronę,
 Jak wioząc nowe herby krwią własną zbroczone.
 A kiedy przyjdę do was w bohaterskiej sławie,
 Moją Równię na równi z twym rodem postawię.
 Zawstydzisz się przymawiać w obec całej ziemi,
 Żem zdobył moją świetność piersiami własnemi.
 Wtedy będę już godzien wejść w waszą rodzinę...
 Hanno! pomódl się za mnie, gdy na wojnie zgine!..

SCENA ÓSMA.

CIŻ, prócz STANISŁAWA.

Wątorski.

Patrz, jaki hardy szlachcic!... przestraszył mnie nieco...
 A jak twarz jego pałał a jak oczy świecą!
 Szkoda, że nie potomek wysokiego domu...

(Do Hanny:)

Lecz nie dam twojej ręki nikomu... nikomu,
 Kto świetnych antenatów nie otrzymał w darze,
 Kto przynajmniej trzech herbów w tarczy nie okaże!
 Wola moja niezłomna—tu płacz nic nie nada...
 Lecz już dzwonią na pogrzeb—pośpieszyć wypada.
 Ubierz się w czarne krepy i osłony białe,
 Przybierz postać wyniosłą, wejrzenie wspaniałe,
 A nigdy nie zapomnieć proszę od tej pory,
 Żeś potomek Wątorskich, hrabiów *de Wątory*.

(Hanna odchodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Wątorski *(załamując ręce w rozpacz)*.

Lecz mój herb... herb mój srebrny, odwieczny, bogaty
 Na którym wyrażono wszystkie antenaty,
 Którym byli tak chlubni praojcowie starzy—
 Musi iść na zastawę do brudnych lichwiarzy!
 Sto talarów... dał przecię... o! łzami je broczę!—
 Trzydzieści trzy procenta... termin za półrocze...
 A broń Boże urodzaj zawiedzie mnie zdradnie,
 Świetny klejnot domowy w zastawie przepadnie...

Szczęście, kogo Wątorskim urodziły nieba!
 Lecz dźwigać takie imię—silnych bark potrzeba...
 Hola! służba! pachoły!

SCENA DZIESIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

Baltazar.

Staję jak pachołę.

Wątorski.

Zdejmiej ten herb i zanieś do komnat na dole;
 Powiedz rządcy dóbr moich...

Baltazar *(na stronie)*.

To znaczy sam sobie.

Wątorski.

Że z lichwiarzem interes osobiście zrobię.
 Niech przyniosą rachunek, i pieniądze w worze,
 I gotowy cyrograf—ja pieczęć przyłożę.

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

BALTAZAR, WĄTORSKI *(w ruinach zamkowych z rydlami w prostój odzieży kopią ziemię; Wątorski przy pałaszu)*.

Baltazar.

No, miłościwy hrabio! mamy już południe,
 Czas odpocząć po pracy — kopaliśmy cudnie;

A wasza miłość rydlem tak wybornie włada,
Jakby nigdy hetmanem nie miał pra-pra-dziada.

(Zdejmuje kapelusz, stawia rydel i siada na zwalisku muru.)

Wątorski (także kładąc rydel).

Wstyd mi, wstyd mi, zaprawdę, tak pracować w pocie:
Lecz ludzie z mego hrabstwa w polu na robocie,
A ten ogród zarastał chwastem do tej pory...

(Z bolesnym śmiechem.)

Ha! cóż począć? Wątorski, *comes de Wątory*,
Gdy mu całkiem na środkach utrzymania zbywa,
Musi sam własnoręcznie uprawiać warzywa!

(Usiada na drugiem zwalisku.)

Baltazarze! ty jeden wiesz na całym dworze,
Że *incognito* czasem me ręce przyłożę
Do rydla lub siekiery — to przykład jedyne,
Domowa tajemnica Wątorskich rodziny:
Umięj ją poszanować! Nietylko ktoś inny,
Lecz cienie moich przodków znać jęj nie powinny!...
Wątorski kopie rydlem!... od takiej zakały
Romula i Cyrusa kościby zadrżały,
A biskupi, hetmani i wojewodowie
Mogliby ze swych trumien złorzeczyć mój głowie!...
Lecz cóż począć?... Posiadam jeden ziemi szmatek,
Jeden kmieć a trzy dwory! chleba niedostatek...
Choć z rodu miałbym prawo dygnitarzem zostać,
Muszę dźwigać ubóstwo, nikczemną mieć postać;
Bo ludzie świeżej daty, co dziś krajem władną,
O hrabi na Wątorach zapomnieli snadno...
Czekając dla tych murów szczęśliwej jutrenki,
Muszę dzisiaj rad nierad rydel brać do ręki.



Baltazar (z rezygnacją).

Gdy służą jeszcze siły, jedzmy chleb w mozole.
 Czy wierzysz Wasza Miłość? ja to lepiej wolę,
 Nizli biegać na służbie w ustawnej pogoni,
 Być marszałkiem bez dworu, koniuszym bez koni,
 Piwniczym bez piwnicy, że aż boli dusza —
 Wolę poczciwy rydel!

Wątorski (patrzac na stronę).

Jak znać plebejusza!

A jednakże, jeżeli oko mnie nie myli,
 Naczelnikiem sił zbrojnych musisz być w tej chwili.
 Jakiś powóz na drodze wymija rozdroże...
 Czy też pojedzie dalej? czy do nas być może?...
 Przywdziej zbroję i ruszaj na zamkową wieżę:
 Niech twój sygnał na trąbie zawczasu ostrzeże,
 Jesliby do Wątorów zakierował drogą;
 W tym stroju, z rydlem w ręku przydybać mię mogą,
 To byłby cios śmiertelny!

Baltazar.

Daremna mozoła!

Droga chwastem zarosła do naszego siola:
 Nikt pewno nie przyjedzie przeszkodzić nam w pracy.

Wątorski.

Teraz, widzisz, z wyprawy wracają wojacy,
 Mogą do nas zawitać — nicbym się nie dziwił,
 Gdyby który Zborowski lub książę Radziwiłł
 Przyjechał do Wątorów prosić ręki Hanny...

Baltazar (do siebie).

Znów mu głowę przewrócił ten szal nieustanny!
 Dziewczyn a, nim się pańskich doczeka zalotów,

On ją do dnia sądnego doma więzić gotów ---
A szkoda! wielce szkoda!

Wątorski.

No, ruszaj na więź!

Pomnij uderzyć w trąbę...

Baltazar.

Pewno nie uderzę:

Bo choć codziem wychodzę i ślepię oczyma,
A żadnego księżęcia jak niema, tak niema!

Wątorski (*niecierpliwie*).

Będę czekał lat dziesięć, choćby lat dwadzieście,
Doczekam się księżęcia... doczekam się wreszcie!
A waś dowódca straży, to czuwaj nad strażą,
Nie wdawaj się w rozprawy i czyni coć rozkażą!

(*Baltazar ruszając ramionami odchodzi.*)

SCENA DRUGA.

Wątorski (*sam*).

Ja sam poczynam wątpić — lękam się zawodu...
Lecz wydać za plebeja córkę mego rodu
Niepodobna... przodkowie... zmarszczą się ich twarze
Kiedy z niepewnym herbem moją krew skojarzę...
Nie śpieszmy — poczekajmy dostojniejszych osób:
Orlicy trzeba orła, inaczéj nie sposób!...
Na skrzydłach tego orła — po trosze, po trosze
Wznosi się dom Watorów... i ja sam się wnoszę.
Wsparty wziętością zięcia, dwa starostwa biorę
(Dziś intratne starostwo dla mnie w samą porę,
Bo na gwałt trzeba grosza...). Gdy rosnę w honorze,
Kasztelaństwo krakowskie zawakować może;

Staram się... otrzymuję... zasiadam w senacie,
 I oto w dostojności nowój mię poznaćie...
 Będę się podpisywał ogromnemi głoski:
 Wątorski de Wątory, Kasztelan Krakowski —
 To pięknie brzęczy w ucho!... W téj fortunnej zmianie
 Hetman wielki koronny umrze niespodzianie, —
 Ja zostaję hetmanem — i jakimże jeszcze!...
 A wtedy obok przodków mój portret umieszczę:
 W jednej ręce buława, co oznacza władzę,
 Drugą za pas się trzymam, albo wąsy gładzę...

(Bierze rydzel zamiast buławy i układa się w pozę.)

A czoło wypogodzę... nie... nachmurzę wolój;
 Będę miał strusie pióro u czapki sobolej,
 Karmazynową delię, żupan złotolity,
 A nad głową napiszą wszystkie me zaszczyty,
 I wymalują herby z całym rodowodem,
 Korona z dwoma berły, a beczka pod spodem...
 Tak będę wisiał w sali... w moich przodków sali...

(Słychać trąbę.)

A to co?... dają sygnał? goście przyjechali?
 Książęta!... niezawodnie!... doczekałem wreszcie...
 Héj służba! na spotkanie co prędzój wybieżcie!
 Mój ubiór!... ale żupan świąteczny podarty:
 Nie włożę... siądę tutaj na murze oparty,
 Przeproszę moich gości za lekkie ubranie,
 Niby mię tu w ogrodzie zesli niespodzianie.

(Siada majestatycznie na zwalisku.)

SCENA TRZECIA.

WĄTORSKI, BALTAZAR (*wpada przestraszony*).

Wątorski.

Marszałku! kogoż z gości zwiastujesz mi wasze?

Baltazar.

Och! panie! złe nowiny... może go przestraszę...
Przybył gość niespodziany... i tu prosto zmierza...
Ten... ten... ale...

Wątorski.

Ktoż przecię?

Baltazar.

Lichwiarz z Sandomierza

Dał na zastaw pieniądze z terminem we żniwa...

Wątorski.

No, pamiętam... pamiętam...

Baltazar.

Dziś termin upływa.

Wątorski.

Liczyłem na urodzaj, ten zawiódł mię zdradnie...
Nie oddam, bo nie mogę...

Baltazar.

Toć zastaw przypadnie.

Wątorski.

Tarcza z herbem mych przodków ma zostać przy Żydzie!
To za ciężka zniewaga!...

Baltazar.

Otoż on sam idzie!

(*Wątorski siada majestatycznie na gruzach jak przed chwilą.*)

SCENA CZWARTA.

CIŻ i NEFTAL.

Neftal (*wchodząc z lekkim ukłonem bez zdjęcia czapki*).

No! a co z nami będzie?

Wątorski (*z powagą*).

Sprawa swoją drogą;

Ale pomnij gdzie jesteś i mówisz do kogo!

Mogłeś czapki uchylić.

Neftal (*z uśmiechem*).

Aj! wielcy panowie!

Jestem w domu dłużnika i z dłużnikiem mówię:

Czy jeszcze za mój pieniądz mam kłaniać się może?

Tu czapka nie zawadzi—bo wietrzno na dworze.

*(Poprawia czapkę.)***Wątorski**.

Przyszedł, by mi ubliżyć—na cześć nie pamięta!

(Do Baltazara:)

Niech z przed mego oblicza usuną natręta!

Nie chcę go więcej widzieć!

Neftal.

Tylko zapłać wasze!

Ja się strachów nie lękam, groźby nie przestraszę.

Mam cyrograf waszności i termin wypłaty.

Od czegoż woźny, pozew i sądowe kraty?...

No! czego tu się gniewać? wszak takie umowy.

(Patrząc na Wątorskiego, który ima się głowni pałasza:)

Zresztą, jeśli potrzeba — zdejmę czapkę z głowy.

Czy waszność dasz pieniądze?

Wątorski.

Miej trochę pokory:
Jestem hrabia Wątorski — *comes de Wątory!*
Nie nazywam się waszmość, lecz trochę inaczej!

Neftal.

Czy waszmość, czy jegomość — wszystko jedno znaczy.
U mnie tylko wielmożni panowie bogaci,
A ten pan miłościwy, kto swe długi płaci.
Czy gotowe pieniądze?

Wątorski.

Mój mości Neftali,
Patrz na wieże tych murów!

Neftal (*patrzy na wieżę*).

To cóż będzie dalej?
Cegła stara, pobita, mało z niej intraty.

Wątorski.

Lecz tu bohaterowie mieszkali przed laty!

Neftal.

Musi być bardzo dawno.

Wątorski (*dumnie*).

Lat pięćset, to mało?!

Neftal.

A gdzież tych bohaterów bogactwo zostało?

Wątorski.

Zostało w księdze dziejów, których czas nie spożył,
I na tarczy herbowej, com w twe ręce złożył,
Na portretach, co jeszcze pleśni nie uległy,
I na ceglach tych murów!

Neftal (*patrzac ciekawie*).

Wszak to proste cegły,
Stare, pobite, kruche, nic nie warte sędzę.
Ja cegłą nie handluję — daj mi pan pieniądze;
A przez grzeczność... zobaczym... niech i pan co zyska, —
Mogę nastęczyć kupca na te rumowiska.

Wątorski.

Jako! mniemasz, że ciężką obarzon biedotą,
Mury moich naddziadów mam sprzedać za złoto?
Nie! jeszcze mię tak ciężka nie przytłacza bieda:
Obejdę się bez złota.

Neftal.

Tu złota nikt nie da.
Możnaby gruz na cegłę wyprzedać ryczałtem;
Nie chcesz pan... mniejsza o to... nie odbieram gwałtem.
Lecz co będzie z mym długiem? Czekam do téj pory.

Wątorski.

Święty jest dług oparty na zamku Wątory...
Ale słuchaj, Neftali! liczyłem na żniwa,
Lecz zima była ciężka... wiosna nieszczęśliwa...
Latem wypadły grady — miej proszę na względzie.
Ja dziś nie mam pieniędzy.

Neftal.

A cóż z tego będzie?

Wątorski.

Musisz trochę poczekać.

Neftal.

Na co tu czekanie?
Mam zastaw, pańskie herby, i mam kupca na nic.
Będzie strata — cóż robić? liche nasze zyski!

Każę herby przetopić na srebrne półmiski.
A kiedy wielka strata, nie dopuszczaj Boże!

(Wpada w gniew.)

To ja na pański zamek trzy pozwy położę!
Będę się procesował — pozna pan dobrodziej!
Co ten herb? Srebro liche! waga nie dochodzi!
A na wierzchu kogutek, i to z blachy jeszcze!
O! ja tego kogutka na karczmie umieszczę,
I pod znakiem koguta zrobię szynk na wino,
Aby wszyscy widzieli rzetelność waścina!...

(Uspakaja się nieco.)

Zresztą, panie Wątorski... jeślibyście chcieli,
Dam waści trzy dni czasu — termin do niedzieli;
Lecz w niedzielę broń Boże pieniędzy nie będzie,
Areszt na te zwaliska kładę na urządzie,
Srebrny herb dam przetopić, bo na to mam władzę,
A kogutka na dachu karczemnym posadzę...
A teraz życzę dobrém pocieszać się zdrowiem!

(Kłania się.)

Waszmość wiesz, żem ja słowny — dotrzymam co
Do niedzieli! [powiem.

(Odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

WĄTORSKI, BALTAZAR.

Wątorski *(załamując ręce)*.

Szatanie!

Baltazar.

Héj, panie Neftali!

Neffal (*wychylając twarz z za muru*).

Do niedzieli poczekam.... lecz nie mogę dalej;
Potém herby przetopię...

(*Znika.*)

Baltazar.

Czekaj! jedno słowo!

Neffal (*ukazując twarz znowu*).

A koguta umieszczę na wiechę szynkową!

(*Znika.*)

Baltazar.

Poczekaj! pogadajmy! czy się waść ośmieli!

Neffal (*jeszcze raz wygląda z za muru*).

A zamek zatrauję — termin do niedzieli.

(*Znika.*)

Wątorski (*z boleścią*).

Więc w rękach u lichwiarza, pod młotem złotnika,
Ta najświętsza pamiątka mego domu znika!
Kruszą się, łamią, topią jakby cyna podła
Romulów i Cyrusów przedwiekowe godła!
I stanie się za chwilę jedną kruszcu bryłą
Cały ślad moich przodków, jakby ich nie było!...
Przyjdą płatni mularze z sądową pomocą
I młotem te odwieczne wieżyce zgruchocą,
A świetny dom Wątorskich, dom moich pradziadów,
Zniknie z oblicza ziemi, bez szczątków, bez śladów,
I uszną wiekuiste rodowe wawrzyny...
I to za moich czasów!... i to z mojej winy!...

(*Z rozpaczą.*)

Ja miałem pielęgnować — i ja sam to niszczyć!...
O nie! pierwój krew moja obleje to zgłiszczę —

A kronika zapisze w potomność odległą:
 Padł ostatni Wątorski pod ostatnią cegłą
 Zamku swoich naddziadów... Tak! jeden krok śmiały!
 Choć raz trzeba być mężnym—nie przeżyć zakaly!

(Dobrywa pałasza.)

Baltazar *(rzuca się ku niemu).*

Panie!! to być nie może!... wszak jest Bóg na niebie!
 Zapłacim... zapracujem o wodzie i chlebie...
 Ja wymodłę, wyproszę... w odzieży żebraczej,
 A umrzeć nie dopuszczę — mnie zabijcie raczej!...
 Rzućcie pałasz... to zbrodnia! to piekiel pokusa!...

(Wyrzuca mu pałasz i ogląda.)

Szczęście, że zardzewiały od czasów Cyrusa!
 Lecz zawsze niebezpieczny... za to Pan Bóg skarze!

(Odrzuca pałasz na stronę.)

Wątorski.

Przeżyć własną ohydę... nie, mój Baltazarze!
 Na mnie patrzą przodkowie, patrzą dziejów karty —
 Czyż mam być z posiadłości i ze czei odarty?...
 Słyszysz, jak jęczą duchy z pod grobowych pleśni?
 Patrz, jak wskazując na mnie chychocą współcześni!
 Wątorski celem śmiechu! sromota! sromota!...
 Daj pałasz, Baltazarze! szaleństwo mną miota!...

Baltazar *(do siebie).*

To mi ważny argument: trucizna w chorobie!
 Szalonemu miecz w ręce! prawda, że to zrobić!

Wątorski.

Za sto nędznych talarów — o, jak to okropnic! —
 Mój zamek się rozwali, tarcza herbu stopnic,
 A kogut, jedno z godeł zyskanych od Lecha,
 Ma służyć pośmiewiskiem jak zwyczajna wiecha...

Po nad dachem gospody!... o moi przodkowie!
Znam od dawna lichwiarza: on spełni co powie...
I przeżyć tyle hańby!

(*Załamuje ręce i obezsilony usiada na gruzie*)

Baltazar (*klęka przed nim*).

Ku takięj ohydzie

Przysięgam, że nie przyjdziel...

SCENA SZÓSTA.

CIŻ I HANNA.

Hanna

O! pewno nie przyjdziel!

Ojcie, byleś nie cierpiał — miłosierdzie boże!

A ja ci zapracuję...

Baltazar.

I ja coś dołożę.

Hanna.

Wszak ja mam sznurek pereł z czasów lepszej doli...

Baltazar.

Wszak przy nowęj oponczy mam kołnierz soboli.

Hanna.

Mam pierścień z dyamentem — wszak to każdy kupi;
Lichwiarz weźmie w pieniądzech...

Baltazar.

A jakiż ja głupi!

Wszak mam dziesięć talarów, to dla mnie za dużo;
Chowałem je na pogrzeb — niech dziś panu służą...

Hanna.

Wszak jeszcze mi się został klejnot nad klejnoty,
Z błogosławieństwem matki pieniądz szczeroloty;

Miał służyć mi do ślubu — dziś stosowniej zda się. .

Baltazar.

Ja łańcuszek ze srebra mam przy kordelasie
I klamrę przy żupanie — chętnie to poświęcę...

Hanna.

Wszak mamy zdrowe ręce.

Baltazar.

Tak jest, zdrowe ręce:
Dorwę się do siekiery, do rydła, do młota...

Hanna.

Choć niepopłatna z igłą niewieścia robota,
Pracując w dzień i w nocy poszczęści się może,
I ja, ojcze, choć małą kwotę ci przysporzę.
Potrzeba tylko zechcieć, aby się udało.

Wątorski.

Szlachetne wasze serca; ale sił za mało!
Czy myślisz, słabe dziewczę, czy ty myślisz, starcze,
Że wydrę wam ostatki i pracą obarczę?
Na mnie leży ten ciężar: kto jest rodu głową,
Sam powinien obronić świątynię rodową,
Kiedy jej nieprzyjaciel orężem zagroza,
Albo czyhają szpony chciwego lichwiarza;
A jeśli nie obronił — to niechaj nie płami.
Niechaj umie przynajmniej legnąć pod gruzami!...

Baltazar *(do siebie)*.

I płacz i śmiech! te gruzy dały się we znaki!
Zaprawdę, lepszej sprawy godzien zapał taki!
Rzadko widzieć go można w tak pięknym zachwycie.
Aby go uratować, ja oddałbym życie;
Lecz biedny, cóż poradzę?

Wątorski (z boleścią).

Głupota! głupota!

Ta pycha rodowita, co nam serca miota!
 Umieemy się przechwalać naszymi pradziady,
 A gdy bronić ich trzeba, to nie damy rady...
 Bo pytam: jak rodzinnych zaszczytów dochowa
 Rozleniwiała ręka, niedołączna głowa?
 Któryż najlichszy ptaszek nie umie przez pracę
 Naprawić swego gniazdka, gdy burza skołace?
 Jestże najlichszy kmiotek, z najlichszego siola,
 Co strzechy swego ojca podtrzymać nie zdoła?...
 A syn wielkiego rodu, krajowe bożyszcze,
 Umie tylko boleśnie poglądać na zgłiszczce,
 I byle jaki piorun, byle chmurka błaha,
 Do swój niedołączności przyznać się nie waha...
 Po co było mi czekać na losy łaskawsze?
 Dla czego zasług przodków nie odświeżać zawsze?...
 Patrzcie! jak się orężem, i piórem, i głową
 Wznosi pozioma szlachta na świetność dziejową!
 Kiedy mnie ani oręż, ani praca czola
 Kilku nizezemnych groszy pozyskać nie zdoła!
 Bo w mych leniwych piersiach rozmiękniał hart ducha,
 Głowa odwykła myśleć, a pióro nie słucha.
 Mnie od pieluch wmawiali, że dostojne dziecię,
 Że bez pracy, bez nauk znajdę cześć na świecie...
 Dzisiaj, gdym niedołączny, gdy mię hańba czeka;
 Przekłętwo, kto magnata odróżnił od człeka!...

Hanna.

Uspokój się mój ojcze...

Baltazar.

Uspokój się, panie!

Hanna.

Porzućmy to zameczysko — to brzydkie wygnanie;
Wrócim w nasz skromny dworek, jakże będziemy radzi

Wątorski.

A tarcza herbów naszych młotem się zagładzi!
Ja tego nie przeżyję — bo to nazbyt podle...

Baltazar.

Pójdę błagać lichwiarza — wystraszę, wymodłę;
On herbów nie popsuje, da nam nieco zwłoki.

Hanna.

A tymczasem dojrzeją i dalsze widoki.

Baltazar.

Rzucimy się do pracy.

Hanna.

Spieniężym ostatki...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I STANISŁAW PACHOŁOWIECKI.

Stanisław.

Starego przyjaciela przyjmiecież do składki?

Hanna.

Stachu! ty nam przybywasz!...

Wątorski *(do siebie, z boleścią)*.

Właśnie! — sama pora!

Widzieć upokorzenie hrabiego Wątor!...

Lecz przyjmiejmy uprzejmie, jak obyczaj każe.

(Do Baltazara:)

Hej! rumaki do żłobu, mości Baltazarze!

(Baltazar odchodzi).

SCENA ÓSMA.

C I Ż prócz B A L T A Z A R A.

W ą t o r s k i *(do Stanisława)*.

Witajcie nam, rycerzu! wracacie z wyprawy,
Cóż? jak nasze rycerstwo?

S t a n i s ł a w.

Zawsze pełne sławy.

W ą t o r s k i.

A król? a wielki kanclerz?

S t a n i s ł a w.

Już w stołeczném mieście.

A wy, hrabio? a Hanna? czy zdrowi jesteście?

W ą t o r s k i.

Zdrowiśmy z całym domem i z rodziną moją,

(Z ironicznym uśmiechem:)

Ot jak te baszty zamku, co pięćset lat stoją.

Dotąd mamy się dobrze — ale trudna rada:

Piorun uderza w basztę i zamek upada,

A cóż dopiero człowiek?...

*(Zamyślony usiada znowu na gruzie.)*S t a n i s ł a w *(do Hanny półgłosem)*.

Ja wszystko słyszałem.

Boleść waszego ojca dzielę sercem całym,

Chciałbym zawsze dopomódz, a teraz témbardziej.

H a n n a.

Znacie mojego ojca... on pomocą wzgardzi...

On dumny... ani zechce w najsmutniejszej porze

Zaciągać obowiązków, co spłacić nie może.

S t a n i s ł a w.

Och! byle zechciał — spłaci, a spłaci sownie,

Skarbem nad wszystkie skarby, droższym mi nad życie...
Ta ręka... czyż się jeszcze spodziewać wypada?...

Hanna.

Rycerzul ja z was rada, jam serdecznie rada.
W téj głowie i w tém sercu — powiadam ci śmiało—
Ani jednéj ubocznej myśli nie powstało;
Ale ubłagać ojca gdy nadziei niéma,
Do czegoż to prowadzi? i gdzie się zatrzyma?...
Nie! uzbrojmy się w męstwo — ja ofiarę zrobię:
Postaram się nie myśleć, zapomnieć o tobie,
Cierpieć będę w skrytości, aż śmierć dni me przetnie.
Ty dalej swoją drogą postępując świetnie,
Zapomnisz biednej Hanny, której niebo dało
Herbów jasnych za wiele, a doli za mało!...

Stanisław.

Czyż ta herbowna pycha i na ciebie wpływa?
O Hanno! Hanno moja!

Hanna (*z uśmiechem*).

O ja nieszcześliwa!
Duch pychy rodowitej i we mnie coś zmienia:
Bo znając myśli ojca i jego marzenia,
Gdym błagała nad nami zlitowania w niebie,
Czy wiesz? — żem się modliła — o herby dla ciebie?

Stanisław.

I niepłonna modlitwa...

Wątorski (*ocykając się z zamyslenia*).

Znów herby na scenie?
Kto tu mówi o herbach?... proszę uniżenie!
Panie Pachołowiecki! wy jeszcze nie wiecie,
Że herbów mego rodu już niéma na świecie:

Zabrał je z mego domu lichwiarz ryzo-brody,
I haniebnie umieścił za godło gospody!...

Stanisław.

Panie! twemu rodowi już wiem co zagraża...
Pozwól — ja ten łup święty wyrwę od lichwiarza.
Jam dziś bogaty z łaski króla jegomości,
On pasował rycerzem, on mi nadał włości.
Przysługa — jeśli wolno oddać waszej strzesie —
Wcale mię nie zuboży... a szczęście przyniesie.

Wątorski (z radością).

Wy? herb mój? co ja słyszę? w głowie mi się kręci...
Macie dosyć możności? macie dosyć chęci?
Wy mi obiecujecie jako rycerz prawy
Tarczę pradziadów moich wybawić z niesławy?
Tak... to wielka usługa — dziękuję młodzieńcze!...

(Zamyśla się.)

Ale czémże wypłacę? czém ci się odwdzięczę?
Wątorscy żadnych przysług darmo brać nie mogą...

(Dumnie.)

A swoim poniżeniem — to płacić za drogo...
Bo w płonném zamniemaniu, wy — szlacheckie dziecię...
Może nazbyt wysokiej nagrody zechcecie;
A czyniąc dla nas łaskę, zapomnieć gotowi,
Żeśmy równi Tęczyńskim lub Radziwiłłowi...
Przysługa swoją drogą, a krew swoją drogą:
Wątorscy z herbem *Równia* łączyć się nie mogą.
Szacuję cię młodzieńcze! lecz tego za mało.
Daleś twoim nadziejom przestrzeń wybujałą:
Córka moja, do której podnosiłeś oczy,
Nowym kiedyś promieniem dom przodków otoczy...
Wierz mi — niech każdy żyje we własnym zakresie.
Kto z nami chce się równać, niech się do nas wzniesie.

Stanisław.

Jakże się wznieść aż do was? jak te przebyć tamy?

Wątorski.

Drogą zasług posiadać co my posiadamy,
Mieć przodków piękny poczet, świetną herbu postać,
Albo, co lepsza jeszcze — protoplastą zostać.
Bom przed chwilą inaczej, dziś wierzę inaczej:
Że ród świetny bez zasług jeszcze mało znaczy,
Najświetniejsze rodziny gdy karleją w tłumie;
Kto posiada zaszczyty — niech bronić ich umie.
Bo czy posiada zamki — czy wiejskie zacisze...

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i BALTAZAR.

Baltazar (*podając list*).

Oto list od kanclerza.

Wątorski.

Do mnie kanclerz pisze?
Kanclerz wie, że ja żyję? zkądże wie... w tej chwili?

(*Patrzy na kopertę.*)

„*Hrabiemu na Wątorach*“ — oko mię nie myli...
Głośny jest dom Wątorskich; ale zkądże przecię
Kanclerzby się dowiedział, że żyję na świecie?

(*Lamie pieczęć z pośpiechem i czyta:*)

„Mnie wielce miłościwy i Panie i Bracie...“

(*Do obecnych:*)

On mię bratem nazywa... czy to uważacie?...
Obaczymy co dalej... niesłychane dziwy!

(*Czyta:*)

„Poleca Król Jegomość, Pan nasz miłościwy,

„Upraszać Was o rękę jego zacnej córy...”

(Z radością do Hanny:)

A to co?... Ja mówiłem, że Tęczyński który,
Albo jaki Zborowski, Wiśniowiecki może,
Dostojnie postawiony na królewskim dworze,
Któs sławny z parenteli, wysoki w urzędzie,
O rękę twoją, Hanno, dopraszać się będzie!

(Czyta dalej:)

„Zacnej córy... dla wielce dzielnego młodziana,
„Którego dziś zasługa w całym kraju znana.
„Stanisław z Pachołowiec...”

(Wykrzykuje i przeciera oczy.)

Czy mi się nie marzy?...

(Czyta dalej:)

„Pa... cho... lo... wiecki, rotmistrz walecznych hussarzy,
„Którego szczyli łaska królewska i nasza,
„O rękę Waszój córki pokornie uprasza.
„Król Jegomość, co dobrze jego męstwo baczył,
„Co dlań nowe zaszczyty herbowne przeznaczył,
„Do Waszój Uprzejmości dziś wstawia się za nim,
„I solennie uręcza obecném pisaniem,
„Że jeśli te na względzie mieć będziecie słowa,
„W łasce swojej królewskiej wdzięcznie Was zachowa.”

(Żywo do Stanisława:)

Więc to wy? więc to o was? więc to przez was, panie,
Kancelerza i hetmana dostałem pisanie?
Więc król wie, żem pra-pra-wnuk mego pra-pra-dziada.
I przez swego kancelerza łaski zapowiada?
O rękę mojej córki doprasza się wreszcie,
I to dla was rycerzu — a któż wy jesteście?

Stanisław.

Szlachcie Pachołowiecki — dobrze wam znajomy,
Niespokrewnion zaiste z najpierwszemi domy,
Nie szły na mnie zaszczyty spadkowe i cudze,
Czém jestem — to winieniem pracy i zasłudze:
Trochę krwi, trochę potu — to moje zaszczyty!

Wątorski.

Ależ łaski królewskiej znak niepospolity!
Nadał ci nowe herby — to nie rzecz znikoma...
Czy wolno je zobaczyć?

Stanisław *(dobywając pergamin)*.

Oto jest dyploma.

Wątorski *(rozwijając go)*.

Piękny herb!.. patrzcie tylko... na tarczy trzy włocznie...
To ci z własnego herbu dał kanclerz widocznie...
Orzeł... w helmie dwie baszty... suty ogon pawi...
Dwie chorągwie... cóż na nich? jesteśmy ciekawi...
Co widzę!.. wileże zęby — herb królewskiej mości..
O! takiego nabytku każdy pozazdrości!
Kto w ten sposób odświeżać herbu nie zaniecha,
Wart być wnukiem Jafeta a pokrewnym Lecha...
Wszakże o takich rzeczach kronika napisze...
Któż się za wami wstawiał?

Stanisław.

Dobrzy towarzysze.

Wątorski.

Kiedy? gdzie? jak to było?

Stanisław.

W oblężeniu Pskowa,
Z mężnym nieprzyjacielem szła walka trzydniowa;

Jam wymierzał plan twierdzy i pochyłość ziemi,
 A kiedy przyszło walczyć, biłem się z drugimi.
 Kiedy mury obronne szturmowano szczerze,
 Z Wybranowskim i Sernym najpierwsi harcerze
 Skoczyliśmy na mury—bój kipiał zajadły,
 Z obu stron kupy rannych i zabitych padły,
 Ja zostałem nietknięty... nademną wysoko
 Czuwało oko boże i królewskie oko.
 Pochwalił moje męstwo, przypomniał mię sobie,
 I przydał nowy klejnot ku mojej ozdobie.
 A kiedy mi oddawał piękne dyplomata,
 Wielki kanclerz koronny ścisnął mię jak brata...
 Rzewno mi się zrobiło...

Hanna (z rozczuleniem).

Bo chwil takich mało.
 Wam obu w tym uścisku pięknie być musiało...
 Nie wątpiłam, że Niebo moje modły ziści...

Wątorski.

Lecz pewnie towarzysze pękali z zawiści,
 I nie wszystkich twarz była jak twoja wesoła?

Baltazar (z ukłonem).

Przepraszam, że się wtrączę: nie zgadliście zgoła.
 Byłem w wojsku za młodu, znam duch towarzyski;
 Tam szczęśliwych spotkają braterskie uściski,
 Rzewne powinszowania—potém kielich w ręce!

Stanisław.

Tak... nie znają zawiści szlachetni młodzieńce:
 Bo tam gdzie droga zasług dla wszystkich odkryta,
 Nikt w kącie zapomniany zawiścią nie zgrzyta.
 Więc towarzysze moi, chrobrzy a wspaniali,

Rzewniejszą od kanclerza pamiętkę mi dali:
To pismo o ich sercach świadczy jak najwierniej.

Wątorski (*czyta*).

„My dowódcy piechotni, jezdni i pancerni
„Jednogłośnie słowa to świadectwo piszem
„Za naszym ukochanym, wiernym towarzyszem.
„Rycerz Pachołowiecki przez całą wyprawę
„Okazał serce mężne, a postęпки prawe:
„Wśród bitew, swemu zdrowiu nie folgując zgola,
„Ochoczo dawał życie, gdzie powinność woła,
„Pierwszy stawał na murach, pierwszy nabił działo,
„Wszędy okazał duszę wierną i wspaniałą.
„A przeto my, rycerstwo, jego zasług pewni,
„Rotmistrze, namiestnicy, wodze chorągiewni,
„Wielce miłego brata, podczas wojny samej,
„Łaskom Jego Królewskiej Mości polecamy.
„Jakośmy w jedno koło zebrani gromadnie,
„Każdy się podpisuje i swą pieczęć kładnie.
„Dan w obozie...“

Hanna.

Poczeiwi! szlachetni koledzy!...

Baltazar.

Lecz komu takie pismo wydano bez wiedzy,
Musiał się ciągle sprawiać chlubnie, jak tu pisze:
Bo najlepsi sędziowie — własni towarzysze.

Wątorski (*uroczyście*).

Kto herb mojego rodu wykupić jest w stanie,
Za kim się wstawia do mnie kanclerskie pisanie,
Kto podniósł własną świetność tak pięknymi czyny,
Ten godzien zostać członkiem Wątorskich rodziny.

Jeżeli się kochacie, Hanno! Stanisławie!
Niech was Bóg błogosławi! i ja błogosławię!

(Łączy ręce Stanisława i Hanny.)

(Po chwili.)

Ciesz się wasza radość — i dobrze mi wróży,
Że kto służył królowi i nam się zasłuży.
Nie lekka tu, młodzieńcze, oczekuje praca:
Musisz dźwignąć ten zamek, co się w gruz obraca,
Odbudować wieżyce, przyjąc liczne strażę,
Jak dostojność dwóch rodów znakomitych każe;
A herby, połączone i twoje i nasze,
Każesz wyryć nad bramą na śpiżowej blasze...

S t a n i s ł a w.

Dla jój szczęścia przed żadną nie cofnę się pracą;
Spełnię wszystko, co każesz...

H a n n a.

A na cóż to? na co?
Życ będziem w cichym dworku, szczęśliwi a zdrowi.

W ą t o r s k i.

Zapominasz, coś winna twojemu rodowi.

(Do Stanisława:)

Pamiętaj, wchodząc w nasze rodzinne ogniwa,
Że na tobie spojrzenie mych przodków spoczywa.
Że ku tobie się marszczy, albo się uśmiecha,
Oblicze Romulusa, Cyrusa i Lecha,
I że każde spojrzenie mojego naddziada
Nowe na twoje barki powinności wkłada!
Masz na to dosyć siły? czy masz dosyć chęci?...

(Do Baltazara, patrząc niecierpliwie na Hannę i Stanisława:)

Oni nie uważają! tak sobą zajęci!
Jego bardziej raduje uśmiech na jój twarzy,

Niż to, że się z rodziną Wątorskich kojarzy!...
 No! idźmy na pokoje: bo chłodnieć zaczyna...
 Gości marszałku dworu! każesz przynieść wina,
 A jeśli mur wytrzyma osłabiony z laty,
 Postaraj się na wiwat dać ognia z armaty.

(*Odchodzi z Hanną i Stanisławem.*)

SCENA DZIESIĄTA.

Baltazar (*sam*).

Wspomnienie obok czynu... starzec obok młodzi...
 Jeszcze pycha rodowa po głowie mu chodzi,
 Jeszcze mu w głowie zamki, herby i filary:
 A o tém nie pamięta zagorzalec stary,
 Że się zamek obali, że się herb połamie,
 Jeśli ich nie podeprze nowych zasług ramię...
 Co do mnie — gdyby dano do wyboru postać—
 Chciałbym Pachołowieckim nie Wątorskim zostać.

15 stycznia 1856. Borejkowszczyzna.

KALEJDOSKOP JARMARKOWY.

STUDYUM FANTASTYCZNE.

Wieczna myśli, któraś jest dalej niż od wieka!
Jeśli cię też to rusza, co czasem człowieka,
Wierzę, że tam na niebie masz mięsopust prawy,
Patrząc na rozmaite tego świata sprawy.
Bo leda co wyrzucisz, to my jako dzieci,
W taki treter, że z sobą wyniesiem i śmieci;
Więc temu rękaw urwą, a ten czapkę straci,
Drugi téj krotochwile i włosy przypląci,
Nakoniec niefortuna abo śmierć przypadnie.

J. K o c h a n o w s k i. *Fraszek księgi I.*

Ż y d z i.

Tutaj są różne towary,
Do nas proszę uniżenie!
Na uczciwość i sumienie,
Tu słuszne wagi i miary!
Rarytnych rzeczy do syta,
Wszystko za bezcen przedamy;
Niech tylko jegomość spyta,
Prosim do kramy!
Stare bretnale,
Lipskie perkale,

Szklane paciórki,
 Zajęcze skórki,
 Śledzie, cukierki,
 I tabakierki;
 Tanio przedamy,
 Prosim do kramy!

K u g l a r z.

Artysta znany u świata
 Przez swoją biegłość mistrzowską,
 Czarodziejski akrobata,
 Pierwszy uczeń pana Bosko,
 Co swych talentów dał próby
 W pierwszych miastach Europy...
 Pół złotego od osoby!

Proszę do szopy!
 Skoczy na linie,
 Młynka wywinie,
 Przyszłość, przepowie,
 Stanie na głowie,
 Puści mgłę w oczy,
 Przez kij przeskoczy
 Na cztery stopy!..
 Proszę do szopy!

Duo.

Ż y d z i.

My tanio wszystko przedamy.

K u g l a r z.

Jam artysta z Europy.

Ż y d z i.

Prosim do kramy!

K u g l a r z.

Prosim do szopy!

S i e r o t a.

Jestem dziewczyna sierota,
 Z bratem zostaliśmy sami,
 Zbieramy ziółka u płota
 I żebrzemy pod oknami;
 Nocuję w słomianej budzie,
 Gdy się do chaty nie wproszę.
 O ludzie, dobrzy wy ludzie,
 Dajcie trzy grosze!

Chora, wybladła,
 Jeszczem nie jadła,
 Moja sukmana
 Stara, porwana,
 A tutaj jeszcze
 Febry mam dreszcze.
 Dobrzy panowie,
 Ja pacierz zmówię,
 Boga poproszę,
 Dajcie trzy grosze!

T r i o.

Ż y d z i.

Pomada! cukier! kalosze!

K u g l a r z.

Ja młynka w górze wywinę!

S i e r o t a.

Wspomóżcie biedną dziewczynę,
 Rzućcie trzy grosze!

Cyg an.

Tak jak kocham Pana Boga,
 Jak kocham żonę i dzieci!
 To szkapka wcale nie droga,
 Kończy rok drugi na trzeci...
 Tak... drugi rok w maju skończy...
 Puszcza ją w paszę na błoń...
 A jaki panie bieg rączy!
 To wiatr nie koń!

W zęby spojrzycie...

A co za życie!

Skry sypie z oka!

A pierś szeroka,

Głowa drobniutka,

Szyja nie krótka,

Grzywka sowita,

Drobne kopyta.

Przybijmyż dłoń!

To cud nie koń!

Kwartet.

Ż y d z i.

Zajęcze skórki! bretnale!

K u g l a r z.

Na linie skoki dam chyże!

S i e r o t a.

Obdarzcie biedną wspaniale!

C y g a n.

Patrzcie, jak uszkami strzyże!

K s i ę g a r z.

Niechże publiczność łaskawa

I mojej firmy nie mija:

Co ma Lwów, Poznań, Warszawa,
 Co się z pod prassy odbija,
 Co jest w literackim świecie,
 Wnet mi transportem przylata,
 Wszystkie nowości znajdziecie;
 Dam trzy rabata!

Anna Nakwaska,
 Pamiętnik Paska,
 Złote ołtarze,
 Rzecz o browarze,
 Wspomnienia Romy,
 Sfinksa trzy tomy,
 I Księga Świata.
 Dam trzy rabata!

Kwintet.

Ż y d z i.

Tabaka! brzytwy! łakocie!

K u g l a r z.

Pójdę z pajacem w zapasy!

S i e r o t a.

Dajcie trzy grosze sierocie!

C y g a n.

To rumak arabskićj rassy!

A jaka pierś pełna składu!

A jaka nozdrza wydęta!

K s i e g a r z.

Na książkach mego nakładu

Ustąpię cztery procenta.

S t a r y i n w a l i d.

Patrz, chłopcze, gdy masz ochotę,

Jak ten drewniany koń bryka!

Poproś u mamy dwa złote,
 Niechaj ci kupi konika.
 Jam hułan—bił się daleko,
 Chodziłem w pięknym mundurze,
 Teraz zostawszy kaleką,
 Koniki strużę.

Łuk zrobię krzywy,
 Szablę z łuczywy,
 Przedam, gdy trzeba,
 I mam funt chleba.
 Dzieciom méj ziemi,
 Dłońmi drżącemi,
 Czém umiem służyć:
 Koniki strużę.

Jeszcze kwintet.

Ż y d z i.

Towary, różne towary!

K u g l a r z.

Przedstawię wam bitwę djabła!

C y g a n.

Rumak przypadnie do pary!
 Patrzcie... dziewczyna osłabła,
 Z głodu wybladła aż sina;
 Śpieszcie ratować niebogę.

K s i ę g a r z.

A na Podróżach Triplina
 Grosza ustąpić nie mogę.

I n w a l i d.

Mam drewnianego rumaka,
 Z łuczywa pałasz i dzida!

Wyborna zabawka taka
Dla grzecznych chłopców się przyda.

N i e m i e c (z ruletką).

Héj zacne, szanowne grono!
Sprobujcie losu zdobywszy,
Numera czarno, czerwono,
Ja puszczę kulkę, kto życzy.
To dziwne fortuny dziwa,
To dziwna losów chymera!
Bo czasem tysiąc wygrywa
Dwa... trzy numera.

Wygrasz w dwa słowa:

Zegar brązowy,
Wiedeńskie piano,
Fajkę glinianą,
Brylantów skrzynię,
Pałac w Berlinie.
Héj kto wybiera?
Dwa trzy numera!

—
S e p t u o r.

Ż y d z i.

Héj, czego komu potrzeba?

K u g l a r z.

Héj, chodźcie patrzeć na dziwy!

S i e r o t a.

Dajcie mi wody i chleba!

C y g a n.

To, panie, rumak prawdziwy!

K s i ę g a r z.

Jaki druk! papier! oprawa!

Inwalid.

Z łuczywa klinga pałasza!

Niemiec (z ruletką).

Oto fortuna łaskawa

Swych ulubieńców zaprasza!

Szlachcic (do drugiego).

Kopę latek! siadaj bracie!

Stukniemy miodku a szczerze.

Przegrałem sprawę w senacie,

Hrabia mi łękę zabierze.

Lecz proces pójdzie na syny,

Nie daruję za nic w świecie.

Czy wiesz?... ciekawe nowiny

Piszą w gazecie!

W Chinach złapali

Węża trzy cali,

We Włoszech, panie,

Niespodziewanie

Śnieg wypadł latem!

Znamy się na tém...

Toż wojna przecię,

Ot co w gazecie!

Żebrak (z kantyczki).

„Pewny człowiek bogaty

„W złoto, srebro, szkarłaty

„I zbyt kosztowne szaty,

„Jadł, pił tylko, tańcował,

„W dzień i w noc bankietował...“

Jaśni panowie!

Za wasze zdrowie

Pacierze zmówię;

Święta Marya
 Niechaj wam sprzyja
 I Anioł Stróż;
 Niech Bóg wspomóż
 W domu, w oborze,
 Dajcie mi grosz!

Kwintet.

Ż y d z i.

Grzebienie! igły! pomada!

I n w a l i d.

Do mnie tu malcy a zuchy!

N i e m i e c (z ruletką).

Gałka na czerwono pada:
 Pan wygrał klapkę na muchy!

C y g a n.

Jeżeli wierzyć nie chcecie,
 To w zęby obaczcie sami.

S z l a c h c i c.

Takie to rzeczy na świecie:
 Wojna Chińczyków z Włochami!

W i e ś n i a k (do drugiego).

Ej życie, życie ladaco!
 Pójdźmy się napić, mój kumie!
 Za zboże wpół darmo płacą,
 Niech się wykręca, kto umie.
 Cierp duszo rada nierada!
 Pan wiary nawet nam nie da.
 Co rok czynsz większy nakłada,
 Oj bieda, bieda!

Zła była zima,
 Żyta nic niéma,
 Teraz posucha,
 Skwarny wiatr dmucha,
 I koło wiossek
 Gdzie niegdzie kłosek!
 Potrzeb czereda,
 Oj bieda, bieda!

Niższy urzędnik.

Chcąc dojść do celu najprościej,
 Tutaj odgadnie i ślepy,
 Że z przedpisania zwierzchności
 Trzeba obejrzyć te sklepy.
 Sąd Ziemi do mnie powiada,
 Za numerem sto trzydzieście,
 Że kontrabanda nielada

Jest tutaj w mieście:

Tytuń z Hawany,
 Perskie dywany,
 Że kupcy wzięli
 Książki z Brukselli,
 Że się sprzedaje
 Kitajskie czaje.
 Strzeżcie się, strzeżcie,
 Jest czujność w mieście!

Sextet.

Szlachcic.

Ot idzie już święty Jerzy
 A tutaj pustki w szkatule!

Kuglarz.

Héj! połknę gorącą kulę!

Ż e b r a k.

Zmówię dwanaście pacierzy!

U r z ę d n i k.

W skutek danego ukazu...

W i e ś n i a k.

No, w ręce, kumie Marcinie!

C y g a n.

Tu każdy pozna do razu,
Że krew arabska w nim płynie.

N i e m i e c (*z pozytywką*).

Wszak Litwa Germanów wspiera,
Biegłych w muzykalnej sztuce:
Dwanaście walców Lannera
Na pozytywce zanóczę!
U kogo moneta drobna,
Choć trzy grosze i to daj.
Zagram każdemu z osobna

Eins, zwaj, draj!

Ej kto żyw, kręć się, kręć,

Póki grosz, póki chęć,

Nim do ocz wpadnie mgła,

Póki pierś oddech ma.

Jam tu szedł z cudzych stron

Z waszych zabaw mieć plon;

Ej wesółż to kraj!

Eins, zwaj, draj! Eins, zwaj, draj!

L i t e r a t.

Chętnie studyję te wrzaski,

Pisk muzyki, rzenie koni:

Tu przyszedł każdy bez maski,

Tu serce widać na dłoni!
 Ten lud nasz...te dzieci boże,
 Jaka tu zgodność choć wrzawa!
 Kiedyś to szerzej wyłożę,
 Będzie rozprawa!
 Zatlę skry palne
 W mgły socyalne,
 Z tych punktów właśnie
 Żywo objaśnię
 Ludzkość złączoną
 W braterskie grono.
 Wielce ciekawa
 Będzie rozprawa!

Duo.

Niemiec (z pozytywką).

W Litwie dla naszych przychodni
 Gotowa zawsze intrata.

Literat.

Postęp swój blaskiem pochodni
 Naród z narodem jak brata!

Wiejska dziewczyna.

O Boże! mocny mój Boże!
 Oczy się napaść nie mogą:
 Tu wstążki krasne jak róże,
 Ale to dla mnie za drogo;
 Szklane paciorki jak cacka,
 Aż je pożeram oczyma.
 Oj biedna doła wieśniacka,
 Że groszów niéma!

Och, wszyscy święci!
 Głowa się kręci,
 Lud kipi gwarnie,
 Muzykę garnie,
 Pójdę... zobaczę.
 Aż serce skacze!
 Ledwie wytrzyma....
 Ej groszów niéma!

Wiejski chirurg.

Wyjdę jak każdój niedzieli,
 Wezmę mikstury i plastry;
 Bo gdy się jarmark podchmieli,
 Nastaje bitwa chalastry.
 Będą skrwawieni, zranieni,
 Gdzie lecą ciosy bezładnie;
 Więc do lekarskiej kieszeni
 Grosz jaki wpadnie!
 Niechaj się grzmocą,
 Kiedy jest o co.
 A za opłatą
 Są plastry na to,
 Są i bandaże,
 Jak sztuka każe.
 Sprawię się snadnie,
 Coś w kieszeń wpadnie!

Tutti.

Ż y d z i.

Śledzie! pierścionki! wonności!
 Towary w świecie jedyne!

K u g l a r z.

A teraz szanowni goście
Ja wam koziełka wywinę!

S i e r o t a.

Każdy się dzisiaj nasycą...
Ja głodna cierpię tak srogo!

C y g a n.

Cha, cha, cha! znalazłem fryca,
Przedałem szkapę z ułogą.

K s i ę g a r z.

Nakład przezemnie wydany
Publiczność skwapliwie chwyta.

I n w a l i d.

Héj dziatwo! konik drewniany!
Patrzcie, jak pali z kopyta!

N i e m i e c (z ruletką).

Przegrali i płaczą jeszcze!
Widzicie!... głupie wieśniaki!

S z l a c h c i c.

Głód będzie!... nie idą deszcze!
W gazetach wojny oznaki.

Ż e b r a k.

Już się na szczydłach wynoszę,
Lud prosty — to mój dobrodziej!
Mam siedemdziesiąt trzy grosze,
Niech Bóg stokrotnie nagrodzi!

Wieśniak.

Kumie, no jeszcze po kwarcie!
Utopim biedę nareszcie!

Niższy urzędnik.

Sąd Ziemiński pisze otwarcie,
Że kontrabanda jest w mieście...

Niemiec (z pozytywą).

No! jeszcze walec... a żwawy!
Czekam zapłaty od gości.

Literat.

Mnie te ludowe zabawy
Przenoszą w wieki przeszłości!

Wiejska dziewczyna.

Ja jedna poglądam smutnie,
Tańczyć nie będę widocznie...

Wiejski chirurg.

No! dzięki Bogu są kłótnie,
Zaraz się bitwa rozpocznie.

Finał.**Chór Żydów.**

Szczotki! cukierki i dłóta!

Cygan.

Wiwat trędzla i podkowa!

Kuglarz, Ruleta
i Pozytywa.

Wiwat słowiańska szczerota!
Za wszystko płacić gotowa.

Literat.

Cześć postępowej pochodni!

Księgarz.

Niech żyje drukarska sztuka!

Chór podchmielonych wieśniaków,
Sierota, Inwalid.

A my i głodni i chłodni,
Niech każdy noclegu szuka!

1856. Borejkowszczyzna.

FRANCISZEK Z ASSISU.

KANTATA.

INTRODUKCYA.

Nr. 1.

C h ó r.

Aniołów i ludzi
I ptasząt śpiewanie
Niechaj się rozbudzi,
Niech głośną zostanie
Wszecłwiata modlitwa poranna;
Raz, drugi i trzeci
Nad ziemią zawisnie,
I w górę polecie,
Na ziemię wytrysnie,
Jak deszczyk majowy, jak manna.
Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nocie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna Królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi i ptaków,
 Dał świętą potrzebę śpiewania;
 Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
 On niebo przed nimi odsłania.

Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
 Do pieśni ta chęć nieustanna,
 Pośluszni natchnieniu będziemy śpiewali:
 Hozanna Królowi, hozanna!

NR. 2.

R e c i t a t i v o .

Niegdyś we Włoszech był piękny młodzieniec
 Zwany Franciszkiem z Bernardonów rodu.
 Podwójny pieśni i muzyki wieniec
 Skroń jego chwałą opasał za młodu.
 Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
 Namiętym taktem jego pulsa biły;
 Lecz Niebu więcej poświęcił kochania,
 Z całego serca, ze wszystkiej swój siły.
 Jak pierwszych wieków pustelnik sędziwy,
 Pracą, modlitwą i postem się krzepi;
 Lubił pustynię i natury dziwy,
 Tam mu się modlić bywało najlepiej.
 Tam gdy go ogień rozpromienia boży,
 Ukląkwszy w cieniu gałęzistym drzewa,
 Tak się zaduma, że piosnkę ułoży,
 I pocznie śpiewać, nie wiedząc, że śpiewa.
 Nieraz gdy gorzał w téj świętej zabawie,
 W duszy nadziemska zjawiała się siła,
 A przed oczami miewał sny na jawie,
 Kraina cudów przed nim się odkryła.

Jednego razu w noc ciemną majową,
 Na rozmyślaniach klęczał wedle drzewa;
 Wtém na gałązce po nad samą głową
 Słowik czarodziej piosenkę zaśpiewa.
 Taka go rwała do śpiewu ochota,
 Że tworzył cuda gardziółkiem śpiewaczém,
 Tryska trelami, pieści się, szczebiota,
 I jakby rzewnym rozlega się płaczem.
 Franciszek słuchał — i łzy lejąc z powiek,
 Głośno zawołał:—„O Boże mój, Boże!
 „Ja krwią najświętszą odkupiony człowiek,
 „Czemuż tak cudnych hymnów Ci nie złożę?
 „Bracie słowiku, nie uciekaj z drzewa!
 „Serce mi rwie się do pieśni ptaszęcój;
 „Będziemy śpiewać — kto kogo prześpiewa,
 „Ten swego Stwórcę miłuje goręcój!“
 I tak wydali walkę w cześć Jehowy
 Święty wyznawca i śpiewak gajowy.

NR. 3.

S ł o w i k.

Nie wam, nie wam,
 Dolecieć tam,
 Gdzie nasza pieśń dostrzeli:
 Nad piętra chmur,
 Gdzie pieją chór
 Ptazkowie i anieli!

Franciszek.

On sam nauczył pieśni
 I ptaszka i cheruba!
 Nie wam, śpiewacy leśni,
 Nie wam, niebiescy, chluba!

Panu samemu cześć,
 Panu samemu sława!
 On pieśniom daje treść,
 On dźwiękiem je napawa!

S ł o w i k.

Znam pieśń człowieczą, znam:
 To twardych słów igraszka!
 Ludzie, nie wam, nie wam
 Pieśnią prześcignąć ptaszka!

F r a n c i s z e k.

Bracie śpiewaku drzew!
 Człek się nie upokorzy:
 Silniejszy jego śpiew
 Nótą miłości bożej!

S ł o w i k.

Ptaszkowa modlitwa strzelista, głęboka!
 On Pana ogląda w widniejszym zakresie,
 On cuda natury ogląda z wysoka,
 Modlitwę na skrzydłach do niebios doniesie,
 Bez egoizmu plam,
 A wyśpiewaną prościej!...
 Ludzie, nie wam, nie wam
 Prześcignąć nas w miłości!

F r a n c i s z e k.

Bracie śpiewaku, kniej!
 By godnie kochać Pana,
 Wy macie środków mniej,
 Bo ptaszkom łza nie dana!
 My czujem tylko sami
 Urok miłości bożej:

Gdy człowiek zlany łzami
 W ziemskim się prochu korzy,
 Myślą przebiega góry,
 Nurtuje otchłań wody,
 Przebija czarne chmury,
 Leci na księżyc młody,
 Do gwiazd, do mlecznych dróg,
 I widzi ze wszech stron,
 Że wszędzie Bóg!
 Że wszędzie On!
 On w chwale majestatu
 Założył wszędzie tron;
 W słońcach i w pyłku kwiatu,
 Wszędzie On!
 Zawsze On!

A chcecie ujrzeć Mocarza,
 Co słowem światy utwarza?
 Patrzcie na tej góry szczyty!
 Stroma, straszna ze wszech stron!
 Tam człowiek na krzyż przybity:
 To On!

Z pod cierniowej korony krew z czoła mu tryska;
 Cóżba widzi w nim lichy cel urągowiska.
 Błaga o kroplę wody przykowan do drzewa;
 A z rozdartej swój piersi zdroje krwi wylewa,
 Zdroje łaski dla ludzi — i w skonania chwili
 Modli się za oprawców, co go umęczyli!
 Kiedy patrzą nań ciekawi,
 Gdy się znęca zgraja sług,
 Okiem światu błogosławi:
 To On... to Bóg!

To miłość boża, to Duch wcielony!...
 O gdzież te słowa? o gdzież te tony?
 Gdzie jest piosenka, co w rym posplata
 Tę wielką miłość Boga do świata?...
 Kocham Cię, Boże, całą istotą!
 Tłumne uczucia piersi mi gniotą,
 Tysiące hymnów szumi w mój głowie;
 Lecz nie wyśpiewam, lecz nie wysłowie!
 Najwyższa pieśń, gdy w proch się korzę,
 Jęcząc ze łzami: „Kocham Cię, Boże!“

Nr. 4.

Recitativo.

Ukląkł Franciszek w niebieskim zachwycie,
 Oczy wyteńczył ku niebios oddali.
 Zda się, że z piersi uleciało życie;
 Ono się tylko w głębi serca pali.
 Twarz mu się mieni gorącem, to zimnem,
 Snadź kipi w myślach to radość, to trwoga,
 Piers uroczystym kołysze się hymnem,
 Którego żaden nie słyszy prócz Boga.
 A słowik, siedząc na gałęzi drzewa,
 Wysilek człeka uważa z oddali,
 Jedną piosenkę szczebiotliwie śpiewa,
 Jedną modlitwą Pana Boga chwali.

Słowik.

Ja znam, ja znam
 Moich piosenek skalę:
 Nie nam, nie nam
 Śpiewać o bożej chwale!

Czuł ziemski pył,
 Że mu na ziemi ciasno:
 W górę się wzbił,
 Upadł pod pieśnią własną.
 Ptaszkowie my
 Mędrsi od ziemskich dzieci!
 Jak dusza śni,
 Tak się piosenka kleci.
 Bez żadnych zmian
 Ciągniemy hymn zaczęty:
 Tyś Bóg, Tyś Pan,
 Ty święty, święty, święty!

R e c i t a t i v o .

I na promieniach porannego słońca
 Płyną słowika czarodziejskie tony.
 Cała natura powtarza bez końca:
 „O święty, święty! o nieogarniony!“
 I cichy wietrzyk, i jeziora fala,
 I stare dęby, i chmurki w lazurze,
 Stworzenie chórem Jehowę wychwala,
 Słowik réj wie dzie w przyrodzenia chórze.
 Wtém z po za gaju, z nad wodnej wilgoci,
 Echem przypływa pieśń ziemskiego świata.
 Z blizkiego zamku, gdzie się wieża złoci,
 Odgłos piosenek biesiadnych dolata.
 Zbliża się, zbliża—to z hucznej biesiady
 Wraca rycerstwo i orężem dzwoni;
 Za nimi śpieszą minstrelów gromady
 Z piosenką w ustach, z harfami we dłoni.
 Z wesolym śmiechem postępuje rzesza,
 Słychać jój łoskot od wąwozów góry;

Echo jój pieśni swawolnie się miesza
Z uroczystemi hymnami natury.

Nr. 5.

P I E Ś Ń.

Jeden z rycerzy.

Héj! nie masz na świecie jak życie rycerza!
Gdy walczy w turnieju, gdy goni na ostrze,
Gdy piersi uzbroi, gdy ciosy wymierza,
Gdy sztandar swój ziemi nad wojskiem rozpostrze,
A wrogów toporem nasiekłszy do syta,
Do zamku swych przodków zajężdża gromadą,
Tam każdy rycerza wesoło powita,
Dziewica uśmiechem, trubadur balladą,
I rusza do kniei polować na zwierza!
Héj! nie masz na świecie jak życie rycerza!

Chór.

Héj! nie masz na świecie jak życie rycerza!

Jeden z rycerzy.

Héj! niemasz na świecie jak życie rycerza!
Niedźwiedzia lub dzika gdy wbije na ostrze,
I z łowów napowrót gdy w trąbkę uderza,
Gdy sztandar gościnny nad zamkiem rozpostrze;
A potem z drużyną, przy pełnym puharze,
Bratersko ucztuje dni całe,
Przywoła minstrelów, opiewać im każe
Kochanie, zwycięstwo i chwałę,
I nowe wyprawy na wrogów zamierza!
Héj! nie masz na świecie jak życie rycerza!

Chór.

Héj! nie masz na świecie jak życie rycerza!

Jeden z minstrelów.

Héj! nie masz na świecie nad życie minstrela!

On śpiewa na dworach mocarzy,

On sercom zbolełym radości udziela,

On mężnych do boju rozżarzy.

Powiernik miłości i bicia serc świadom,

Sercami jak zechce tak włada;

Gdzie przybył — sąsiedzi donoszą sąsiadom,

I zaraz zakipi biesiada:

Bo przybył z pieśniami posłannik wesela!

Héj! nie masz na świecie nad życie minstrela!

Chór rycerzy.

Niech żyje pogromca i wrogów i zwierza!

Chór minstrelów.

Niech żyje z pieśniami posłannik wesela!

Rycerze.

Héj! nie masz na świecie nad życie rycerza!

Minstrele.

Héj! nie masz nad życie minstrela!

Nr. 6.

Recitativo.

Z brzękiem zbroicy, tętnieniem podkowy,

Z chórami pieśni, wedle uczy prawa,

Przeciągał orszak biesiady światowej,

Kędy Franciszek Bogiem się napawa.

Ocknął się, głośnie obudzony wrzawą,
 Uchylił głowę i uważnie słucha.
 Takty piosenki bijące tak żwawo,
 Nie były obce dla młodego ucha.
 Cenił rycerzy jak wszyscy współcześni,
 Jako obrońców kraju i kościoła;
 Kochał minstrelów, bo znając cel pieśni,
 Wiedział co nótą smutna i wesoła.
 Do dźwięków wiersza, do muzyki grania
 Namiętnym taktem jego piersi biły.
 Bóg, co kraj ducha przed piewą odsłania,
 Rymotwórczemi obdarzył go siły.
 Poczuł natchnienie ku świeckiej piosence,
 Opiewać boje, łowy i puhary,
 I mimowoli zadrżały mu ręce
 Jakby szukając dźwięcznych strun cytary.
 Ale cytary pod ręką nie było,
 Zatęsknion po niej jak po cacku dziecię;
 A tu natchnienie z nieprzepartą siłą
 Wiodło myśl jego po tym pięknym świecie
 W krainę bojów, zwycięstwa, kochania,
 Gdzie leży niwa dla pieśni bogata...
 Dawno Franciszek sam sobie zabrania
 Tych marnych uczuć znikomego świata.
 A jednak serce rwało się ku ziemi,
 Chciał swoje ziemskie wypowiedzieć żale:
 Wybrał najświętszą pomiędzy ziemskimi,
 Pieśń o swym kraju i o jego chwale.
 Więc chociaż z sobą nie miał swój cytary,
 Głos wydać z piersi odważył się śmielój.
 Dobrawszy słowa do muzycznej miary,
 Taką pieśń posłał za echem minstrelki:

NR. 7.

PIEŚŃ FRANCISZKA.

Niéma na świecie, niéma,
 Jak ta ziemia bogata!
 Między morzami trzema
 Króluje berlem świata.
 Nie masz bogatszej strony,
 Jako kraj mój rodzony.

Świat zdumiewa mocarka,
 Wszystko zbiega się do niej.
 Rzym, Neapol, gród Marka,
 To trzy kwiaty jej skroni.
 Nie masz sławniejszej strony,
 Jako kraj mój rodzony!

Tu choć ziemia bez pracy,
 Urodzajna i święta;
 Tu najlepsi śpiewacy,
 Najpiękniejsze dziewczęta.
 Nie masz weselszej strony,
 Jako kraj mój rodzony!

Łaski świeże a świeże,
 Płyną na nią jak rosa:
 Tu najprawsi rycerze,
 Tu najczystsze niebiosy.
 Nie masz szczęśliwszej strony!
 Jako kraj mój rodzony!

O! jak chlubnie, jak miło
 Wyznać przed światem bożym,

Że się tutaj zrodziło,
 Że tu głowę położym!
 Bo nie masz miłszéj strony
 Jako kraj mój rodzony!

Nr. 8.

Recitativo.

Kiedy tak mówił — uderzył blask słońca.
 Jęknął dzwon ranny w poblizkim kościele,
 Poważne echo o pagórki trąca,
 Nad dolinami jako mgła się ściele.
 Umilkło ptactwo, ścichnął wiatr w dąbrowie,
 Ogarnął echo dzwon rozkołysany,
 Jęcząc i mruczając w uroczystém słowie:

„Módlcie się Panu nad pany!“

Ten jęk Franciszka duszę opamięta;
 On przetarł oczy badając czy nie śni:
 „Witaj mi, dzwonów harmonio święta,
 „Co od światowój odrywasz mię pieśni!
 „Piękny jest wprawdzie mój kraj rodowity,
 „Nie dziw, że z piersi piosenkę wymami;
 „Ale piękniejsze są niebios błękity,
 „Świętsza ojczyzna po nad błękitami.
 „Tam, tam daleko — tam dla pieśni droga
 „Leć duszo moja do Boga, do Boga!“

Nr. 9.

MODLITWA FRANCISZKA.

Panie, Panie, Boże mój!
 Przebaczenie święte daj,
 Żem na ziemski nócil strój,
 Żem za nadto kochał kraj!

Żem na chwałę lubych stron
Śmiał oderwać pieśni ton!

Źródłem pieśni Tyś jest sam,
Tobie służy hymnów treść;
Jam się ważył, choć to znam,
W inną stronę myśli wzniesić!
Oto błaga ziemski syn
Przebaczenia swoich win!

Przebaczenie, Boże, daj
Za myśl ziemską w serca dnie,
Że gdy wspomnę ojców kraj,
Coś do pieśni duszę rwie!
A gdym Boga pieśnią czcił,
To zabrakło marnych sił!

Ziemska pieśni! dość już dość
Być narzędziem ziemskich chwał!
Tybys mogła w serce wrość, —
Bóg nie na to serce dał!
Och! już nigdy w cieniu drzew
Mnie nie skusi ziemski śpiew!

Nr. 10.

Recitativo.

Bóg przyjął świętą ofiarę człowieka,
Ofiarę barda, co swe struny zrywa.
I oto słyhać z wysoka, z daleka,
Muzyka jakaś dźwięczna, pieszczotliwa
Płyńcie z błękitu nad góry, nad gaje,
Drga w rdzeni drzewa, po gałązkach lata,—

Głos się dla ucha znajomym być zdaje,
 Przecież to dźwięki nie ziemskiego świata.
 Są tu i hymny i ptasząt piosenka,
 A wszystko złane w tak cudnym doborze,
 Że się słuchając mimowolnie klęka
 I ucha od niej oderwać nie może.
 Och! lecz nie każde śmiertelnika ucho
 Godne usłyszeć te święte rozgwary!
 Trzeba być godnym miłością i skruchą;
 Unieść się duchem przez potęgę wiary.
 Bliżej... wyraźniej... nad gęstwiną drzewa
 Tryskają tony dźwięczne i bogate:
 To chór aniołów nad Franciszkiem śpiewa,
 By ziemskiej pieśni nagrodzić mu stratę.

Nr. 11.

Chór aniołów.

Wesel się synu człowieczy!
 Pan kontent z ofiary twojej:
 W zamianę znikomych rzeczy,
 Muzyką niebios cię poi.
 Ona twe serce rozżarzy,
 Od ziemskiej pieśni uleczy!
 W chórze niebieskich pieśniarzy
 Wesel się synu człowieczy!

Chór słowików.

Ej, drobniz my ptaszkwie,
 Pieśnią wzruszamy las,
 Modlimy się Jehowie,
 Jako nauczył nas!
 Ej, weźcie nas anieli,

Weźcie w niebieski chór!
 Niech nasza pieśń wystrzeli
 Aż pod obłoki chmur,
 I tam — i tam,
 U niebios bram,
 Odbije wtór!

Franciszek.

W obec ptaszka i anioła,
 Pieśń człowiecza taka błaha!
 Wtenczas tylko wzrosnąć zdoła,
 Kiedy zaprzec się nie waha,
 Kiedy ziemskie minie cele,
 Gdy miłością bożą płonie,
 Gdy się śpiewak krzyżem ściele,
 Gdy wyciąga w niebo dłonie!
 Ja mizerny w méj pokorze,
 Jednym hymnem wciąż zadzwonię:
 Chwała Tobie wielki Boże!
 Chwała Tobie na Syonie!

Nr. 12.

Chór ogólny.

Aniołów i ludzi
 I ptasząt śpiewanie
 Niechaj się rozbudzi,
 Niech głośną zostanie
 Wszechświata modlitwa poranna;
 Raz, drugi i trzeci
 Nad ziemią zawisnie,
 I w górę polecą,
 Na ziemię wytryśnie,
 Jak deszczyk majowy, jak manna.

Niech w jedno uczucie
Połączy świat cały,
I zleje się w nócie
Potężna pieśń chwały:
Hozanna Królowi, hozanna!

On w piersiach aniołów, i ludzi, i ptaków
Dał świętą potrzebę śpiewania.
Bóg mocy niebieskich jest Bogiem śpiewaków,
On niebo przed nimi odsłania.
Więc kiedy nam piersi rozżarza i pali
Do pieśni ta chęć nieustanna,
Posłuszni natchnieniu będziemy śpiewali:
Hozanna Królowi, hozanna!

1857. *Wilno.*

KASPER KARLIŃSKI.

DRAMAT HISTORYCZNY

W TRZECH AKTACH.

OSOBY:

KASPER KARLIŃSKI, dowódca zamku.

DOROTA, jego żona.

ZYGMUNT, ich syn.

PIENIĄŻEK, namiestnik Karlińskiego w Olsztynie.

LICHTENSTERN, dowódca niemieckich wojsk Maksymiliana.

STANISŁAW ZE ŻMIGRODU STADNICKI, starosta zygwański.

ADAM CZACHROWSKI, namiestnik Stadnickiego.

ZBOROWSKI) Stronnicy Maksymiliana.

GÓRKA)

BIENIASZ, giermek Karlińskiego.

MARTA.

SZLACHTA, stronnicy Maksymiliana.

Dwaj Chorążowie w zamku olsztyńskim.

Dwaj Puzkarze tamże.

Rzecz dzieje się w roku 1587, w pierwszym akcie w wiejskim dworze Karlińskich, w drugim w obozie Maksymiliana pod Olsztynem, w trzecim w murach Olsztyna.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

(Rzecz dzieje się w wiejskim dworze Karlińskich. — Wieczór. — Iżba ubrana w rycerski rynsztunek. — Pani Karlińska kończy czytanie Żywotów Świętych. — Zygmunt wsparty na stole jej słucha. — Opodal Marta z robotą.)

Karlińska (czyta).

„Czwarty i piąty syn poszedł na męki;
 „Szóstemu matka szeptała te słowa:
 „— Synu, patrz w niebo, patrz na świt jutrzeńki,—
 „Wszystko to stworzył z nicości Jehowa.
 „On cię umocni, — nie lękaj się kata,
 „Przyjmiej, jak bracia, śmierć z wesołą twarzą!
 „Pójdiesz po mękach do lepszego świata,
 „Kędy praw Pańskich łamać ci nie każą.
 „Syn jej wysłuchał i do zbirów rzecze:
 „— Mnie Antyocha nie złamie obawa;
 „Wiedźcie mię raczej pod topór i miecze,
 „Niżbym miał złamać Mojżeszowe prawa.“

(Przestaje czytać.)

Zygmunt.

Lubię gdy matka Pismo Święte czyta
 Lub męczenników za wiarę żywoty,
 Gdzie święty człowiek o nic się nie pyta,
 Oddając życie dla Boga i cnoty.
 Jego na przykład na tortury wleką,
 Szarpia mu ciało pochwyciwszy w kleszcze;
 Lecz on Chrystusa widząc niedaleko,
 W pośród męczarni uśmiecha się jeszcze.

Gdy tego słucham, coś na sercu miléj!
 Ot, myślę sobie — czy uwierzysz, mamó?
 Dzisiaj gdyby ludzi za prawdę męczyli,
 Jabym się zgodził umęczyć tak samo!

Karlińska.

Każdy powinien ofiarować życie,
 Gdy Bóg na niego krzyż męczeństwa zsyła.

Zygmunt.

Gdyby mnie, matko, wlekli na zabicie,
 Tybyś zapewne pobłogosławiła.

Karlińska.

Zkąd ci to przyszło?... och! ja nie wiem sama!
 Lecz dzisiaj jestem spokojna w tym względzie:
 Pan Bóg ofiarą krwawą Abrahama
 Słabój niewiasty doświadczać nie będzie.
 Rycerskich matek wiekuista chwała
 Dobrze mi znana z powieści i z dziejów;
 Ale Zygmuncie, jabym nie umiała
 Być matką Grachów albo Machabejów.
 Biedna pierś moja z boleściby pękła
 Pod doświadczenia okrutnego próbą...
 Jednej ofiary, cobym się nie zlekła:
 Opłakać ciebie — i umierać z tobą.

Zygmunt.

Ty płaczesz, matko!... nie lękaj się zgoła:
 Dzisiaj męczenników nie mamy na świecie.
 A gdy mię Pan Bóg na wojnę powoła,
 To przy mym boku będzie szabla przecię.
 A raz poszedłszy pod zaciąg orężny,
 Z życiem czy śmiercią—to nic się nie traci.
 Zostanę mężnym, jak mój ojciec mężny,

Albo polegnę jak siedmiu mych braci.
Patrz, jak to będzie!

(Zdejmuje ze ściany hełm i pałasz ojcowski.)

Kiedy ja podrosnę,

A ojciec siwy, zgarbiony i stary, —
Przyjdzie wiadomość, jak zwykle na wiosnę,
Że naszły Polskę Turki lub Tatarzy.
Wtedy ja sobie ot tę czapkę włożę,

(Wkłada hełm.)

Ze strusią kitą, z blaszaną przyłbicą,
Przywdzieję pancierz — czyż w takim ubiorze
Twoje się, matko, oczy nie zachwycą?
Przyjdę do ciebie, przeżegnasz mi czoło,
Dasz mi święcony obrazek na blasze;
Przyjdę do ojca, a ojciec wesoło
Ot tę mi szablę do boku przypasze.

(Przypasuje szablę.)

Zbrojny rodziców modłą i opieką,
Wsiądę na konia, co Bieniasz poda,
I w bój polecę daleko, daleko!
Krew płynąć będzie jak w rzeczulce woda!
Machnę szablicą — spada łeb tatarski;
Krzyknę — a Turczyn wnet ucieknie z bojów;
A hetman powie: Dziarskiś chłopcze, dziarski!
Krew nieodrodna Karlińskich Ostojów!
Patrz, jaka postać dzielna i junacka!
Brzęk, brzęk szablicą! ja poglądam dumnie...
Tymczasem Tatar podjeżdża z nienacka
I w samo serce łuk naciąga ku mnie.
Strzała szczęknęła — leci ku mnie, leci,
Przeszywa pancierz, i piersi, i serce;
Ja się posłaniam raz, drugi i trzeci,

(Kładzie się na krześle.)

Padam — i życie skończyłem w żołnierce.
 A dusza moja, gdzie śpieszniej niż ptaszę,
 Leci do nieba, do nóg Jezusowi!
 I tam się modli o zwycięstwo nasze,
 A Jezus naszą wygraną stanowi...
 Ty, matko, płaczesz — czyż ci serce boli?
 Czyż ci niemiło, żem umarł tak pięknie?

(Podbiega ku niej i bierze za rękę.)

Przebacz mi, matko, ten wyskok swawoli!

K a r l i ń s k a.

Przestań, Zygmuncie, bo mi serce pęknie!

M a r t a.

Niedobre dziecię! Bóg gniewa się w niebie,
 Jeśli kto matkę aż do łez rozżali.
 Rzuć te zabawki — jeszcze nie dla ciebie
 Ten twardy szyszak i ten miecz ze stali.

(Odpina mu pałasz i zrzuca hełm.)

Idź zmów pacierze! — przeproś Pana Boga,
 Żeś dzisiaj matkę niewinnie zasmucił;
 Zmów drugi pacierz — by minęła trwoga,
 By ojciec z wojny szczęśliwie powrócił.
 Może, gdy pięknie pomodlisz się o to,
 Zdołasz uprosić zlitowanie boże.

Z y g m u n t.

Dobranoc, matko!

K a r l i ń s k a *(całując go).*

Dobranoc, pieścizoto!

M a r t a.

Ja zaraz przyjdę, do snu cię ułożę.

(Zygmunt zawstydzony odchodzi.)

S C E N A D R U G A.

KARLIŃSKA, MARTA.

Karlińska.

Co to jest, Marto, że zawsze w nim świeci
Jakieś przeczucie krwawe i grobowe?

Marta.

Nic, dobra pani: nasze polskie dzieci
Zawsze podobnie rozmarzają głowę.
Patrzy na oręż, wciąż o wojnach słucha,
Hasa na koniu przez pola i jary,
Czytaniem kronik rozegrzewa ducha,
Z Żywotów Świętych uczy się ofiary.
Nic to nie szkodzi,— niech przywyka wcześniej;
A czy on Niemiec, by się bawił w lalki?

Karlińska.

Zawsze mi straszno, zawsze mi bolesnie,
Gdy on wyprawia po komnacie walki.
W jego zabawkach—uważałaś, Marto —
Zawsze na końcu dostrzegam śmierć ciemną...
Och! gdyby jeszcze jego mi wydarto!
Boże mój, Boże! zlituj się nademną!
Wszak teraz wojna — to niepróżna trwoga,
Obszerne pole dla niedobrych ludzi.
Ja mam w rycerstwie śmiertelnego wroga,—
Bóg wie do czego zemsta go pobudzi!

Marta.

Ty, pani, wroga miałabyś na ziemi!
Anioł dobroci!... nie wierzę ni trocha.

Karlińska.

Nie wszystkie wrogi wrogami naszymi,
 Czasem wróg sroższy—ten, który nas kocha!
 Wiesz o szalonej Stadnickich rodzinie,
 Która po kraju najbezkarniej broi.
 Jeden, Stanisław, co najgłośniej słynie,
 Przed laty ręki dopraszał się mojej.
 Jam pogardziła—brakło na odwadze
 Z dzikim szaleńcem stanąć na kobiercu;
 Anim sądziła, że tyle sprowadzę
 Klęski na siebie i na drogich sercu.
 Kochałam, Marto, dzielnego młodziana,
 Co się przed żadną potęgą nie cofa;
 Ale Stadnickich zemsta spodziewana
 Dosięgła celu — zabili Krzysztofa.
 Dom mego ojca, kędy się broniono,
 Poszedł w perzynę; jam ledwie uciekła.
 Chciałam pod grubą klasztorną zasłoną
 Skryć się od oczu posłanników piekła;
 Lecz gdzie są mury? gdzie warowne kraty,
 Coby przed możnym słabych osłoniły?
 Tam prześladowca silny i bogaty
 Znalazł nieszczęsną — groził swemi siły.
 Nie chciałam przeto narażać na strzały
 Dziewie Chrystusa, żyjących spokojnie.
 Kasper Karliński, rycerz osiwiwały,
 Co pięciu synów utracił na wojnie,
 Przyszedł do fórtty i rzekł ze szczerotą:
 —„Dajcie mi rękę uspokojcie trwogę.
 „Wiem co ci grozi; lecz, krasna Doroto,
 „Ja od Stadnickich obronić was mogę.
 „Mam własne ramię, dwóch synów rycerzy,

„Mam miłość szlachty, opiekę na tronie, —
 „I biada temu, który się zamierzy
 „Na bezpieczeństwo głowy, której bronię.
 „Straciłem żonę — wy bądźcie mi żoną;
 „Mówcie, Doroto, zgoda czy nie zgoda?“
 Ścisnęłam rękę od szabli zmarszczoną;
 Błysła mu ogniem szlachetna jagoda...

M a r t a.

Patrzę jak w obraz naszego paniska,
 Gdy mu rumieńcem skraśniają jagody.
 Na taki zapal, co mu z oczu błyska,
 Nie każdy rycerz zdobędzie się młody.

K a r l i ń s k a.

Nie pamiętając na włos jego siwy,
 Dałam się chętnie zaprzęgnąć do jarzem...
 Byłam szczęśliwa, i on był szczęśliwy,
 Gdyśmy przysięgli wiarę przed ołtarzem.
 Mego spokoju odtąd nic nie wzruszy;
 Kocham go Marto, a on mię osłania.
 Cnota, zasługa i szlachetność duszy
 Więcej niż młodość budzi przywiązania!
 Gdy codziem widzę jego piękną duszę,
 Gdy codziem słyszę jego piękne czyny,
 Jak nie mam kochać, kiedy czcić go muszę?
 On mój na ziemi obrońca jedyny.
 A to pieszczone bohaterskie dziecię,
 Które Bóg przysłał na pociechę naszą,
 Kocham nad wszystko, nad wszystko na świecie...
 Tylko mię jakieś sny bolesne straszą.
 Te jego ciągle przecucia męczeństwa,
 Jego zabawki, co ciągle śmierć wróżą...

Och! wiele, wiele potrzeba mi męztwa!
Boże, daj siłę, bo cierpieć mam dużo!

SCENA TRZECIA.

TEŻ I ZYGMUNT (*wpada z listem w ręku*).

Z y g m u n t.

Listy od ojca! nasz Bieniasz stary
Przybył z Olsztyna...

K a r l i ń s k a.

O! dzięki ci Boże!

(*Łamie pieczętkę i czyta:*)

„Miła Doroto! nastał czas ofiary...“

Z y g m u n t.

Bieniasz pyta, czy widzieć się może?

K a r l i ń s k a.

Proś, niech tu wejdzie.

SCENA CZWARTA.

CIŻ I BIENIASZ (*w zbroi, hełmie i burce*).

K a r l i ń s k a.

A jakże się macie?

B i e n i a s z (*z ukłonem*).

*Notandum tedy, jakoś Pan Bóg chowa,
A resztę w pańskich liściech wyczytacie.
Pani czy zdrowa? i Marta czy zdrowa?
Panicz jak ptaszek, trzpiota się i wierci,—*

(*Wita się ze wszystkimi.*)

Notandum tedy, że swawolnik wielki.
 A my za ledwie umknęliśmy śmierci,
 Dzięki opiece Boga Rodzicielki!
 Sejm elekcyjny wielce był gorący,
 Ci chcieli Szweda, a ci Austryaka;
Notandum tedy, chcący czy nie chcący,
 Tłukła się w szable partya wszelaka.
 Zamojski, hetman i kanclerz korony,
 Składał swe wota na szwedzkiego pana;
 Zborowscy zasię i szlachta z ich strony
 Trzymali sprawę Maksymiliana.
 Więc ku zgadnieniu nietrudna przyczyna:
 Snuł się tłum szlachty po Warszawie całej,
 Miody i piwa i węgierskie wina,
Notandum tedy, srodze podrożały!

K a r l i ń s k a .

Czytajmy listy.

(Czyta:)

„Nastał czas ofiary...
 „Już Zygmunto wi korona oddana.
 „Ale Zborowskich przeciwne zamiary
 „Chcą mieć na tronie Maksymiliana.
 „Długoby przyszło opowiadać pono
 „Te zobopólne waśni i swawole.
 „Szopę wyborczą po nocy spalono,
 „A krwią spłynęło elekcyjne pole.
 „Pomimo Niemców fakeyi zdradzieckiej,
 „Gdy prymas królem Zygmunta ogłasza,
 „Biskup kijowski, Jakób Woroniecki,
 „Okrzyknął Niemca. A choć szlachta nasza
 „I kraj miłuje, i prawa stanowi,

„I swoich swobód nie opuszcza marnie,
 „Chcąc się zasłużyć Zborowskich domowi
 „Pod sztandar Niemca ochoczo się garnie.
 „Mamy dwóch królów — na czém to się skończy?...
 „Niechaj kto zechce przekonania zmienia,
 „Kasper Karliński nigdy się nie złączy
 „Ze stroną Niemców na przekór sumienia.
 „Pomimo całej Zborowskich czeredy
 „Zygmunt mym królem... wybrałem... przysiągłem.
 „Będę go bronił.“

Bieniasz.

Więc *notandum tedy*,
 Że przyjdzie truchleć w niepokoju ciągłym.
 Gdzie pan, tam sługa — już obyczaj taki,
 Choć żaden za to i grosza mi nie da,
 Czy to napadną niemieckie żołdaki,
 Czy przyjdzie nędzę uciepieć od Szweda.
 Uciecze mądry, nadstawi się głupi;
 A czy wygrana nasza czy nie nasza,
 Cała się mocarstw polityka skupi
 Na starym, biednym karku Bieniasza.
Notandum jednak choć nałożyć głowę,
 Karlińskich domu nigdy nie opuszczę.

Karlińska (czyta).

„Zborowscy szlachtę pod swój sztandar zową,
 „Zbierają k'sobie niepocziwą tłuszczę.
 „Ale pod wodzą Zamojskiego Jana,
 „Chorągwie wiernych krajowi Polaków
 „Idą naprzeciw wojsk Maksymiliana,
 „Który chce szturmem uderzyć na Kraków.
 „Więc wszystkich fortec na granicznej stronie

„Pod wodzą starców pilnuje kwiat młodzi;
 „Murów Olsztyna ja od Niemców bronię,
 „Mężny Hołubek w Rabsztynie dowodzi.
 „A chociaż Niemcy nacierają biegle,
 „Obronim twierdze za pomocą bożą,
 „Dopóki cegła zostanie na cegle,
 „Dopóki trupów na trupach nie złożą.“

Bieniasz (*do siebie*).

Ja chciałbym wrócić na wioskową ciszę;
 Lecz jak uważam, żadnej rady niema.
Notandum tedy, kiedy pan tak pisze,
 To pewnie słowa swojego dotrzyma.

Karlińska (*czyta*).

„Jeden niepokój, co mém sercem miota,
 „Jedna mię dręczy troska pokryjoma:
 „Czy moja dobra i krasna Dorota,
 „Czy moje dziecię bezpieczne jest doma?
 „Bracia Stadniccy z Zygmuntem trzymają
 „I szlachtę dla nas gromadzą na Rusi;
 „Tylko Stanisław z zaprzedaną zgrają
 „Gdzieś w waszych stronach obracać się musi.
 „Jam tutaj sprawą ojczyzną zajęty
 „Nie mogę ruszyć ku domowej stronie;
 „Lecz moje syny Marcin i Walenty
 „Wkrótce pośpieszą ku waszej obronie.
 „Dziś Bieniasza do was posyłamy,
 „Niech lud wioskowy zgromadzi we dworze,
 „Rozda mu strzelby, pozamyka bramy,
 „Okopie rowy...“

SCENA PIĄTA.

CIŻ I STADNICKI *(który stał we drzwiach przez chwilę i słuchał)*.

Stadnicki.

Za późno już może!

Dwór otoczony, a wioska w pożarze.

(Do Bieniasza:)

Nie trudź się starcze, ktoś za ciebie czyni.

W Karlińskich dworze tu my gospodarze.

(Do Karlińskiej:)

Jak się miewacie, miła gospodyni?

Karlińska *(z rozpaczą)*.

To on! o Boże!

Bieniasz *(dobywając oręża)*.

Ja ciosu nie chybię!

Czy chcesz mieć czoło na dwoje rozdarte?

Wynosz się zaraz!

Stadnicki *(wytrącając mu oręż)*.

Precz mi, stary grzybie!

Hola, pachołcy! weźcie go pod wartę!

(Wchodzą zbrojni ludzie i uprowadzają Bieniasza.)

Karlińska *(przeżeraona)*.

On przyszedł tutaj..ze złemi zamiary.

Ratunku! ludzie!... mój mężu! mój mężu!

Stadnicki *(z szyderstwem)*.

Ucisz się pani! daleko twój stary!

W zbyt zardzewiałym ufalaś orężu.

Wzgardziłaś sercem—teraz twój kochanek

Z pogardą patrzy na twoje męczarnie.

Stadnicki szatan, nie cichy baranek,

Jego nie można znieważać bezkarnie.

Tys w moich rękach — Olsztyn za górami,
Do męża twoja nie doleci skarga.
Kochanko moja! my jesteśmy sami,
Przemoc twe śluby z Karlińskim potarga!

Marta (padając na kolana).

Panie! zlituj się!

Stadnicki.

Milcz, stworzenie głupie!

A uznaj we mnie zwycięzcę i władcę.

Zygmunt (z mieczem ojcowskim podbiegając ku niemu).

Widzisz ten oręż? chyba po mym trupie
Zdołasz ku mojej przybliżyć się matce!

Stadnicki (porywając go za rękę).

A tuś mi zuchu! nie wiedziałem zgoła,
Że waszmość żyjesz na tym pięknym świecie.
Pani Doroto, powiłaś anioła;
Stary Karliński snadź kocha to dziecko.
Takiego starca pod życia ostatki
Kupido jeszcze rozplomieniać może!
Bardzo podobny do ojca, do matki;
Wielce winszuję!

Karlińska.

Puszczaj go, potworze!

Stadnicki (stawia Zygmunta na ziemi i silnie trzyma go za ramiona).

Pani Doroto! czy on kocha syna?

Karlińska.

Wydrze za niego twoje nędzne życie!

Stadnicki (chłodno).

Dobrze! niech odda fortecę Olsztyna,
Wtedy pieśczętkę waszą zobaczą.

Teraz małego uprowadzam zucha:
 Zakład miłości ma być zakład wojny.
 Jeśli Karliński mych słów nie usłucha,
 Wtenczas, chłopaku, możesz być spokojny.
 Twą piękną główkę tą samą szablicą
 I własną ręką rozplątam na dwoje.
 Hola, pachołcy!

(Wchodzi kilku zbrojnych ludzi.)

Niechaj go pochwyca,
 Niechaj na siodło przywiążą go moje;
 I w téjże chwili niech dziesięć hussarzy
 Pędem piorunu pod Olsztyn dopada,
 Zdać go do ścisłej Czachrowskiego straży,
 I zapowiedzieć, że to ptak nielada.

(Pisze kartkę i oddaje żołnierzowi.)

Z y g m u n t.

Puść, bo ta szabla głowę ci rozwali!

M a r t a *(klękając).*

Panie, miej litość!

K a r l i ń s k a.

On litość mieć może!

(Patrząc na syna.)

Na co mu ręce tak mocno zwiążali?
 To takie słabe i wątłe nieboże!
 Zamrze wam w drodze!... Tygrysie! tyranie!
 Krwi tobie trzeba?... wysącę ją rada!
 Pij!... żłopaj!... ciesz się!...

(Klęka.)

Ulituj się panie!

Przebacz, co matka bezprzytomna gada!
 Oddaj mi syna!... Już jego powlekli!...

Z y g m u n t (*szamocąc się z żołnierstwem*).

Ja was zabiję! puśćcie mię do matki!

K a r l i ń s k a.

Czekajcie chwilę!... o siepacze wściekli!...
 Ja wydobędę sił moich ostatki!
 Spieszycie konno!... ja pieszo polecę,
 Ja was dopędzę, — pozwólcie mi gonić!

(*Żołnierze wyprowadzają Zygmunta.*)

Idź drogi synu! idź w bożej opiece!
 Ja krew przeleję, ja łzy będę ronić, —
 Trafię do króla... dla mnie wszystko jedno,
 Czy Maksymilian, czy Zygmunt się zowie...
 A król nad matką zlituje się biedną,
 Was na tortury osądzi, panowie!
 Poczekaj, synu! pokrzep się nadzieją!
 Ja w ślad za tobą polecę jak strzała!...
 Ratujcie, ludzie!... nogi mi się chwieją...
 Synu mój, synu...

(*Upada zemdlona.*)

S t a d n i c k i.

Wszak ona zemdląła.

Wpiłem w jój serce pazury tygrysie.
 Ratunku! wody, pachołcy, przynoście!...
 Panie Karliński! ani waści śni się,
 Jacy w twym domu gospodarzą goście.

AKT DRUGI.

S C E N A P I E R W S Z A.

(Namiot żołnierski, w środku długi stół, przy nim kilku szlachty przy pułarach, jeden szlachcic przy świetle czyta list. — Milczenie.)

Pierwszy Szlachcic (do tego, który czyta).

Co słyhać w Litwie? Co słyhać w Koronie?

Wy macie listy, to wy wszystko wicie.

Prędkoż Szwedzika osadzą na tronie,

Maksymiliana wymiotłszy jak śmiecie?

(Śmieje się.)

Szlachcic (kładąc list).

To list po prostu od żony i dzieci.

Niech sobie w Polsce kto chce berłem włada,

Czy Maksymilian, czy to Zygmunt Trzeci, —

U mnie zarazą obora wypada.

Rzucajcie sobie rodzicielskie wioski,

Wola każdemu z miłościwych braci;

A mnie Zamojski ani pan Zborowski

Za moje straty grosza nie zapłaci.

Wracam do domu!

Drugi Szlachcic.

Ho! ho! jaki szparkil!

Szkoda, że za to więzienie i kula!

Trzeci Szlachcic.

Jemu tak pilno do swój gospodarki,

Gdy do stolicy wprowadzamy króla.

Pierwszy Szlachcic.

Jakiego króla?

Trzeci Szlachcic.

Wszak byłeś na sejmie,
Na którym obran Maksymilian Pierwszy?

Pierwszy Szlachcic.

Kłaniam się wasciom — kłaniam się uprzejmie,
Ja od was wszystkich będę trochę szerszy.

(Staje wsparty oburącz na szabli.)

Czy wam, panowie, doprawdy się zdawa,
Żeście obrali Maksymiliana?

Czy wedle ustaw powszechnego prawa
Stanowi naród garstka zbuntowana??

(Szlachta się oburza.)

Nie kręćcie wąsów, a powiedzcie szczerze:
Mybyśmy wszyscy stali przy Zyguncie,
Lecz jeden jurgielt od Stadnickich bierze,
A drugi mieszka na Zborowskich gruncie;
Tego Czarnkowski przynęcił nadzieją,
Temu kniaź Pruński przyrzekł swą pokrewną.
Myślimy bracia o wszystkiem koleją,
Ale o Niemcu, że najmniej, to pewno!
I nikt zaiste nie wierzy w swęj duszy,
By się utrzymał nasz elekt na tronie.

Drugi Szlachcic.

Co waśc rozprawiasz? ściany mają uszy!

Trzeci.

Ja ci rozumu do głowy nagonię!
Co to? ja matacz!! lub jaki przechera!!

Pierwszy.

Kręcisz się waszmość — kędy wiatr powieje.

Trzeci (dobywając pałasza).

Co! bij się zemną jeśli prawda szczerą.

Pierwszy (także dobywając pałasza do obecnych).

Bądźcie świadkami mości dobrodzieje!

(Krzyżują pałasze.)

(Jeden ze szlachty raniony w rękę.)

Czwarty (wpadając pomiędzy nich).

Zgoda panowie! czyście zapomnieli,
 Że tu żyjemy pod niemieckim prawem?
 Że kto w obozie rąbać się osmieli,
 Zwierzchność nań patrzy okiem nielaskawém?
 Oto przychodzi pan Adam Czachrowski,
 Nasz wódz, gdy nie ma pana Stadnickiego...

Trzeci.

Poeta jakiś!... niech obcina zgłoski.

Czwarty.

Obetnie uszy i tobie, kolego!
 Z nim nie żartować...

SCENA DRUGA.

CIŻ I CZACHROWSKI (z siwą brodą i długimi włosami).

Czachrowski (groźnie).

Do pochw orężę!
 Waszmościom w głowie bitwy i kielichy,
 Gdy ja się w myślach gubię i mitrężę,
 Jakby ten zamek opanować lichy.
 Mury niekrzepkie, nieliczna załoga,
 Czas, by się w nasze władanie dostała...
 Ale przez skały niedostępna droga

I u dowódcy serce gdyby skała.
 Pisałem z groźbą, on nie dba o życie...
 Posłałem mówić o jakim okupie:
 — „Nie dam,“ rzekł, „zamku, chyba położycie
 „Cegłę na cegle a trupa na trupie!“
 On z armat ciągle naszych ludzi traci,
 Gdy nasze działa sięgnąć tam nie mogą;
 Lecz wezmę zamek!... A krew moich braci,
 Kasprze Karliński, przyplącisz mi drogą!
 A tu czas nagli... a wojna niezmierna...
 Dziesięć lat nie stać jak pod jaką Troją!
 Nie wzięwszy fortec — wojska Lichtensterna
 W głębinę kraju zapuścić się boją.
 Ja dałem panu Stadnickiemu słowo
 We trzy dni zburzyć albo wziąć te mury...
 Szturmem pójdziemy.

Jeden ze Szlachty.

Iść na śmierć gotową,
 Gdy jak w cel palą armatami z góry?!
 To rozkaz waszmość, niechaj Niemcy idą.

Czachrowski.

Właśnie trafiłeś — żarłoki i tchórze!
 Nam trzeba działać lub odejść z ohydą...
 Służę waszmościom!...

Jeden ze Szlachty.

Ale ja nie służę!

Prowadź nas waszmość gdzieś na równe pole:
 Przy brzęku trąby, przy naszym sztandarze,
 Z bardyszem w rękę, z szyszakiem na czole,
 Zobaczysz waszmość, co szlachta dokaże.
 Lecz tu... gdzie murów nie dostać pałaszem,

Gdzie po namiotach zgnuśnieliśmy prawie...
 Panie rotmistrzu! z przeproszeniem waszém
 Ja łba na pewny pocisk nie nadstawię.

Drugi.

Łeb nam potrzebny nie na jedną chwilę.

Trzeci.

I mój łeb także ja coś sobie ważę.

Czwarty.

I ja z namiotu głowy nie wychylę.

(Słychać trąbkę.)

Czachrowski.

Hańba wam! hańba, sarmacy hussarze!
 Ojcowie wasi na osłep walczyli,
 Jak o tém dziejów zapisała karta...

Jeden ze Szlachty.

To może było w przyjaźniejszej chwili?

Drugi *(z cicha z przekąsem).*

Lub może sprawa była więcej warta.

Żołnierz *(wchodzi).*

Listy od wodza i jakieś pachole
 Pojmane jeńcem czeka tam na dworze.

Czachrowski.

Zkąd jemu przyszło brać dzieci w niewolę?

Szlachta *(otaczając Czachrowskiego).*

Z tego pisania dowiemy się może.

Czachrowski *(czyta).*

„Mnie wielce miły Mospanie Czachrowski!
 „Uprzejmie Waszmość pozdrawiam z podróży.
 „Płondrując naszych nieprzyjaciół wioski

„Złapałem ptaszka, coć dobrze usłuży.
 „Dawny rachunek miałem z tą rodziną,
 „Dziś dobry połów usłużył méj dłoni;
 „Jest to zuch mały, z bohaterską miną,
 „Syn Karlińskiego, co Olsztyna broni.
 „Napisz do starca, niech pomyśleć raczy,
 „By jutro zamek był w dzierżeniu naszém;
 „Bo swego synka więcéj nie zobaczy,
 „Ja sam mu głowę rozplątam pałaszem...
 „To moja wola — to stanowcze słowo,
 „Które niech Waszmość Karlińskiemu poda.
 „Jestem z attencyą zawżdy jednakową,
 „Sługa Waszmościń Stadnicki z Żmigroda.“

SCENA TRZECIA.

CIŻ SAMI i ŻOŁNIERZE

(*wnoszą śpiącego Zygmunta*).

Ż o ł n i e r z.

W drodze na zimnie usnęło niebożę.

C z a c h r o w s k i.

Nie budzić dziecka — nie stąpać tak z góry,
 Wołok i siano podesłać na łożę,
 Odjąć mu z lekka krępujące sznury!
 Niech trochę spocznie...

(*Do Szlachty:*)

A który tam z wasci
 Chciałby pojechać do zamku Olsztyna?
 Juźci Karliński nie zdziała napaści,
 Gdy mu przywieziesz wiadomość od syna.

Jeden ze Szlachty.

Piękna wiadomość! ja takiego posła
Kazałbym zrąbać lub przybić do pala.

Drugi.

Panie Marcynie — tys żołdak z rzemiosła,
Nie wiesz, że prawo tego nie pozwala...
Prawo narodów — przeczytaj, sąsiedzie.

Pierwszy ze Szlachty.

Nie czas do książki, kiedy stryczkiem grożą.

Czachrowski.

Mości panowie, kto do zamku jedzie?

Jeden z grona.

Ja moje losy zdam na wolę bożą...
Jadę rotmistrz!

Czachrowski.

Papieru i pióra!

Napiszę listy!... tu idzie o życie.

Jeden ze Szlachty.

Ciekawy jestem, co nasz poseł wskóra.

Czachrowski.

Papieru! pióra! czy waszmość słyszycie?

Szlachta (zakłopotana).

Papieru! pióra! niełatwa zagadka

Znaleźć te rzeczy między hussarzami.

(Patrzą na siebie.)

Jeden ze Szlachty (oddzierając kawał listu, który czytał).

U mnie jest papier, udzielię wam szmatka.

Drugi (odrywając orle pióro od hussarskich skrzydeł swojej zbroi).

U mnie jest pióro... zaostrzcie je sami.

(Czachrowski z pośpiechem temperuje pióro.)

Zygmunt *(przez sen)*.

Nie płaczcie matko! nie płacz i ty Marto...
Ja będę w niebie — ja będę zbawiony...
Czyż męczennikiem być za to nie warto?
Czyż zazdrościcie palmy i korony?

Czachrowski *(skończywszy temperować pióro)*.

Dajcie inkaustul

Szlachta *(znowu zafrasowana)*.

O to trudniej pono...
My czarnej cieczy nie nosim w podróży.

Czachrowski.

Wszystko mi jedno czarno czy czerwono.

Jeden ze Szlachty *(ten, który był raniony)*.

Ja mam krew moją, niech waszmości służy.

(Podaje mu rękę z poważnym ukłonem.)

Czachrowski.

Lubię cię! znacznie, żeś rycerskie dziecko,
Co do niezego swojej krwi nie przeczy...
Dziękuję wści.

(Macza we krwi pióro i pisze.)

Głos z tłumu.

Ale krwią szlachecką
Tylko szlachetne trzeba pisać rzeczy!
(Czachrowski pisze.)

Jeden ze Szlachty *(patrząc na śpiącego Zygmunta)*.

A szkoda dziecka!...jego los na szali.

Drugi *(także patrząc na Zygmunta)*.

Karliński twardy!

Trzeci *(ze współzuciem)*.

O! zmiękcze go Nieba!

Z y g m u n t (*przez sen*).

Krwia! odpowiemy, gdy krwią zapytali!
Matko! krwi własnej zaprzec się potrzeba.

C z a c h r o w s k i (*szukając w tornistrze*).

Mam tu i pieczęć, mam i kawał wosku.

(*Pieczętuje list.*)

(*Do Szlachcica, który ma iść z poselstwem:*)

No! ruszaj waszmość, nie zwlekając chwili;
Jeśli Karliński czuje po ojcowsku,
Do mojej rady pewnie się przychyli.
Niech się na łaskę zwycięzcy poddadzą
I on, i szlachta, i wszyscy żołdacy;
Dziś jeszcze zamek niech trzyma pod władzą,
A jutro klucze złoży mi na tacy!
Waszmość obejrzyz prochownie, zbrojownie,
I wezmiesz wszystko pod pieczęcie nasze.

S z l a c h c i c.

A gdyby miano postąpić gwałtownie
I mnie posłańca chwycić na pałasze?...

C z a c h r o w s k i.

Śmieszne pytanie!— to umrzesz, kolego,
A my za głowę pomścimy się waści.
Lecz znam ja serce Kaspra Karlińskiego,
On nie popełni bezecnej napaści...
To człek rycerski— sami zobaczycie...
Nie bój się waszmość, tam nie czeka zdrada.
Zresztą przypomnij, że za twoje życie
Syn jego własny życiem odpowiada.
Idź jak powinien poseł uroczysty,
Wracaj z responsem pomyślnie a rychło.

(*Szlachcic odchodzi.*)

Jeden ze Szlachty.

A gdyby jednak mimo wasze listy,
 Jutro strzelanie z armat nie ucichło?
 Co waszmość poczniesz z tém nieszczęsném dzieckiem?
 Toż syn szlachecki bezbronny i młody.
 Czyż ma polegnąć pod ciosem zbójcekim,
 Pod ciosem naszym?...

Drugi.

Czy to my Herody?

Czachrowski.

At! pleciesz waszmość! i któż tego nie wie,
 Że krew niewinna o pomszczenie woła?
 Mało co pisze pan Stadnicki w gniewie!
 Ale się zbrodni dopuścić nie zdoła.
 A zresztą pytam: czyż Karliński może
 Pogardzić naszym przelożeniem szczerém?
 Wydać krew własną na śmiertelne noże...
 Trzeba być zwierzem...

Szlachcic (z tłumy).

Albo bohaterem.

Zygmunt (przeciera oczy z grymasem zaspanego dziecka).

Gdzie to ja jestem? gdzie matka? gdzie Marta?
 Czy ojciec wrócił? gdzie nasza czeladka?
 Dla czego na mnie sukienka podarta?
 Jeszcze doprawdy zagniewa się matka!
 Matko! w śnie moim, gdybyś ty widziała,
 Jakie mi Jezus darował ubranie!
 Sukienka śnieżna i przepaska biała,
 Gdzie niegdzie złota i purpury tkanie...
 Och! gdyby zasnąć i przysnąć ją jeszcze!
 Włożę ją, włożę... och! tak, nieinaczéj!..

Szlachcic (do drugiego).

Wiesz, panie bracie? Mnie przechodzą dreszcze.

Drugi.

Zwyczajnie dziecko, coś przez sen majaczy.

Zygmunt (przychodząc do siebie).

Czy to nasz dworzec? gdzie moja komnatka?

Ach! przypominam o tój strasznej chwili...

Już mię na zawsze pożegnała matka;

Zbójca mię zabrał... i na koń wsadzili—

Związali ręce — puścili się kłusem...

Jam długo krzyczał — usnąłem nareszcie,

I byłem w niebie, gadałem z Jezusem,

Dał mi sukienkę.

(Do Czachrowskiego:)

A wy kto jesteście?

Czy słudzy tego straszego rycerza,

Co na nasz dworek wpadł wczora jak zbójca?

Macie mię zabić?

Czachrowski.

Tys zakład przymierza,

Chcemy mieć zgodę z wojskiem twego ojca.

Zygmunt.

Chcecie z nim zgody?

Czachrowski.

O! my niedalecy!

Zygmunt.

A o cóż kłótnia? niech winny przeprosza...

Czachrowski.

Twój ojciec nie chce oddać nam fortecy.

Zygmunt.

Bo ta forteca musi być nie wasza.

O ja znam ojca!—daremne gadanie—

On cudziej rzeczy nigdy nie przywłaszczy!
 Ale co swoje to obronić w stanie,
 Nawet wilkowi odebralby z paszczy!
 On wielki rycerz, wy tego nie wiecie,
 Odbył sto bitew w chwale i odwadze.
 Łatwo wam w nocy uprowadzać dziecię,
 Ale się z ojcem porywać nie radzę.
 A starsi bracia!... Ho! także są zuchy!
 Nie zaczepiajcie Ostojów z Karlina!

Szlachcic (*do drugiego*).

To dziecię pełne najlepszej otuchy.

Drugi.

Jak on mojego chłopca przypomina!

Trzeci.

W oczach odwaga, a zuchwałość w mowie...
 To polskie dziecko, jak mi Pan Bóg miły!
 (*Słuchać trąby.*)

Czachrowski.

Grają pobudkę! słyszycie, panowie!
 Snadź pierwsze kury już się obudziły.
 Wszyscy do swoich chorągwi niech śpieszą,
 Ranną modlitwę niech wojsko odśpiewa.
 Nabijać działa! a chorągiew pieszą
 Od wschodniej strony ukryć między drzewa.
 Ruszajcie waszmość— ja tu się pomodłę,
 Odśpiewam hymny za koronną dolę.

Jeden ze Szlachty.

Jednak rotmistrz, zbyt byłoby podle,
 Abyśmy mieli zabić to pacholę!

(*Szlachta się rozchodzi — tylko zostaje kilku ze służby obozowej.*) .

(*Muzyka poczyna przegrówkę.*)

S C E N A C Z W A R T A.

CZACHROWSKI — obok ZYGMUNT — w głębi namiotu kilku żołdn
ków — wszyscy zdejmują hełmy.

Czachrowski (śpiewa).

(*Wolne recitativo.*)

Najwyższy Panie,

Mocny Hetmanie,

Dobądź oręża swego!

Pomóż wygranęj,

Ulecz nam rany,

W sławie imienia Twego!

Chór.

W sławie imienia Twego!

Czachrowski.

Ani gromada,

Ni ludzka rada,

Wygrywa plac w potrzebie.

Szabla tępieje,

Serce truchleje,

Gdy Boże nie masz Ciebie.

Chór.

Gdy Boże nie masz Ciebie.

(*Słychać zewsząd trąby wojenne.*)

Jeden ze straży (*wchodzi*).

Jakaś niewiasta chce tutaj przebojem

Porwać to dziecko.

Czachrowski.

A mniejsza mi o to,

Niechaj się stawi przed obliczem mojem!

Głos Marty (*za sceną*).

Gdzie ty, Zygmuncie? ty moja pieszczoto!

S C E N A P I A T A.

Marta (*wpada w potarganym ubiorze i rzuca się na szyję Zygmunta*).
Zygmuncie!

Zygmunt.

Marto!

Marta.

Znalazłam cię przecię!

Żołnierz (*do Marty*).

Zbliż się do wodza...

Marta.

Precz mi, dzika hydro!

(*Do Zygmunta:*)

O mój ty skarbie! o moje ty dziecię!
Mogą mię zabić, lecz ciebie nie wydrą!

Czachrowski.

Kto waszmość jesteś?

Marta.

Wszak jam to niebożę
Piersią karmiła, na rękach dźwigała..

Czachrowski.

Nic mu tu złego trafić się nie może,
Dziecina będzie wesola i cała;
Wnet go do ojca odeszliśmy zdrowo,
Jeśli, jak sądzę, fortecę nam wyda.

Zygmunt.

A gdzie jest matka?

Marta.

Bóg czuwał nad głową,
Gdy miała spotkać sromotna ohyda.
Zaledwie wrogi ciebie pochwycili,
Wojsko ojcowskie przybiegło w drużynie,

Wzięto twą matkę, i pewno w téj chwili
 Już jest bezpieczna, przy ojcu w Olsztynie...
 Stadnicki umknął — z nim jego hussarze.
 Chciano mnie zabrać k'zamkowej załodze,
 Lecz ja pobiegłam gdzie mi serce każe,
 Odszukać ciebie. . och! przecię znachodzę!

(Ściska Zygmunta.)

(Słychać znowu trąbę.)

Czachrowski *(do wchodzącego żołnierza ze straży).*

Czego tam trąbią?

Żołnierz.

Bo Pan Bóg dał gości:

Przybywa sukurs tysięcy ze cztery,
 Wojsko Królewskiej Austriackiej Mości
 I wszyscy wodze od głównej kwatery.

SCENA SZÓSTA.

LICHTENSTERN, ZBOROWSKI, GÓRKA i KILKU WODZÓW.

(Szlachta kłania się Zborowskiemu i Górcze.)

Lichtenstern.

Czy to wasz Olsztyn? To i czasu szkoda!
 Zburzyć mi zaraz gniazdo rozbójnicze!
 Kto tutaj wodzem?

Czachrowski.

Stadnicki z Żmigroda,

A ja w chorągwi jego namiestniczę:
 Adam Czachrowski...

Lichtenstern.

Słyszałem o wasci —
 Dla czego zamku nie wzięłaś przemocą?

Czachrowski.

Bo trudno znaleźć miejsce do napaści,
Skały wysokie—a tam z armat grzmocą.

Lichtenstern.

Podwoić siły!

Czachrowski.

Straciłem ich dużo,
Ale mi żadne nie wiodły się plany.
Stracili serce ci, co zemną służą,
Szlachta iść nie chce...

Lichtenstern.

To szlachtę w kajdany!

Zborowski.

Niech na to Wasza Ekscelleneya zważa,
Że prawo nasze więzić nas zabrania.

Górka.

A taka mowa toć szlachtę obraża,
Gdy nam w jej sercach trzeba przywiązania.

Lichtenstern.

Radścież, co począć?

(Panowie polscy otaczają Lichtensterna, toczy się cicha narada. — Czachrowski przechodzi na przód sceny.)

(Wchodzi szlachcic, który był posłany do Olsztyna.)

Czachrowski.

Z czém powracasz wasze?
Z różczką oliwy czy z kością niezgody?

Szlachcic.

Stary Karliński groźb się nie przestrasza,
W swoim zapale trwa jeszcze jak młody.

—„Zamku nie wydam“—rzekł do mnie z zapalem --
 „A z synem czynicie, jako wam się zdawa...
 „Pierwój niż ojcem Polakiem zostałem—
 „Starsze ojczyzny niż ojcowstwa prawa.“

Czachrowski.

Przeklęty upór!

Szlachcic.

A z armat wystrzeli,
 Jak tylko słońce poranne zaświeci.

Lichtenstern (*postrzegając Zygmunta i Martę*).

Niewielkie dziwy, żeście zniewieścili,
 Włócząc z obozem niewiasty i dzieci.

Czachrowski.

To nasi jeńcy, wódz przysłał ich wczora...
 Syn Karlińskiego, co w zamku starostą,
 A to piastunka.

Lichtenstern.

A więc dobra pora,
 Wziąć mury zamku bez walki i prosto.
 Czy wie Karliński, że syn tu w niewoli?

Czachrowski.

Właśnie do niego pisałem w tój chwili.

Lichtenstern.

Jakaż odpowiedź?

Czachrowski.

Że go serce boli,
 Lecz się przed żadną ofiarą nie schyli,
 Że prędj syna niż zamek utraci,
 Że puści na nas wystrzały i groty.

Lichtenstern (z ironią).

Dziwnyście naród, panowie Sarmaci,
 Lubicie rzymskie naśladować cnoty!
 Lecz zmiękniesz... zmiękniesz mój ty hardy ptaku,
 Zniżysz twój polot aż do saméj ziemi!
 Panie Zborowski! zagrać do ataku!
 I szturm przypuścić siłami wszystkimi!
 Niechaj się mężnie krzątają żołnierze,
 Król Maksymilian dobrą da nagrodę.
 Gdzie najwarowniej, tam ja sam uderzę...
 Ha! i to piskłę przed sobą powiodę.
 Niechaj na rękach trzymają go strażę,
 A tę niewiastę niech obok prowadzą!
 Zobaczym wtedy, czy ognia dać każe,
 Czy serce ojca ocknie się z swą władzą??

G ó r k a.

Lecz to niegodnie—to za ciężka proba
 Dla serca ojca, gdy je nosi w łonie.

Lichtenstern.

Pozwolił czynić, co się nam podoba,
 I ja mu czynić co zechce nie bronię;
 Wolno mu zabić lub ocalić dziecię.
 Héj! tuż przedemną ponieść go pod wartą!
 Zagrać do szturm!

M a r t a.

Panie! czyż zechcecie
 Gubić pacholę?...

Z y g m u n t.

Nie zniżaj się Marto!
 Jak ojciec zechce, jak rozrządzą Nieba,
 Tak w imię boże niechaj się i stanie!

Jeśli krwi mojej na ofiarę trzeba,
Z chlubą wypełnię moje powołanie.

(Słychać sygnały. Żołnierze biorą Zygmunta pod ręce — drudzy Martę. Za nimi wychodzi Lichtenstern dobywając pałasza, za nim inni wodzowie.)

Wszyscy żołnierze *(wołają)*.

Dalej do szturmu!

Czachrowski *(wychodząc na ostatku)*.

To rycerz nie dziecko!

Czego mam życzyć, sam nie wiem już zgoła...

Płakać mi chce się!—Precz ze łżą zdradziecką!

Dalej do szturmu, gdzie powinność woła!

(Zasłona spada.)

A K T T R Z E C I.

(Wnętrze bastyonu.—W strzelnicach działa, których tylko zapaly dają się widzieć.—Ściana przystrojona w chorągwie.)

S C E N A P I E R W S Z A.

KARLIŃSKA I KARLIŃSKI.

Karlińska *(z rozpaczą)*.

Cóż teraz czynić??

Karliński.

Póki nie wyswita,

Trudno coś począć... Odwaga! odwaga!

Muszę tak czynić, jak Rzeczpospolita

Po swoich wiernych obrońcach wymaga.

Trzeba jej służyć najwierniej, najprościej,

I siłą ducha, i ramienia siłą;

Na świętej drodze naszych powinności
 Nie można czynić jako sercu miłom!
 Aby tych zbójców prześcignąć na drodze,
 Posłałem odsiecz we dwadzieścia koni;
 Lecz z Czachrowskiego pisania dochodzę,
 Że pośpieszyli umknąć od pogoni.
 Zygmunt w obozie, w nieprzyjaciół mocy,
 Ale tymczasem nie zginie w niewoli.
 Rankiem wypadnę jak kamieniem z procy,
 Odbiorę dziecko, jeśli Bóg dozwoli.
 Ale nie oddam i nie przefrymarzę
 Murów tej twierdzy za krew mego syna:
 Znam mą powinność...

S C E N A D R U G A.

CIŻ I BIENIASZ.

Karliński (*do Bieniasza*).

Co mi powiesz, starcze?

Bieniasz.

Notandum tedy, niedobra nowina:
 Wracam z pogoni bez żadnego skutku;
 Panicz w obozie...

Karliński.

Wiem o tém,—cóż dalej?

Bieniasz.

Więc myślę sobie: trzeba po cichutku
 Napaść na obóz...

Karliński.

Czy wy zwaryowali!

W dwadzieścia koni na kilka tysięcy!
Stary szaleńcze, natarłbym ci uszy.

Bieniasz.

O! byli z nami dobrzy sprzymierzeńcy:
Najprzód noc ciemna, potem rozpacz w duszy,
Potem stróż anioł, co stoi na straży
Przy pańskim dziecku—zaginać nam nie da.
Notandum tedy, to coś więcej waży
Niż śpiąca kilku tysięcy czereda.

Karlińska.

Pocziwy! dobry! zacny Bieniaszu!
Jaka myśl święta przyszła ci do serca!
Miałeś nadzieję w Bogu i pałaszu,
Zdobyłbyś obóz, zginąłby wydzierca,
Zyguuntby wrócił!... Idź, wszak jeszcze ciemno,
Wszak jeszcze pora: oni snom oddani!
Idź Bieniaszu, zlituj się nademną,
Uderz na obóz...

(Kłęk przed nim.)

Bieniasz.

Niepodobna, pani!

Karliński.

Przed świtem czynić wycieczki nie wolno!
Może gdzie matnia zdarzyć się ukryta...
Rankiem uderzym na kupę swawolną.

Karlińska (zwracając się ku mężowi, zawsze na kolanach).

Ależ mój mężul czy widzisz? już świta!
Kaź zebrać wojsko—to dzielna drużyna;
Ci dobrzy ludzie jak w ogień polecą;
Wróć ci syna... czy ty słyszysz? syna!

B i e n i a s z.

Nieszczęsna pani! pohamuj się nieco...
Notandum tedy, jak się wyżej rzekło,
 Sam chciałem szczęścia spróbować w tój mierze.

K a r l i Ń s k a.

Anioł cię natchnął...

B i e n i a s z.

Przeszkodziło piekło!

Notandum tedy, szykuję żołnierze,
 Powiadam do nich: — „Héj, mości panowie!
 „Uderzmy w obóz naszych nieprzyjaciół,
 „Ratujmy dziecko!“ — „Zgoda!“ — każdy powie,
 Każdy broń podniósł i rumaka zaciął.

Jużeśmy mieli jak wichry szalone

Wpaść do obozu nieprzyjacielskiego...

Notandum tedy, patrzę w drugą stronę,

Aż tu niemieckie dwie chorągwie biegną.

Przy szarym świetle poznałem ich znaki,

Lecieli hurmem dobywszy pałasze,

Pieśń obozową śpiewały żołdaki,

Lecz w pieśniach słowa i tony nie nasze.

Zle! myślę sobie;—stajem u pagórka,

I poglądamy co tam dalej będzie:

Walą chorągwie—potém konna czwórka

Wieżie karocę w całym sił rozpędzie;

Płoną latarnie; dalej znów bagaże,

I polskie wojsko z chorągwią powiewną,

I herb Jastrzębiec szyty na sztandarze,—

Notandum tedy, to Zborowski pewno.

Wojsko jak woda i płynie, i płynie;

Nas nie postrzegli, bo byli dalecy,

A my ukryci w zarośli gęstwinie,
Postawszy trochę, nazad do fortecy.

K a r l i ń s k i (zrywa się).

Co! więc posiłki!... więc w tój samėj chwili
Uderzy na nas ich potęga cała!

(Do Bieniasza:)

Każ, aby zaraz w bębny uderzyli!
Wojsko do broni! ponabijać działa!

(Bieniasz wychodzi.)

S C E N A T R Z E C I A.

KARLIŃSKI I KARLIŃSKA.

K a r l i ń s k i (przechadzając się w zamyśleniu).

Żywności jeszcze wystarczy na długo;
Bronić się będziem—nie brak nam odwagi.
Pocziwe skały! za waszą usługą
Mój Olsztyn białej nie wywiesi flagi.

(Do Karlińskiej:)

Nie płacz, niewiasto! teraz na nas patrzy
Król, karta dziejów i wszyscy rodacy;
Niech nie powiedzą, że duchem upadłszy,
Zdaliśmy zamek jakby zdrajcy jacy.
Królu Zygmuncie! ja nie znam cię w oczy,
Lecz cię obrały niezmuszone wota;
Ostatnia kropla krwi, co się wytoczy,
Ostatnie tchnienie naszego żywota
Tobie należą... Cześć twojój korony,
Całość twój głowy zdałeś w ręce nasze:
Póki przeciwnik nie będzie zwalczony,
Hełmu nie zdejmę, miecza nie odpaszę.

Karlińska.

Jakże ci pięknie, gdy tve oko pała
 W tym bohaterskim szlachetnym zachwycie!
 Nie sądz, mój mężu, abym zapomniała,
 Żem córka kraju, który dał mi życie.
 Nie zapomniałam, żem winna do zgonu
 Mieć dla ojczyzny miłość niezachwianą,
 Miłość dla kraju i wierność dla tronu
 Śmiercią zaświadczyć, jeśliby kazano.
 Umrę dla kraju, jeśli Bóg przeznaczy,
 Pójdę ochoczo na stos i na miecze...
 Lecz syna oddać na pastwę siepaczy—
 Ofiara wyższa nad siły człowiecze!
 Bóg i ojczyzna nie mogą zbyt srodze
 Chcieć takich ofiar od duszy niewieściej.

Karliński (*wzruszony*).

Patrz na Maryę na krzyżowej drodze,
 Kiedy ją przeszył miecz siedmiu boleści,
 Gdy syn jój konał wśród urągowiska,
 Z przebitém sercem, z cierniami na głowie,
 Przeżyła jednak...

Karlińska.

Cóż kraj na tém zyska,
 Jeśli Zygmunta zamęczą wrogowie?
 Ratuj go, mężu! Do siepaczów napisz.
 Oddaj im mury olsztyńskiego grodu.
 Król ci przebaczy—daremnie się trapisz,
 Wszak król jest ojcem swojego narodu!
 On tve ojcowskie uczucia oceni,
 Przebaczy sercu, które się rozczula...

Karliński.

Bluźnisz, niewiasto! Czyż ludzie spodleni
 Mogą mieć prawo do litości króla?
 Me obowiązki zdradziwszy na wojnie,
 Czyżbym już zdołał wznieść oczy do góry?
 Czyż ja noc jedną zasnąłbym spokojnie,
 Wolny od srogiéj sumienia tortury?
 Małżonko moja! matko nieszczęśliwa!
 Czuję boleści, co twe serce gniołają;
 Lecz czyż powinna moja głowa siwa
 Nad samym grobem okryć się sromotą?
 Byłem rycerzem...

Karlińska.

Toć zostań rycerzem;
 Przebacz, żem śmiała kusić cię po trosze.
 Więc po rycersku nasze wojsko zbierzem,
 Uderzym zaraz—lecz to zaraz, proszę!
 Pozwól, ja sama przy tobie pojedę,
 Na własne ręce odbiorę pacholę...

Karliński.

Teraz już nie czas... trudno dać im radę;
 Patrz, jakie wojsko zalega ich pole!
 My teraz na nich napadać nie możemy;
 Musim się bronić, bo oni napadną.

Karlińska.

Każdém mię słowem przeszywasz jak nożem,
 Nie dajesz prosbą zwyciężyć się żadną...
 Więc ja mam czekać, aż nadejdą wieści,
 Że już Zygmunta ścięły ich pałasze?..
 Och! Bóg dał siłę słabości niewieściej;
 Naszym orężem—bolesne łyzy nasze.

Pójdę do wrogów, i czołem uderzę,
 Łzami ich serca do litości wzruszę:
 I oni zbrojni, i oni rycerze,
 Ale od ciebie czulszą mają duszę!
 Starcze, wojenną wypieszczony chwałą!
 Lękasz się we śnie wyrzutów za zdradę,—
 Cóż gdy przed tobą będzie widmo stało
 Twojego syna skrwawione i blade?
 Gdy w dzień i w nocy głos twojego serca
 Będzie wyrzucał, żeś postąpił dumnie?
 Czyż sen spokojny mieć będzie morderca
 I tu na ziemi, i w grobowej trumnie??

Karliński.

Doroto moja! takąż mię zniewaga
 Miała z ust twoich dotknąć na ostatek?
 Wódz rozkazuje—małżonek cię błaga,
 Bądź godną mężnych, chrześcijańskich matek!
 Trudna ofiara, gdy Pan przynieść każe,
 Co najdroższego mieliśmy na świecie...
 Odejdź, Doroto... pomyślę, rozważę...
 Łza mi się kręci — ja kocham to dziecię!...

Karlińska (z radością).

Łza!.. kochasz dziecię!.. O dzięki Ci, Boże,
 Żeś zmiękczył serce niezłomne jak skała!
 Pozwól mi, mężu, ja okno otworzę,
 Ot tu na ścianie jest chorągiew biała!
 Wywieś ją z okna — to jest znak poddania...
 Wszakbyś nie zdołał obronić zamczyska!
 Ich taka siła coraz się odsłania...
 Boże! za chwilę Zygmunt nas uściska!
 Prędjéjże, prędjéj!..

Karliński.

Wstrzymaj się, niewiasto!
Bądź dobrej myśli... a odejdź na chwilę.

(Karlińska uradowana odchodzi.)

S C E N A C Z W A R T A.

KARLIŃSKI, potem BIENIASZ.

Karliński.

Mam poddać zamek?... ja mam poddać miasto?..
Wróg w samej rzeczy wzmaga się na sile.
Długo nie wytrwać... szturmem nas przemogą..
Król mi przebaczy... i syna ocale..
Lecz oddać zamek z tak liczną załogą,
Kiedy zapasów nie braknie nam wcale,
Żołnierz na duchu jeszcze nie upada..
Och! ja drzę wszystkim — kręci mi się w głowie..
Héj!

(Do Bieniasza:)

Niech się zbierze wojenna narada,
I pan Pieniążek, i dwaj chorążowie;
Czekam ich tutaj.

Bieniasz.

Od nieprzyjaciela
Przybył posłaniec i czeka przy moście.
Dał znak, że ważnej nowiny udziela.

Karliński.

To most sprowadzić i tutaj go proście;
Zawiązać oczy wiodąc przez fortecę,
Kędy tu przejście, niechaj nie postrzeże.

(Bieniasz odchodzi.)

SCENA PIĄTA.

Karliński (*sam, pada na kolana*).

Boże Zastępów! miej w Twojej opiece
 I serce moje, i téj twierdzy wieże!
 Wesprzej ramiona słabego człowieka,
 By chytry szatan nie ujął mię w pęta!
 Od mego serca niech będzie daleka
 I podła słabość, i dzikość zawzięta!
 Pozwól, bym ojców chrobrym obyczajem
 Nie dał się ugiąć pod ciosem Twój plagi,
 Abym nie zgrzeszył przed Tobą i krajem
 Brakiem odwagi lub zbytkiem odwagi!...

SCENA SZÓSTA.

KARLIŃSKI, PIENIAŻEK, DWAJ CHORAŻOWIE

Wodzowie.

Czołem ci, wodzu!

Karliński.

Czołem wam, panowie!

Czas mamy krótki — a wieści złowieszcze.
 Z ręką na sercu niech mi każdy powie:
 Czy poddać zamek? czy bronić się jeszcze?
 Czy trzeba umrzeć? czy z naszego zgonu
 Będzie krajowi pożytek, czy szkoda?
 Zwróciwszy myśli do Pana Syonu,
 Mówcie, co Pan Bóg do serca wam poda.
 Panie Pieniążek, na waszmości kolój:
 Radzisz się poddać?

Pieniążek (*po namyśle*).

Niełatwe zadanie.

Jeszcze czas jakiś trzymajmy się wolój:
 Kul, prochu, chleba na tydzień nam stanie.

Karliński.

A potem...

Pieniążek.

Umrzeć. Kiedy szturm przypuszcza,
Zdobędą w zamku kamienie i skały.

Jeden z Chorążych.

A moja rada: dzisiajby z tą tłuszcą
Dobre warunki ułożyć się dały.
Może pozwolą oddalić się z bronią,
Zabrać zapasy prochowe i chlebne.
A życie nasze, co pakta osłonią,
Nie na raz jeden krajowi potrzebne.
Jest pole bitwy i dalsze są twierdze;
Tam trzeba naszój ręki i bardysza.

Karliński (*do drugiego z Chorążych*).

Cóż waszmość radzisz?

Drugi z Chorążych.

Ja zdanie potwierdzę
Wielce milego mego towarzysza:
Poddać się trzeba, poddać się w tej chwili,
Bo jutro, wodzu, za późno już będzie...

SCENA SIÓDMA.

CIŻ I BIENIASZ, *potem* PUSZKARZE.

Bieniasz (*przerażony*).

Panie! do kola zamek otoczyli,
Wojsko niezmierne rozlewa się wszędzie,
Niosą drabiny, podchodzą pod wały,
Huf najmocniejszy tu prosto przy rowie.

KARLIŃSKI.

Niełatwo Niemcy ugryzą te skały!
 Dać ognia z armat! Héj, mości panowie,
 Nie czas do rady! już bozkie zamiary
 Wskazały naszej powinności drogę.
 Śpieszcie na wały! a téj baszty staréj
 Ja z jedném działem sam obronić mogę.
 Z téj wysokości, między dwa parowy
 Kula puszczone cały hufiec zwali.
 Hola, puszkarze!

(Dwaj Chorążowie odchodzą.)

(Wchodzi dwóch Puszkarzy.)

Czy nabój gotowy?

PUSZKARZ.

Działo nabite, a lont już się pali.
 Toż się, mój Boże, całą noc nie spało.
 Oczyścić, nabić... to praca niezmierna.

(Słychać podwojony zgrzyt trąby.)

KARLIŃSKI.

Attak się wzmaga... a więc...

(Głośno.)

rychtuj działo!

(Chwila pauzy.)

Pal!

SCENA ÓSMA.

CIŻ I CZACHROWSKI.

Czachrowski *(wbiega, odtrąca Puszkarza, który lont zapalony przykładał do armaty, i popycha Karlińskiego ku oknu).*

Patrz, Karliński! to huf Lichtensterna!

Karliński (*odwraca się z pośpiechem*).

Kto? czego chcecie?

Czachrowski (*biorąc go za rękę*).

To ja, druh twój stary,
Choć dziś w obozie twoich wrogów służę.
Bóg losy krajów i królów zamiary
W księdze wyroków zapisał już w górze.
Czy Maksymilian czy Zygmunt król będzie,
My tego grzeszni rozwiązać niegodni.
Ja starą przyjaźń mający na względzie,
Przybiegłem tutaj wstrzymać cię od zbrodni.
Patrzaj, Karliński, tam chorągiew wieje;
A przed chorągwią widzisz punkt ten biały?
To Lichtensterna wojenne nadzieje,
To syna twego niosą na wystrzały!
Strzelaj, gdy możesz!...

Karliński.

Jakto! mego syna!

Czachrowski.

Widzisz punkt biały, ot tu, przy opoce?
Kula nim nasze hufce poprzerzyna.
Twojemu dziecku piersi pogruchocę!
Wódz rakuszański chciał go mieć za tarczę
Swojego życia, przy szturmie wśród kuli...
Wpadłem cię ostrzedz — teraz strzelaj, starcze!...

Puszkarz (*rzucając lont*).

Panie! twe serce niechaj się rozczuli!

Pieniążek.

Wodzu! kraj takiej proby nie wymaga!

Czachrowski.

Bracie mój dawny, miej litość nad sobą!

Pieniążek.

Oddaj im zamek.

(Słuchać trąby.)

Karliński.

Odwaga! odwaga!...

Panie! zbyt ciężką dotknąłeś mię próbą!
 Łzy płyną z oczu... drży serce — drży ręka.
 Mróz lodowaty przebiega me kości...
 W obliczu wrogów Karliński się lęka,
 Lęka spełnienia swojej powinności!...
 Tam król... tam hetman... krew dziecka, płacz żony...
 Tego za nadto!... o!... poddać się raczej!...

(Bierze do ręki białą chorągiew.)

Kasprze Karliński! zhańbiony! zhańbiony!
 Chciałeś się podle poniżyć w rozpacz! —
 Krew mego syna upadnie na wroga:
 Nie ja zabójca, ale on zabójca...
 Ziemia rodzinna, matko moja droga!
 Przebacz, że chwilę miałem serce ojca!
 Synu mój drogi! starą moją głowę
 Któż tu przytuli? kto do trumny złoży?
 Ty miałeś wskrzesić wspomnienie ojcowe,
 W tobie rycerstwa był widny duch boży...
 Lecz musisz umrzeć...

(Z załamaniem rękami patrzy na białą chorągiew, potem ją rzuca na ziemię.)

Przebaczcie mi, Nieba,
 Żem się zawahał w tak stanowczej sprawie!...
 Synu! czas przyszedł — wylać krew potrzeba!
 Na drogę śmierci ja cię błogosławię!
 Żegnaj mi, synu! cześć młodej twój głowie,

(Wyrzuca lont od Puszczarza, który stoi osłupiały.)

Że krew przelałeś w krajowej potrzebie!
 Kocham cię więcej niżli własne zdrowie,
 Ale powinność droższa mi od ciebie.
 Ziemiomych ojców! bierz dar prawowierny
 Z krwi pacholęcia i z ojca katuszy!
 Boże najwyższy! Ojczyźnie miłosierny!
 Bądź tam miłościw jego czystej duszy!

(Przykłada lont do zapalnika armaty — słychać wystrzał.)

W s z y s c y o b e c n i *(z przerażeniem).*

Ach! coś uczynił?

C z a c h r o w s k i.

Szlachetny szaleńcze!

K a r l i Ń s k i.

Dzięki Ci Boże! nie zadrżała ręka.
 Musiałem trafić — o! musiałem, ręczę:
 Cios tu się odbił!...

(Wskazuje ku sercu.)

Tak mi serce pęka!...

A ja sądziłem, że to łatwiej pono
 Sprawić się z serca uczuciem rodzimém...
 Panie Pieniążek, czy dobrze trafiono?

P i e n i a ż e k *(patrzac w strzelnicę).*

Ja nic nie widzę za armatnim dymem.

(Słychać z daleka głuche wystrzały. Wszyscy cisną się do okna.)

K a r l i Ń s k i.

Drżą ręce — nogi trzęsą się podemną...
 Serce tak bije — rozpada się z bólu —
 Głowa się kręci — a w źrenicach ciemno....

(Usiada.)

Panie Pieniążek, co tam widzisz w polu?

P i e n i a ż e k *(zawsze w oknie głosem uroczystym).*

Już się spełniło...

(Chwila milczenia.)

Jeden z Puszkarzów.

Już Niemca odparto.

Pierzchają zewsząd... szeregi popsuli...
Trupy jak pomost... a nasz panicz z Martą
Padli zabici odłamkami kulil...

Karliński.

Śpij drogie dziecko... niedługo, niedługo
Przyjdę przebłagać twą męczeńską duszę...
Ale kraj jeszcze czeka mię z posługą:
Ja powinienem.... ja żyć jeszcze muszę.

Bieniasz *(wchodząc)*.

Niemcy uciekli; wódz ich ciężko ranny,
Nasz panicz poległ jak podcięty kosą.

Karliński.

Niech dają z wałów ogień nieustanny!
Trup mego dziecka niech tutaj przyniosą.

(Bieniasz odchodzi.)

Pieniążek *(patrząc w okno)*.

Zwijają obóz... a ich przednie straże
Kierują pochód na krakowskie strony.
Rannego wodza niosą przy sztandarze.
Górą król Zygmunt!

Karliński *(powstawszy, uroczyście wznosi ręce)*.

Olsztyn ocalony!

Pańskie to, Pańskie podparło mię ramię;
Syn mój to sprawił... Czyż mam płakać po nim?
Wracaj do swoich, Czachrowski Adamie,
Rozpowiedz Niemcom, jak my fortęc bronim.

Pieniążek.

A powiedz swoim, że gdzie dobra sprawa,
Tam duch ofiary mężnieje w potrzebie.

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ i KARLIŃSKA (*wpada z rozpaczą*).

K a r l i ń s k a.

Bitwa skończona... strzelanie ustawa...

Gdzie Zygmunt? mężu!! gdzie Zygmunt??...

K a r l i ń s k i.

Już w niebie!

(Widać w głębi, jak wnoszą zwłoki Zygmunta. Obecni uchylają głowy. Zastona spada).

1857. Wilno.

WIEJSCY POLITYCY.

KOMEDIA W TRZECH AKTACH WIERSZEM.

OSOBY:

SĘDZIA NOWINA.
SĘDZINA, jego żona
STEFAN, ich syn.
PODKOMORZY LESZCZYC.
ANNA, jego córka.
SZLOMA, arendarz Sędziego.
GOSPODARZ w oberży.
WÓJT,
GROMADA WIEJSKA, } ze wsi Sędziego.

Rzecz dzieje się w pierwszym i drugim akcie w domu wiejskim Sędziego; w trzecim w oberży w miasteczku.

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Wieczór. Pan SĘDZIA przy jednym stoliku czyta gazetę; STEFAN przy drugim z roztargnieniem czyta książkę; SĘDZINA z robotą przy tymże stoliku.

(Stefan składa książkę i wdycha.)

Sędzina (z czułością).

Co tobie jest, Stefanie? wdychasz, moje dziecię:
Tęskno tobie po twoim uniwersytecie,

Po twoich towarzyszach, po miastowej wrzawie:
Na wsi nudno.

Stefan.

Nie, mamó: ja się dobrze bawię.
Straciłem moich dobrych towarzyszków grono,
Żal mi ludzi, z którymi spotkać się sądzono,
Z którymi się człek smucił, z którymi weselił,
Z którymi myśl, naukę i dążenia dzielił;
Lecz za to jestem w kraju. O! jakże to błogo,
Gdy domowóm powietrzem tehnąć już piersi mogą,
Po długim niewidzeniu gdy powitać dano
Rodziców, dom rodzinny, Litwę ukochaną,
I nasz strumyk w olszniaku, ulicę z topoli,
I mową się rodzinną nagadać dowoli,
Powitać nasz lud wiejski, usciskać go szczerze.

Sędzia (do obecnych).

Dostali niezłą cięgę Francuzi w Algerze,
Gotują się w Marokku wypadki nielada:
Bo już *Kuryer Wileński* nieznacznie powiada,
Przebąkiwa mosanie, że jeszcze w tym roku
Wszystkie porty handlowe zamkną się w Marokku.
A zkądże marokańską tabakę świat kupi?
Czy Anglia pozwoli?.. Palmerston nie głupi!!
Na wiosnę straszna wojna buchnie niespodzianie!

(Czyta znowu.)

Sędzina (do Stefana).

Aleś ty zamysłony i blady, Stefanie;
Możesz chory, broń Boże?..

Stefan.

Och! ja cierpię srogo
Na marzenia, co jeszcze ziścić się nie mogą,

Na zuchwałę żądanie z nieziemskiego świata,
Co mi serce rozrywa i w głowie kołata.

Sędzina.

O biednaż ja kobieta! Stefanie, Stefanie!
Może octu do głowy... to boleć przestanie.
Na ból serca... ból serca... o mocny mój Boże!
Anodinum na cukrze...

Stefan.

Och! nie nie pomoże,
Bo to ból niezwyčajny—pali jak żarzewiem.

Sędzina.

Cóż ci jest, lube dziecię?

Stefan.

Ja nie wiem, ja nie wiem...
Com wyczytał, wysłuchał, w co przywykłem wierzyć,
Chciałbym na mojej Litwie od razu rozszerzyć,
Ona mi się stawiała szczególnym obrazem:
Och, jak tu na niej dobrze! och, jak tu źle razem!
Jakie tu sliczne pola, jakie cudne gaje!
Ale grunt zaniedbany już chleba nie daje,
Lasy pustoszy wieśniak, pustoszą do dworu,
Piękne łąki nie dają i połowy zbioru,
Jakiby przy uprawie należytęj dały.

Sędzina (*zawsze czytając*).

To zuch Ibrahim basza... pokopał kanały,
Egipckie grzędawice osuszył w połowie...
Tylko czy Turek za to wojny nie wypowie?
To panie mądra sztuka ten Ibrahim basza!

Stefan (*zawsze z zapalem do matki*).

Jakież ma piękne wioski droga Litwa nasza!
W pośród zielonych pastwisk, przy rzeczce, przy młynie,

Owdzie prześliczny strumyk wśród olszniaku płynie,
 Owdzie na ładnych wzgórkach wznosi się chałupa,
 Rozkosz dla pejzażysty takich chatek grupa.
 Ale, kochana matko, jakże boli srodze,
 Kiedy po grzązkich groblach, po nierównej drodze,
 Wjedziesz do której wioski bez cieni, bez płotów!
 Ktosby ją za schronienie nędzarzy wziąć gotów.
 Chaty niskie jak żebrak, oparte na szczudła;
 A każda twarz wieśniaka wybladła, wychudła,
 Ubiór jego podarty, na twarzy głupota,—
 A toż Litwin! to serce poczciwe, ze złota!
 Przecież w brudnym nałogu jak w błocie się tarza,
 W nałogu zaprzędanym za pieniądz karczmarza,
 Z zamroczonym umysłem, Paryas wyklety,
 Jak on będzie pracował?

Sędzina.

O mój Boże święty!
 Mój Boże! co on gada? to z bolenia głowy...
 O! ja mam plastr cudowny...

Stefan.

Nasz Litwin surowy,
 Swoją podartą chatę ukochał najszczerzej,
 Nie jak Niemiec, co w żadną ojczyznę nie wierzy;
 Przechował obyczaje i domowe cnoty,
 Nie jak dziecko Paryża, kędy stek sromoty;
 Nie został jak Włoch zbójcą, jak Greczyn obłudnym,
 Jak Anglik egoizmem nie przejął się brudnym;
 Wiarą tylko swój kielich zółci z octem słodzi.

Sędzina.

Uspokój się, Stefanie, bo to ci zaszkodzi.
 Prawda, że u nas wieśniak i głodny i chłodny;

Lecz tak było od wieków za grzech pierworodny,
Czy podobno od Sema, Chama i Jafeta.

Stefan.

Nie, mamó.

Sędzia (*zrywa się*).

Posłuchajcie, co pisze gazeta!

(*Czyta:*)

„Paryż ósmego września. Król jegomość z rana
„Przyjmował uroczyste poselstwo sułtana;
„Potém telegraficzna wiadomość doniosła,
„Że prosił na śniadanie hiszpańskiego posła;
„Dalej... okręt angielski przybył z Malabaru;
„Dalej... pierwszy minister z powodu kataru
„Dziś nie był w parlamencie,—a dalej: na scenie
„Nowe i nader świetne było przedstawienie,
„Dano *Włoszkę w Algerze!*“ Tak, *Włoszkę w Algerze!*
Głęboka allegorya! Włoch już Alger bierze,
Król francuzki z sułtanem przyjaźni się skoro,
I uważasz... Hiszpanów na *cuhunder* biorą.
Okręt od Malabaru... minister w katarze...
Tak pisać, to głęboka polityka każe.
Ale znamy się na tém... ho! znamy się trocha!
Francuz, Hiszpan i Turek pójdą przeciw Włochu;
Wtedy Ibrahim basza, co przytulił uszy,
Na Hiszpana, Francuza i Turka wyruszy.
Toż to będzie, mospanie, wojna w Europie!
Wtedy i nam wypadnie chować się w konopie;
Bo nasze wojska pójdą bronić pruskich granic,
A od Persa mospanie nie zaręczę za nic:
Ich przymierze na włosku, czysto za kontraktem.
Wszak mi Żydek powiadał, że onegdaj traktem
Jechało dwóch ichmościów... wąsaci, brodaci,

I mieli czapki perskie... niech go porwą kaci!
 On zgadł, że będzie wojna—to już niedaremnie,
 A podkomorzy Leszczyc śmiał się wtedy zemnie.

S t e f a n (przerywając).

Leszczyc?... jakież tu Leszczyc mieszka w okolicy?

S ę d z i a.

Jan Leszczyc, podkomorzy, dziedzic na Bruśnicy;
 Z traktu jego majątek widać o trzy kroki.

S t e f a n.

Czy on ma młodą córkę?

S ę d z i a.

Polityk głęboki!

Ciągle czyta gazetę, a ciemny jak w rogu,
 Nie wierzy w żadną wojnę. Dzisiaj, dzięki Bogu,
 Otoż go wyśmiejemy! otoż go wychłoszczem,
 Kiedy z rana w niedzielę zejde się z proboszczem!
 Podkomorzy polityk mądry w każdym względzie...

(Do wchodzącego arendarza:)

Jak się masz, panie Szłoma?.. Czy wiesz? Wojna będzie!

(Sędzina odchodzi.)

SCENA DRUGA.

CIZ i SZLOMA *(wchodzi z ukłonem).*

S z ł o m a.

Wojna? kogo i za co?

S ę d z i a (uroczyście).

Ba! zgadnijże za co!

Włosi zdobyli Alger — Ibrahim ładaco
 Idzie wojować Turki, Francuzy, Hiszpany;
 Lecz w gazecie, uważasz, inszy obrót dany,
 Niby tak, niby owak... przypuszczenia, wnioski...

Jak wiesz, pod allegoryą pisze Marcinowski,
Lecz kto ma zdrowe oczy, jasno prawdę widzi.

S z l o m a.

Pan to lepiej rozumie niż my biedni Żydzi.
My sobie handlujemy—wojna rzecz nie nasza.
Póki Ibrahim basza wystrzeli z pałasza,
Ja chciałbym choć trzy grosze zyskać na arendzie;
A tu gwałty! rozbójstwa! co iz tego będzie!?

S ę d z i a.

Cóż się stało?

S z l o m a.

No! Janek!!

S ę d z i a.

Nudzić mię poczynasz:
Czego chcesz? jaki Janek?

S z l o m a.

Jaki Janek?!—młynarz!
Sam nie chodzi do karczmy, powiada, że pości,
I jeszcze całą wioskę naucza trzeźwości,
Buntuje całą wioskę, buntuje i kwita!
Czy wierzy pan dobrodziej?

(Tajemniczo do ucha Sędziego:)

Nawet książki czyta!
Kiedy jeździł z transportem do pszenicy mojej,
Przywiózł książki iz Wilna—aj gwałt co tam stoi!
No! że Żyd wkrótce chłopą do szczętu wysuszy,
No! że pijąc w niedzielę ciężki grzech dla duszy,
No! kiedy dzień powszedni, to trzeba do pracy,
No! że pijąc na kredyt, to będą żebracy!
I mało czego jeszcze! buntuje widocznie!

Bolą uszy słuchając, kiedy czytać pocznie.
 Na co jemu czytanie? iz tego czytania,
 On jeszcze wszystkich ludzi z karczmy porozgania.
 Co to jest!!

Sędzia (chodząc niespokojny).

Prawdę mówisz! masz słusność, mój Szlomo!
 Gdy chłop porozumnieje—wtedy już wiadomo:
 Nie pójdzie na pańszczyznę.

Szloma.

Nie pójdzie do szynku.

Sędzia.

Czytanie!.. jak sto batów weźmie w upominku,
 To się czytać oduczy, a z nim cała wioska.
 Chce być mędrszym odemnie! a to kara bozka!
 To już skończenie świata!!

Stefan.

Nie, to jutrznia świata.

Duch boży sam do chatek wieśniaczych kołata,
 Wykluwa się ze skorup gołabek skrzydlaty,
 I siedmiu promieniami niebieskiej oświaty
 Jak ojcowskiem objęciem otuli, opasze
 Pogardzonych nędzarzy chróściane szafasze.
 Dzięki Ci, dobry Boże! ta chwila już blisko,
 Twój palec nam wskazuje nasze stanowisko;
 Bądźmy wierni wezwaniu!

(Sędzia i Szloma patrzą na niego z podziwieniem.)

Szloma.

Gwałt! co panicz gada!

Sędzia.

Co asan takie rzeczy?... słuchać nie wypada...
 Łatwo w kłopot, a kłopot sakiewkę wycieńczy...

Stefan (chłodnie).

Przepraszam cię, mój ojczy, za wyskok szaleńczy.
Wszak wiesz, jak żywo pragnę... ale tego dosyć.
Chciałem tylko za Jankiem młynarzem cię prosić:
Nie odbieraj mu książki, gdy się pragnie uczyć,
Nie karz go za czytanie, nie daj mu dokuczyć.

(Groźnie patrząc na Szłomę.)

A ty, jeśli się ważysz, zmij o jadowita,
Jeżeli słowko piśniesz...

Szłoma (cofając się).

No! niech sobie czyta,
Niechaj z karczmy rozpędza, niech zaleca pracę,
A ja na Święty Jerzy raty nie zapłacę!

Sędzia.

Zaraz nie płacić raty—wysmienita rada!
Nie uważaj, mój Szłomo, co pan Stefan gada:
Taka dziś cała młodzież—dowodzi jak może,
Że pan, i kmieć, i szlachcic wszystko dzieci boże,
Że trzeba naszym wioskom nadać inną postać,
Że ekonom przy pracy nie powinien chłostać,
Że trzeba zmniejszyć karczmy, zaprowadzać szkółki
I z rolnikiem na roli pracować do wspólki.

Szłoma.

Cóż dalej z tego będzie?

Sędzia.

Dalej nic nie będzie.
Jam o mego Stefana spokojny w tym względzie.
Nadąsa się jak inni, zmiany naprzyrzeka,
I pójdzie starym torem, jak chodzili z wieka;
Zmęczy go postępową nad chłopstwem mozoła,
Pocznie chłostać jak drudzy i Żyda przywoła;

Pocznie do wiejskich dziewcząt zalecać się dzielnie,
I zamiast szkoły wiejskiej — zbuduje gorzelnię.

Sz l o m a.

O! tak to co inszego!

S t e f a n.

Ojczy, jak to boli!

S ę d z i a *(ze śmiechem)*.

Wyszumi młode piwko, wyszumi powoli.
Teraz pójdziem do rzeczy, mój Szlomo kochany!
Mam pewne interesa, mam tu pewne plany;
Chciałbym z tobą pomówić — tak, na cztery oczy;
Chodź do mego pokoju.

Sz l o m a *(do siebie)*.

Już wiem, z czém wyskoczy
Ale bądźmy ostrożni... odmówić najprościej.

S ę d z i a.

Służę ci, panie Szlomo.

Sz l o m a.

Służę jegomości.

(Odchodzi w drzwi boczne.)

SCENA TRZECIA.

SĘDZINA, STEFAN.

S ę d z i n a.

Zle robisz, mój Stefanie, choć mówisz jak księga,
Choć każde twoje słowo do serca mi sięga...
Bronisz ucisnionego, kochasz lud ubogi,
To znaczy dobroć serca, to pięknie mój drogi;
Lecz mówisz za gorąco i w ciągłym ferworze.

Wszak ojciec swych przekonań odmienić nie może;
 Więc zamiast go rozdrażniać, zamileżałbys wolęj.
 Zresztą, synu, my starzy: przyjdzie wasza kolej,
 Wtedy tworzyć będziecie postępowe cuda,
 Może wam stare błędy poprawić się uda.
 Wszak słyszałeś od ojca, że na Święty Jerzy
 Już całe gospodarstwo w twe ręce powierzy.
 Będziesz swobodnym panem i woli i środków,
 Będziesz mógł po swojemu uszczęśliwiać kmiotków;
 Lecz póki się ku tobie szala nie przychyli,
 Poszanuj jego zdanie do ostatniej chwili.
 Przepraszam, że to mówię.

S t e f a n.

O! dzięki sto razy!

Będę ściślej obliczał wszystkie me wyrazy,
 Schowam do głębi serca moją świętą wiarę,
 Poszanuję ojcowskie przekonania stare.
 Lecz gdy naszą fortunę odda mi pod strażę,
 Przebacz matko — postąpię, jak mi serce każe,
 I niejedno odmienię, niejedno przerobię;
 Dam kmiotkom prawa ludzi....

S ę d z i n a.

Jak sam zechcesz sobie.

Tutaj jedyna rada, jaką dać ci mogę:
 Abyś obrał powolną do postępowów drogę,
 Bo co nagle rozpoczniiesz, nic ci się nie skleci.
 Po kolei, mój synu, wszystko po kolei,
 A śmiało w imię boże.

S t e f a n.

Nic się nie przestraszę, —
 Zbrojny w błogosławieństwo i bozkie, i wasze,

Czuję, że mi co chwila nowy popęd nada
Dobre serce matczyne i ojca porada.

Sędzina.

I sercem, i modlitwą, pocziwy Stefanie,
Będę ci pomagala, ile sił mi stanie;
Niekiedy rada matki przydać ci się może.

Stefan (*całując jej rękę*).

Radź, matko, i rozkazuj—przyjmuję w pokorze.
Dawaj mi od téj chwili twe dobre przestrogi,
Wskaż mi najpierwsze kroki mojej trudnej drogi.
Powiedz mi: w gospodarstwie nim się coś uczyni,
Od czego trzeba począć?

Sędzina (*z uśmiechem*).

Szukać gospodyni,
Wynaleźć dobrą żonę, co cię kochać będzie,
Co twojemi oczami rozpatrując wszędzie,
Gdzie ty zarzucisz wątek, ona da osnowę,
Wzmocni niewieściem sercem twoją mężką głowę.
Do niej przyjdą odważniój ubodzy i chorzy,
Przed nią niejeden wieśniak swe serce otworzy,
Ona się porozumie roztropniój daleko
I z niewiastą, i z dzieckiem, i z biednym kaleką.
Ona się wtajemniczy i trafniój, i prędziej
W najdrobniejsze odcienie cierpienia i nędzy,
A dopóki trwać będziesz w zbawiennym zamiarze,
Gotową drogę czynu ona ci ukaze.

Stefan.

Prawda po tysiąc razy.

Sędzina.

Ona cię nauczy,
Że konia, jak to mówią, pańskie oko tuczy:

Będziesz pilnował domu — a tu co godzina
 Nowy się obowiązek sercu przypomina,
 Nowy dobry uczynek codzien się dokona.
 Skarbem jest, mój Stefanie, skarbem taka żona;
 Ale z tysiąca kobiet wyszukać jęj rzadko:
 Szukaj dobrze!

Stefan.

Znalazłem, znalazłem ją, matko!
 Muszę ci wyznać słowo, co pod sercem gniotę:
 Ja kocham już od roku niebiańską istotę,
 Ona choć nieobecna wspomnieniem nię krzepi,
 Ona mojego serca świadoma najlepšíj,
 Ona olbrzymią siłą wzmocni me ramiona,
 Zna lud wiejski i kocha jakby w nim zrodzona.
 W dalekiem, w obcém mieście marzyliśmy razem,
 Żyliśmy naszych dworków, naszych wsi obrazem;
 Długie, długie wieczory, często zalzawieni,
 Błądziliśmy oczami po niebios przestrzeni;
 Promieniami księżyca z oddali, z oddali,
 Pozdrowienie kochanęj Litwie przesyłali.
 Ona tam przy swęj ciotce w gościnie bawiła.
 Jam ją pokochał wiecznie, ile starczy siła;
 Przysięgła mi najświęćcięj — wiernie — najgoręcęj,
 Być moją — tylko moją — i nieczyją więćj.
 Niech ją ojciec przeklina, niech jak chce się sroży...

Sędzina.

Któż to taki jęj ojciec?

Stefan.

Leszczyc podkomorzy.

Sędzina.

Pan Leszczyc podkomorzy — a toż sąsiad przecię!
 Córkę jęgo znam dobrze: to pocziwe dziećj,

Urodziwej postaci, kształtna, pięknooka,
 Bawiła rok u ciotki, czy półtora roka,
 Lecz teraz powróciła, zesmutniała trocha...
 Ty ją kochasz, Stefanie — ona ciebie kocha —
 To dobrze, wszystko dobrze... lecz miej się na wodzy:
 Oni ludzie bogaci — my szlachta ubodzy.
 Pan Leszczyc nie jest dumnym z majątku i z rodu,
 I pysznić się przed nami nie miałby powodu;
 Obok pana Leszczyca my niżej nie staniem
 Ni dobrém urodzeniem, ni urzędowaniem.
 Lecz pan Leszczyc spekulant, obrotowa sztuka,
 Spekulanta na męża dla swój córki szuka,
 Człowieka z kapitałem i przemyślną głową,
 Coby szybko podwoił summę posagową.
 Tybys w takim zawodzie nie dotrzymał pola:
 Bo jakież twe zasoby?

Stefan.

Zdrowa myśl i wola,
 Dwoje rąk kierowanych poczciwym zapałem,
 Do pomocy lud wierny, który ukochałem.
 Wierście mi, że tu rolnik daleko zajść może
 Z temi kilku środkami.

Sędzina.

Daj Boże, daj Boże!
 Zresztą, patrzaj Stefanie, jak się dobrze składa:
 Wkrótce mamy u siebie powitać sąsiada,
 Bo dzisiaj do nas pisał stary podkomorzy,
 Że jutro razem z córką swą attencyę złoży.
 Zobaczym co się święci, zdajmy się na Boga.

Stefan (z radością).

A więc jutro mię czeka niespodzianka błoga!
Jutro Annę zobaczę!...

SCENA CZWARTA.

CIŻ, SZLOMA a za nim **SĘDZIA**.

(*Szloma kłania się i chce wychodzić.*)

Sędzia (*doganiając go*).

Co za powód zmiany?

Szloma (*do siebie*).

Widoczna ze wszystkiego, że zbankrutowany.
Chce mnie częstować miodkiem i paniczem straszy,
Chce pieniędzy na konto Ibrahima baszy...
Na co mi to potrzebne?

Sędzia.

A z Jankiem młynarzem
Już się sami rozmówim, sami go ukarzem,
Przestanie czytać książki, zalecimy srogo.

Szloma (*do siebie*).

Cztery tysiące złotych... to trochę za drogo.

(*Głośno:*)

Upadam do nóg pańskich!

Sędzia.

Zabronię i kwita.

Szloma.

Kiedy taki uczony, niech sobie już czyta.
Upadam do nóg pańskich!

Stefan (*do siebie*).

Jakąś czuję trwogę.
Memu własnemu szczęściu uwierzyć nie mogę.
Jutro Annę zobaczę...

(*Odchodzi drugimi drzwiami.*)

S C E N A P I Ą T A.

SĘDZIA, SĘDZINA.

Sędzia (*nie widząc żony*).

Choć zastawić duszę,
Cztery tysiące złotych koniecznie mieć muszę.
Podatki niepłacone — nie żartować z władzą:
Pustopole opiszą i z młotką przedadzą.
Stefan, co o ludzkości i postępie gada,
Nie wybrnie z tarapaty... Jakoś nie wypada
Wkładać na jego głowę ciężar takiej miary.
Masz tobie... syn za młody, a ojciec za stary,
Podatek niepłacony, a procent narasta...
Co począć??...

(*Chodzi zamysłony.*)

Trzeba skończyć gazety i basta.
Redaktor wbił mi klina... rwą się do pałasza
Anglik, Francuz, i Turek, i Ibrahim basza;
Będzie na wiosnę wojna — pieniądz na widoku.
Czy to ja nie pamiętam we dwunastym roku
Jaka była drożyzna? to aż wspomnieć ładnie!
Pociągnę pasyansa, czy wojna wypadnie.

(*Siąda przy stoliku i wyrzuca karty.*)

As, dwójka, trójka, czwórka... jest czwórka—no proszę

Sędzina (*przerwywając mu*).

Ciekawą ci, mój mężu, wiadomość przynoszę;
Tylko cicho... nikomu nie mów ani słowa.

Sędzia (*zawsze zajęty*).

Piątka, szóstka, siódemka, ósemka dzwonkowa,
Walet winny... No, słucham, co tam za wiadomość?

Sędzina (*tajemniczo*).

Nasz Stefan zakochany...

Sędzia.

Widzisz go, jegomosc!

Lud... idee ludzkości... postępy narodu...
A myśli o dziewczętach, tak jak ja za młodu;
Trzeba wiedzieć, że byłem zalotny i zmienny.

(*Kładzie znowu karty.*)

Walet, dama dzwonkowa... ot i król czerwieny,
To znaczy król francuzki.

Sędzina.

Tu ważniejsze rzeczy:

Mówię, Stefan się kocha.

Sędzia.

A któż mu tam przeczy!

Miłości dla młodego bardziej odpowiednie,
Niż te wszystkie idee, postępowe brednie,
Z którymi z takim dzisiaj wyrwał się zapalem,
Że mi Szłomę przestraszył — a interes miałem.
Uciekł Szłoma jak zmyty, wcale się nie dziwię,
I jeżeli kabała nie wyjdzie pocziwie,
Jeśli wojny mocarstwo nie wypowie które,
To zboże ani myśleć aby poszło w górę.
A u mnie w Pustopolu jedyna rachuba:
Albo wielka drożyzna, lub zupełna zguba.

Podatek niepłacony, włościanie bez chleba,
Trzeba zboża na zasiew, zapomogi trzeba;
A u mnie jedno z drugim dwie pustki w kieszeni.
Jedyna tylko rada...

(Zrywa się gwałtownie.)

Niech się Stefan żeni,
Niech weźmie dobry posag, niech długi posplaca,
A może mu szczęśliwiej powiedzie się praca;
Niech się zagospodarzy, grosz oszczędza w miarę,—
Młodsza głowa i ręce już nie to co stare.
Kogoż tam przecię kocha? gdzie ofiary pali?

Sędzina.

Z córką podkomorzego dawniej się poznali,
I ona mu wzajemna.

Sędzia.

Gadaj jejmość zdrowa!

Sędzina.

Młoda, piękna, szlachetna.

Sędzia.

O tém ani słowa;

A jednak...

Sędzina.

Co za jednak? nie bój się o zmianę.

Sędzia *(uroczyście)*.

To są gruszki na wierzbie i bańki mydlane.
Czy ja nie znam Leszczyca? Ho, ho! bita sztuka!
Stary lichwiarz bankiera na zięcia wyszuka.
Jemu widzę od dawna przewróciły głowę
Procenta, kapitały, maszyny parowe.
Powiedz mu: będzie wojna; to on śmiechem parska,

Mówi, że już minęła epoka tatarska,
 Że teraz Europa długich walk już syta,
 Że bogactwo krajowe w pokoju rozkwita,
 Że największa spokojność panuje na świecie...

(Tryumfalnie wskazuje gazetę:)

A zobacz, kiedy łaska, co pisze w gazecie!
 Dzielny Ibrahim basza jak wyruszy w pędzie,
 Na złość podkomorzemu, Gibraltar zdobędzie.

Sędzina.

Lecz myślmy o Stefanie.

Sędzia.

I cóż o Stefanie?

On tutaj ani wątpić odkosza dostanie.
 A zresztą dobry zamiar—nie zawadzi proba:
 Może stary spekulant chłopca upodoba.
 A nawet podkomorzy jak w czubek naleje,
 Lubi czasem rozvodzić postępu ideje.
 Kto to wie? jeśli dola posłuży szczęśliwa,
 Może się zrozumieją, plotąc troje-dziwa.
 Jutro zobaczymy skutek; ja coś mało wierzę.
 Lepiej skończyć gazetę i pójść na wieczerzę.

A K T D R U G I.

SCENA PIERWSZA.

STEFAN, WIEŚNIAK.

(Wieśniak stoi u progu, kręcąc swój kapelusz. Stefan chodzi po pokoju zamyślony.)

Stefan *(do siebie)*.

Witajcie, moje piękne powietrzne pałace!
 Dziś ojciec zdaje na mnie gospodarcze prace.

Niech najszczęśliwszy z ludzi teraz mi zazdrości:
 Jestem opiekun włości—ojciec mojej włości...
 Czyż potrafię wypełnić zadanie olbrzymie,
 Nosić godnie to imię, najchlubniejsze imię?
 Już okiem przemierzyłem pole mego trudu,
 Wiem com czynić powinien dla dobrego ludu;
 Lecz jak się wziąć do dzieła, do szczęścia gromady?
 Gdzie udzielić pomocy, gdzie i jakiej rady?
 Czego najgwałtowniejsza z początku potrzeba?
 Czy duchowego chleba, czy ziemskiego chleba?
 Czyli pierwój nauki? czy pierwój swobody?
 Rozwiązać to zadanie mój umysł za młody.
 Długo się rozmyślało, wiele się czytało,
 Mam serce, ale serca tu jeszcze za mało.
 Trzeba się wtajemniczyć w ich mowę, w ich życie;
 A ja ludu wiejskiego nie znam całkowicie,
 W niedoświadczone ręce biorę rządów wodze.
 Wspieraj mię, Duchu Boży, na mój trudnej drodze!

(Wieśniak zniecierpliwiony tupie i kaszle.)

Stefan *(zwracając się ku niemu)*.

Siadaj, pocziwy człeku; weź krzesło przy ścianie.
 Czy jesteś wójtem z wioski?

Wieśniak *(z pokłonem)*.

Wójt, wielmożny panie.

Stefan *(chodzi zakłopotany, nie wiedząc co mówić dalej)*.

A masz żonę i dzieci?

Wieśniak.

Mam dziątek aż troje.

Stefan.

Siadajże, weź krzeselko.

Wójt (z pokłonem).

Ja sobie postoję.

Stefan (do siebie).

Pokora niewolnicza, to wielka ich wada!
Lecz ze starym przesądem walczyć nie wypada:
Trzeba ich przyprowadzić stopniowo, z daleka,
Aby w sobie uznali dostojność człowieka.

(Do wieśniaka:)

A jakże się nazywasz?

Wieśniak.

Pasieka Bazyli.

Stefan.

Umiesz czytać i pisać?

Wieśniak.

Z rodu nie uczyli.

Stefan.

A jakże będąc wójtem bez pisma być może?
Jak rachujesz podatki, robociznę, zboże?
Jak możesz zapamiętać co czynić wypada?
Jak ci może zaufać i dwór, i gromada?
Zkąd pewność przed gromadą, przed sądową władzą,
Że się wiernie wyliczysz z tego, co ci dadzą?

Wieśniak.

Co te pisma, paniczu! pamięć to rzecz święta!
Człowiek chce zapamiętać, to i zapamięta.
Wierzą mi, bo się zdradą nie splamiłem żadną;
Czy to proszę panicza piśmienni nie kradną?
A zresztą, czego dobrze spamiętać nie możemy.
To się na prostym kiju zakarbuje nożem,
Oto mój kij, paniczu,—przypatrzeć się proszę:
To kopy, a to snopy, to złote, to grosze;

Jakoś to się wyliczam, rachunki nieduże,
Dziesięć lat jak dworowi i sąsiadom służę.

S t e f a n.

A jednak umieć czytać czyżby ci niemiło?

W i e ś n i a k.

No! toby się w kościele z książki pomodliło.
A u nas jaki pacierz? Ojczy nasz i Wierzę,
Dziesięcioro przykazań — to całe pacierze;
A jednak gdy niedola, gdy się serce kruszy,
Człowiek zmówi co umie, to i lżej na duszy.

S t e f a n.

Więc tu dziatwa nic a nic z książki nie korzysta?

W i e ś n i a k.

Jest, z przeproszeniem pańskim, pijak organista.
Ten gdy czasem ochota na niego napadła,
W karczmie zimową porą uczył abecadła;
Ale to nic niewarte.

S t e f a n.

Ciekawym, dla czego?

W i e ś n i a k.

Bo dziatwa wyuczona nie słucha starszego,
Myśli, że wszyscy głupi, że wszyscy prostacy,
Czytać się nie nauczy, a odwyknie pracy.
Zresztą, dobrze zważywszy, głupstwo to czytanie:
Chłop choćby umiał czytać, księdzem nie zostanie,
Urzędnikiem nie będzie, dziedzictwa nie kupi;
A czy jeden piśmienny, z przeproszeniem — głupi?
Rolnik niech umie orać.

S t e f a n (*do siebie*).

Serce się rozrywa —

Jaka satyra ostral! jaka sprawiedliwa!
 I sprostuj tu u ludu wypaczone drogi,
 Rzuć kamień na ciemnotę lub na złe nałogi!
 Straszna rzecz!

(Do wieśniaka:)

No, a teraz, mój kochany wójcie,
 Mówcie jak na spowiedzi—o nic się nie bójcie:
 Czy dobre wasze życie? czy raczej mieć insze?
 Czy lepsza dla wieśniaka pańszczyzna lub czynsze?

Wieśniak.

Widzi wielmożny panicz....trzeba ruszyć głowę.
 Dobre i to i owo, złe i to i owo....
 Czynsz byle sprawiedliwy, to każdy go woli;
 Lecz jaka sprawiedliwość na nierównej roli?
 Jeden ma same piaski, drugi same gleje,
 Jednemu grunt wysuszy, drugiemu zaleje,
 A czynsze jednakowe. Gdyby pan poznawał
 Każdy szmatak łąk naszych, każdy gruntu kawał,
 Byłaby sprawiedliwość, pracują czy płacą.
 Są bogaci, ubodzy, dobrzy i ładaco;
 A bez dozoru wójta, pańskiej zapomogi,
 Byłby jeszcze uboższym kto dzisiaj ubogi,
 Albo wieśniak leniwy, niepocziwej duszy,
 Spustoszy kawał gruntu i sam w świat wyruszy.

Stefan.

A jakaż na to rada?

Wieśniak.

Na to trudna rada.

Lepiej poznać i ludzi, i grunta wypada.
 Lat dziesięć będąc wójtem, wiem, że w naszej włości
 Nie trzeba pobłażania, lecz sprawiedliwości:

Wymagać od nas pracy, dać nam dosyć chleba,
 A gdzie warto pokarać, to i karać trzeba;
 A zresztą, przebacz panie, że wieśniak pobredzi,
 Częściej panom i chłopom chodzić do spowiedzi.

Stefan.

Dzięki ci, dobry wójcie! teraz to już mogę
 Zrozumieć mego celu pożyteczną drogę.
 Rozpatrzę i zrozumieć z blizka i z daleka
 Każdy morg naszej ziemi, każde serce człeka;
 Gdzie przyjdzie świadczyć łaskę, wyświadczę ją szczerze,
 Gdzie idzie sprawiedliwość, ściśle ją wymierzę;
 Przyłożę bratniej ręki — a wtedy, mój bracie,
 Korzyści oświecenia i swobód poznacie,
 I odrodzi się w Bogu gromada wioskowa.

Wieśniak (*do siebie rozrzewniony*).

Jakie to złote serce!

Stefan (*do siebie*).

Jaka mądra głowa!

(*Głośno:*)

Chcę za twoją poradą iść dalej a dalej.

(*Uściska go.*)

Wieśniak (*cofa się z pokorą*).

Jam niegodzien téj łaski.

Służący (*wchodząc*).

Goście przyjechali.

SCENA DRUGA.

PODKOMORZY, ANNA (*wchodzą — potem*) SĘDZINA,

SEDZIA, STEFAN. (*Wieśniak cofa się cichaczem.*)

Sędzina (*wychodząc naprzeciw gości*).

Jak łaskaw podkomorzy, że o nas pamiętał!

Podkomorzy (*z gracyą całując jej rękę*).

A moiści dobrodziejko! to powinność święta,
Obowiązek... powinność... prawdziwe rozkosze...

(*Przedstawia Annę.*)

A to jest moja córka — przypomnieć ją proszę.

Sędzia (*uściskając Annę*).

O! pamiętam, pamiętam, chociaż jeszcze małą.

A jakże to urosło! jakże wyładniało!

Ci rosną, ci starzeją, to już kolój taka.

(*Przedstawia Stefana.*)

Mój syn Stefan.

Podkomorzy.

Pamiętam, pamiętam chłopaka.

Jak wyrósł! jak wypiękniał w naukowej pracy!

(*Podczas następnego powitania Stefan i Anna podają sobie ręce i rozmawiają z cicha w głębi sceny.*)

Sędzia (*wybiegając uściska Podkomorzego*).

Kopę lat, panie Janie!

Podkomorzy.

Och! panie Serwacy,

Kopę lat z procentami, a może i dłużój!

Sędzia.

Jakże zdrowie?

Podkomorzy.

Jak zdrowie?

Sędzia.

Pomalutku służy.

Podkomorzy.

A zemną źle, mój sędzio. Gdy cierpieć się zdarzy,

Ty wiesz, że się nie pieszczę, niedbam o lekarzy;

Ale tu gorzej jeszcze: bo moja obora,

Czy uważasz mój sędzio? na księgosusz chora.
 Krowy nie dają mleka—pomału, pomału,
 Na nich ginie mój prawny procent z kapitału.
 Dziesięć od sta na miesiąc, czyż nie słuszną skalą?
 Tymczasem jedno bydlę z nóg mi się obala,
 Drugie nie daje mleka, a innym na leki
 Muszę jeszcze kupować lekarstwa z apteki,—
 Tak, że cała obora, co niemało warta,
 Daje cztery procenta lub czasem półczwarta.

Sędzia.

Tak... księgosusz... księgosusz...zaraza ze Wschodu.
 Lękać się gorszych rzeczy mam wiele powodu:
 Bo na wiosnę, gdy wojsko poruszać się zacznie,
 To nam dżumy, cholery naniesie nieznacznie.
 Pamiętasz, we trzydziestym...

Podkomorzy.

A któż nie pamięta?

Lecz na cóż ten ruch wojska?

Sędzia.

Wojna rozpoczęta!

Nie nie wiesz... Hiszpan, Francuz i sułtan już w lidze
 Politykę angielską jak na dłoni widzę;
 Włosi zburzyli Alger,—a Ibrahim basza
 Niby to nie uważa, niby nie przestrasza,
 Ale ma dobre oczy, krzywd nie zapomina;
 A Gibraltar, mospanie, to dobra zwierzyna,
 O! dobra! jój nie sposób skryć w torbę borsuczą.

(Z cicha:)

A u nas incognito Persowie się włóczą;
 Spytaj Żydków.

(Podaje mu gazetę.)

Przeczytaj, pokombinuj zdrowo.

Podkomorzy (*niedbale przerzucając gazetę*).

Och, stary zapaleńcze z przewróconą głową!
 Wojna... kto dzisiaj wojnę wypowiadać pocznie?
 Świat praktyczny: narody poznały widocznie,
 Że wojna to zabytek dawniejszego szalu,
 Procentu nie wypłaci, bierze z kapitału,
 Bierze ręce od pracy, bierze grosz z karbony,—
 Wygrał, przegrał, a strata dla obojędz strony.

Sędzia.

A równowaga świata?

Podkomorzy.

Właśnie równowaga:

Każdy myśląc o sobie, drugim dopomaga;
 A handel, a rolnictwo, a przemysł, a praca,
 Każdy kraj swój kapitał najszparcziej obraca,
 A gdy obraca szybko, od sta bierze trzysta,—
 To już i kraj ościenny koniecznie skorzysta.
 Braterstwo, co je głoszą rozmarzone głowy,
 To jest prosty, mój sędzio, interes handlowy.
 Polityka w téj mierze proste ma pochopy,
 By procentować wspólne siły Europy.

Sędzia.

Gadasz, jak znasz, sąsiedzie... handel, wielkie święto!

(*Tryumfalnie:*)

A w Marokku już porty handlowe zamknięto,
 Anglik już się pokłócił z tamtym wielko-rządca,
 Włosi Alger zdobyli...

Podkomorzy.

Ach! jak tu gorąco!
 Wyjdziem sobie na ganek... bo to czasu strata.
 Trzeba dobrze używać choć krótkiego lata.

Tam chłodniej pod drzewami... brzydzę się upałem;
 I twojej gospodarki dawno nie widziałem,
 A ty wiesz, ja to lubię... to moje zadanie.
 Idźmy, panie Serwacy.

Sędzia.

Idźmy, panie Janie!

(Kłaniają się ceremonialnie we drzwiach i odchodzą.)

Podkomorzy.

Padam do nóg sąsiadki!

Sędzina.

Idźcie państwo sobie,

A ja skromny tymczasem podwieczorek zrobię.

(Odchodzi innemi drzwiami.)

SCENA TRZECIA.

STEFAN i ANNA.

Stefan.

Anno!

Anna.

Panie Stefanie!

Stefan.

Ja jak we śnie roję,
 Sam nie mogę uwierzyć w własne szczęście moje!
 Gdym sądził, że na długo z sobą się rozstaniem,
 Gdy mi dom rodzicielski stawał się wygnaniem,
 Kiedym nie śmiał do ciebie pisać bez twój woli,
 Gdy z tęsknoty po tobie usychał powoli, —
 Wczora najniespodzianieji powiada mi matka,

Żeś ty tutaj przybyła, żeś nasza sąsiadka;
 A dzisiaj ciebie widzę, dziś z ust twoich słyszę,
 Że miłe twemu sercu wioskowe zacisze.
 Gdy znikła twój zmienności dręcząca obawa,
 Kiedy przestałem wątpić...

A n n a.

Bo nie miałeś prawa.
 Za cóż krzywdzisz niewiarą?... Stefanie, Stefanie!
 Od czasu kiedyś postrzegł moje przywiązanie,
 Od czasu kiedyś wyznał, że kochasz wzajemnie,
 Czyż miałeś kiedy powód nie kontent być zemnie?
 Czyż widziałeś, ażeby ktokolwiek z młodzieży
 Choć chwilkę zajął serce, co tobie należy?
 Powiedz...

S t e f a n.

Tak... lecz odległość, ale czas niemały
 Ostudza w sercu kobiet najtkliwsze zapały.
 Tyś piękna — mogłaś znaleźć wielbicielów krocie;
 Tyś kobieta — więc mogłaś zmienić się w istocie.
 Opuszczała mię wiara i mężka odwaga.

A n n a.

Czas i przestrzeń prawdziwe przywiązanie wzmaga.
 Gdysmy razem, to czasem i fraszka oziębi,
 Nie czujemy wzajemnie całej uczuć głębi,
 I w kochanej istocie, choć się szczerze kocha,
 Nawet i wady jakiej znajdujemy trocha.
 Lecz straciwszy... straciwszy... to zaraz w rozpacz
 Cały ogrom téj straty smutno się zobaczy;
 A świat niegdys tak piękny, najmiłsza zabawa,
 Czémś się takim bezbarwném, takim nudném stawa,
 Że chciałoby się uciec i odwrócić oczy.

A tutaj tyle wspomnień dawniejszych otoczy,
 Głowę takie bolesne porównania gnioł! —
 Żyłó się dwojgiem życia — dziś jestem sierotą!

S t e f a n.

Zawsze jedna... ta sama, szlachetna i wzniosła,
 Zawsze sercem do dawnych pamiątek przyrosła...
 Tęskniłaś...

A n n a.

Wy mężczyźni macie insze życie,
 Wy pracą próżnię życia zająć potraficie,
 To umysł zatrudniony, to ruch krzepi ciało;
 A kobieta w tęsknocie zawsze jest schorzałą.
 Powolna ręczna praca umysłu nie trzdzi;
 Chcę się książką rozmarzyć, i tam spotkam ludzi,
 Jednych nudnych jak żywi egoiści drobni,
 Drudzy zda się, że do nas z zapachu podobni,
 Ale oni szczęśliwi, oni byli razem, —
 I znowu własnych wspomnień ludzim się obrazem.
 Książka nam targa serce, ale nie nasycza.
 Szczęśliwsza wasza praca myśl urozmaica.
 Pracowałeś, Stefanie?

S t e f a n.

O, tu pracy wiele!
 Tu mam możność rozwinąć moje wyższe cele.
 Ojciec oddał mi rządy, rządy staréj daty:
 Wiesniak ubogi duchem, choć dosyć bogaty;
 Domy ich opuszczone, stodoły bez dachu,
 Przywykł nędzarsz do dawnéj groźby i postrachu;
 Odurzony, nie czuje, gdy ma kawał chleba,
 Że może wyjść z niedoli, że wyjść z niéj potrzeba.

A n n a.

Tak u nas prawie wszędzie... biedny stan nędzarza,

S t e f a n.

A co mię bardziej jeszcze smuci, upokarza,
 Że muszę tylko zwolna ład wyniszczać stary.
 Tu potrzeba zachęty, potrzeba ofiary,
 Groszem, dobrym przykładem trzymać ich na wodzy;
 A my nie mamy grosza, my bardzo ubodzy,
 Interesa zwikłane dźwignąć się nie mogą,
 Serce każe iść inną, prawo inną drogą;
 A ja tak mało umiem, bo tylko z idei,
 I potrzeb mego ludu i prawnych kolei.

A n n a.

Biedny, biedny Stefanie, jak ci tu mozolnie!
 Przyjeżdżaj często, często; radzić będziem wspólnie:
 Dwie głowy i dwa serca gdy się w radę złożą,
 Może coś obmyślimy za pomocą bożą;
 A przynajmniej na sercu będzie nam weselej,
 Kiedy się każda przykrość na dwoje rozdzieli.

S t e f a n (*biorąc jej rękę*).

O! tegom się spodziewał po twój pięknej duszy.
 Czuję dziś, że dłoń moja i skały pokruszy.
 Wezmę z twego natchnienia czyny niezachwiane,
 I ojcu, i ludowi pomocnym się stanę.
 Natchnienia mi potrzeba — tyś natchnieniem mojem.

G ł o s P o d k o m o r z e g o (*za sceną*).

Mówisz sędzio za wojną, a ja za pokojem.

G ł o s S ę d z i e g o.

Wojna, koniecznie wojna wybuchnie na lato.

Głos Podkomorzego.

Procent od sta tysięcy wyliczyłbym za to;
Ale wojny nie będzie: godzą się narody,
Świata potrzeba handlu, a handlowi zgody,
A koleje żelazne...

Głos Sędziego.

A w Algerze klęski.

Głos Podkomorzego.

A okręty parowe...

Głos Sędziego.

A traktat wiedeński!

(*Wchodzą zaperzeni.*)

SCENA CZWARTA.

CIŻ, *oraz* PODKOMORZY *i* SĘDZIA.

Podkomorzy.

A przymierze handlowe!

Sędzia.

Cóż *Kuryer* ogłasza?

Podkomorzy.

Anglicy cła już zniesli!

Sędzia.

A Ibrahim basza!

Podkomorzy.

A na giełdzie paryzkiej procent się podnosi
W skutek wieści z Algeru...

Sędzia (*z gniewem*).

Bo w Algerze Włosi!

Podkomorzy (*z gniewem*).

Bałamuctwo.

Sędzia.

Nieprawda, nieprawda: albowiem...

Podkomorzy.

Ja za niegrzeczne słowo z procentem odpowiem.
Nieprawda!.. kłamstw żydowskich nie noszę w zapasie.

Sędzia.

Lecz nie znasz się na rzeczy.

Podkomorzy.

A jegomość zna się!

Sędzia (*ukazując Podkomorzego*).

Głęboki mi polityk!

Podkomorzy (*ukazując Sędziego*).

Uczeń Metternicha!

SCENA PIĄTA.

CIŻ i SĘDZINA (*za nią wnoszą podwieczorek*).

Sędzina.

Panowie! zamiast wojny lepsza zgoda cicha.
A czy się ludzie kochać, czy bić będą srodze,
Nie zawadzi malutka przekąska po drodze.

Podkomorzy (*opamiętywa się*).

Sąsiadko dobrodziejko, o! to tylko żarty;
Ależ mężulek pani jak kozieł uparty,
Chce koniecznie wojować.

Sędzina (*opamiętywa się*).

Chcę prawdy i kwita.

Podkomorzy.

Prawdę znajdziem w kielichu... przednia okowita!
Nalój waszmość i przepij... to gawęda pusta.

Sędzia (*nalewa i przepija z uśmiechem*).

W nieomylnie rączęta!

Podkomorzy (*z ukłonem*).

W niezawodne usta!

(*Pije.*)

(*Do Stefana zajądając:*)

Bardzo, bardzo winszuję, panie kawalerze!
Wybornie procentuje kto tak rzeczy bierze.
Niedawno gospodarzysz na ojcowskim dworze,
A już się znacznych odmian nie widzieć nie może.
Dachy ponaprawiane, które dawniej cieką,
Uprawa waszych gruntów dziś lepsza daleko.
Pracuj na swoim gruncie, pracuj na swój strzesie,
A ziemia niezawodny procent ci przyniesie.
Prawda, że nie tak prędko kwiat wyda nasiona:
Fortuna wcale dobra, ale opuszczona,
Bo mój szanowny sąsiad, niech mi rzec pozwoli,
Dobry do bitwy z Turkiem, ale zły do roli.
Lecz dopomagać ojcu obowiązkiem świętym—
Młodość jest kapitałem, a czyn jest procentem...
A czy wiedzą sąsiedzi, że to rzecz zabawna!
Wasz Stefan z moją Anną znajomi od dawna.
Wczoraj mi powiedziała.

Sędzia.

Wczoraj nam powiedział.

Podkomorzy.

Jak to zbiegną się ludzie mimo miejsca przedział!..
Ale wiecie co, dzieci? tracić czasu szkoda:

Na dworze taka jasna i piękna pogoda,
 Wy pewno coś powiedzieć sobie mieć musicie
 O dawniejszych znajomych, o wspólnym pobycie,—
 Przejdźcie się po ogrodzie—a my tutaj starzy,
 U nas o innych rzeczach zwyczajnie się gwarzy,
 Mam ja tu z panem sędzią interesa duże.

A n n a.

Dobrze, ojcze, pójdziemy.

S t e f a n.

Chętnie pani służę.

(Odchodzi.)

S C E N A S Z Ó S T A.

SĘDZINA, SĘDZIA *i* PODKOMORZY.

Podkomorzy *(wstaje i zamyka drzwi tajemniczo).*

Sąsiedzi dobrodzieje! zdziwicie się może,
 Gdy wam niespodziewanie myśl moją otworzę.
 U mnie tak: co się myśli, mówi się i czyni,
 Bo myśl niedokonana to martwy grosz w skrzyni,
 Kapitał bez procentu, dobra bez intraty,
 Co chwila narażone na zupełne straty.
 Więc prosto i do rzeczy... Wszak prawda, sąsiedzie,
 Że ci się w Pustopolu nieszczególnie wiedzie?

Sędzia.

Ej, prawda... lecz cóż dalój?

Podkomorzy.

Grunt i dobry może,
 Lecz strasznie zapuszczony, nie rodziło zboże.

Sędzia.

Tak, nie rodziło zboże — to mi każdy przyzna;
Lecz wiosną będzie wojna, a w wojnie drożyzna.

Podkomorzy.

Co tam wojna czy pokój! myśl jak się podoba,
Ale starość nie radość — czujemy to oba.

Sędzia.

Smutna prawda... lecz starość idzie swoją drogą.

Podkomorzy.

A jużci na fortunie i dłużki być mogą.

Sędzia (*obrażony*).

Proszę się nie frasować.

Podkomorzy.

Nie udawaj zucha;
A Żyd ciebie okrada, chłop ciebie nie słucha;
Źle, bracie... krucha sprawa... zaginiecie w nędzy.

Sędzia.

Mam syna, niech pracuje...

Podkomorzy.

Potrzeba pieniędzy,
Potrzeba doświadczenia, w działaniu swobody,
A bez tego wszystkiego zmarnuje się młody.
Zostawisz mu fortunę — nie gniewaj się proszę —
Co będzie jedno z drugim nie warta trzy grosze.
Szkoda czasu, młodości... Widziałem, widziałem:
Onby sobie dał radę z jakim kapitałem,
Włość go poczęła kochać, a to wiele znaczy,
Inszy wiek, dziś i z chłopem trzeba być inaczej.
Ja sam do filantropów wielkich nie należę,
A jednak pielęgnuję te idee świeże,

Mój poddany mię kocha—mądrość niedaleka:
 Daj krówce więcej siana, będzie więcej mleka.
 Nasz chłop, to jest kapitał—procent jego praca;
 Niechże mi się największym procentem wypłaca.
 Tu wszystkie środki dobre — niech świat co chce głosi:
 Chłop chce wódki—daj wódki, to za trzech ci skosi.
 Żyd nie w tém zły, że chłopą rozpaja jak zwierzę,
 Ale że nasze zyski sam do siebie bierze.
 Na co ma naszą własność ujarzmić pomątu?
 Ja nie mam Żyda w karczmie, bo nie chcę podziału.

Sędzia.

Tak... trochę masz słuszności; ale gdzie to wiedzie?
 Prawda, żem zubożony...

Podkomorzy.

Czekaj, mój sąsiedzie!
 Nie trzeba załamywać rąk bardzo żałośnie.
 Twój kapitał niszczeje, ale procent rośnie:
 Masz syna, co pracować i chciałby, i może,
 Masz wioskę, kawał lasu i niezgorsze zboże,
 Masz więc przyszłość przed sobą—to już znaczy wiele;
 Tylko nie masz pieniędzy... ja ci ich udzieleni.

Sędzia (*zrywa się radośnie*).

Ty dałbyś nam pieniędzy... panie podkomorzy!

Podkomorzy.

Nie daję bez procentu — procent się ułoży.
 Zyskać na każdej rzeczy to moje systema;
 Zysk moralny, pieniężny—tu różnicy niema.
 A gdybym własnych zysków nie miał na uwadze,
 Pewniebym nie poradził, co teraz wam radzę.
 Jestem stary—a syna nie dały mi Nieba;
 Mam jeszcze bystre oko, lecz mi ręki trzeba.

Gospodarstwo upada, co rok procent znika...
 Och! trzeba mi koniecznie, trzeba pomocnika.
 Wasz syn Stefan, to chłopak z rozumem, z zapałem;
 Takiego właśnie dostać pomocnika chciałem,
 Co to ręce młodzieńcze, dusza nieskażona,
 Co ja głową pomyślę, on czynem wykona.
 Lecz cóż? kiedy mu powiem: Mój panie Stefanie,
 Dam ci stół i usługę, światło i mieszkanie,
 Dam ci roczną zapłatę na tyle a tyle, —
 To pewno, że w rachubach moich się pomyślę.
 On powie: Mnie to na co? i wzgardzi ofiarą;
 Ja mam starego ojca, ja mam matkę starą...

(Kłania się sędzinie.)

Przepraszam cię, sąsiadko... Lecz niechaj pamięta,
 Że w kapitale życia wzrastają procenta.
 Kobiety zawsze młode i zawsze są hoże;
 Lecz Stefan mnie na przekór powiedzieć tak może.
 A zresztą miałby słuszność: po co drugim służyć?
 Lepiej w domu swęj pracy i zapалу użyć,
 Lepiej na własnej nędzy choćby tracić siły,
 Niżli jeść chleb służebny nikomu niemiły.
 A zresztą, gdyby moje i podzielił zdania,
 To... możeby...

(Zakłopotany.)

korzystał z mego zaufania.

Sędzia.

Co! onby cię okradał?!

Podkomorzy.

Ale mówmy szczerze:

Wszyscy jesteśmy ludzie — sam sobie nie wierzę.
 Zresztą, drodzy sąsiedzi — po dłuższej rozwadze,
 Widzę, że ze Stefanem już nic nie poradzę...

Wtém, patrzcie co za radość jak mi było słodko!
 Wraca Anna, co w mieście bawiła się z ciotką,
 Mówi o swych znajomych, i jakoś niechcąca
 Imię syna waszego przypadkiem natrąca.
 Panienska pokraśniała — na raziem ją schwytał.
 Nie wiem, czy to jest procent, czy to jest kapitał,
 Ale coś jest... z gawędy doszedziłem trocha,
 Że już się nasza dziatwa nie na żarty kocha.
 Kapitał! myślę sobie... chwytajmy co prędzej!
 Mnie trzeba pomocnika, sędziemu pieniędzy,
 Skombinujem te rzeczy. Więc tutaj dziś jadę,—
 Widzę, chłopak jak może daje sobie radę,
 Dwór naprawił, grunt usiał, dał rów aż do lasu,
 Coś za wojną turecką dojrzec nie miał czasu;
 Włóść do siebie przywiązał—to chwałę, to chwałę;
 A cóż gdyby na większą gospodarzył skalę?
 Rzucił myśli postępu, co w głowie się roją?
 Gdyby moją fortunę uważał za swoją?
 To i zdoła pomnożyć mój dochód ubogi,
 I fortunę ojcowską postawi na nogi.
 Trzeba tylko dać czasu rok, drugi, czy trzeci...
 Wiesz co, panie Serwacy?—żeńmy nasze dzieci.

Sędzia i Sędzina.

Co mówisz, podkomorzy?

Podkomorzy.

Sprocentują skoro;
 A tam po naszój śmierci niech wszystko zaborą.
 Lecz dopókiśmy żywi, dopókiśmy zdrowi,
 Z ręk niech patrzą, bo wszystko przehulać gotowi.

(Do Sędzięgo:)

Cóż? zgoda?... Nie poglądań taką długą twarzą.

Sędzia (*zakłopotany*).

A jak wojna na wiosnę—do wojska pójść każą.

Podkomorzy.

Znów wojna! wszak mówiłem: dziś być niepowinna.

Sędzina.

A jeżeli ich miłość, to tylko dziecinna?

Podkomorzy.

Ech! co tam psuć interes chwilową gawędą!
 Jak my rodzice każem, to kochać się będą.
 Tu zobopólna korzyść, tu współka handlowa:
 Jego młodość i ręce, a mój grosz i głowa.
 Pókim żyw, nie mu nie dam—ma sam kawał chleba,—
 Lubię grosz, i mnie grosza na obrót potrzeba,
 Tylko mu coś pożyczę, choćby z serca bolem,—
 Naturalnie zaręczysz twojém Pustopolem,
 Procent wypłaci z góry — jak zajmie się szczerze,
 Sam z wioski ulepszonej procenta wybierze.
 A po śmierci, gdy wszystko odziedziczy w spadku,
 Będzie miał dwa majątki i żonę w dodatku.
 Cóż mój sędzio, czy zgoda? Dobijmy rzecz naszą,
 A potem sobie wojuj z Ibrahimem baszą.

Sędzina (*z czułością*).

Szanowny podkomorzy, patrz, to łzy pociechy.
 Przyjeżdżasz świadczyć łaskę do ubogiej strzechy,
 Oddajesz Stefanowi ukochane dziecko,
 Rozszerzasz jego pole działania na świecie.
 Lecz serca się nie wazą na handlowej szali,—
 Kto wie, czy się doprawdy oni pokochali?
 Może to urojenie, może nam się zdaje:
 Trzeba przeznaczyć ich serca, skłonności, zwyczaje.
 Jeśli oni szanując nasze lata stare,

Zechcą spełnić życzenia tylko przez ofiarę
 I dla naszych urojeń zatruc przyszlą dolę,
 Czyńcie sobie co chcecie — a ja nie pozwolę,
 I pomimo warunki sąsiada korzystne,
 Raczej prostą wieśniaczkę jak córkę uścisknę.

Podkomorzy.

Sąsiadko dobrodziejko! więc jakaż tu rada?

Sędzina.

Nic nie mówić, a śledzić ich serca wypada.
 Wszakże to niedaleko, kochany sąsiedzie:
 To wy tu przyjedziecie, to on tam przyjedzie;
 Przypatrzy się, oceni jedna strona drugą,
 Trzeba nieco poczekać.

Podkomorzy.

Byleby niedługo;

Szkoda czasu na zwłoki — bo czas, to rzecz święta:
 Praca, młodość i miłość niech dają procenta.

(Do Sędziego:)

No Sędzio, cóż powiadasz o naszym zamiarze?

Sędzina.

To rzecz dyplomatyczna — ściślej ją rozważę.
 Po najlepszych traktatach zwykła bywać sprzeczka.
 Ot na przykład..

(Słychać pukanie do drzwi.)

A kto tam?

(Otwiera.)

SCENA SIÓDMA.

CIŻ, STEFAN z listem i ANNA.

Sędzina.

Posłaniec z miasteczka?

Są gazety?

Stefan.

Nie przywiózł.

Sędzia.

To skaranie boże!

Anglicy dotąd weszli na Czerwone morze,
Włoskie działa już pewno grzmocą na Saharze,
A redaktor gazety miesiąc czekać każe.
Dowiedzieć się aż w miesiąc — piękna mi nowina!

Stefan.

Ale pan Kałamarski prosi i zaklina,
Abys ojcie przyjeżdżał w jak najprędszym czasie.

Sędzia (*zmiészany, do siebie*).

Zła sprawa!... dług bankowy... jakos zrobić da się.

(*Do Stefana:*)

Odpisz mu, że przyjadę...

(*Do siebie:*)

Hm!... sprawa niemiła...

(*Do Stefana:*)

A zapytaj, dla czego gazet nie przysyła?

Podkomorzy.

Kiedyż jedziesz?

Sędzia.

Pojutrze.

Podkomorzy.

A i ja tam będę.

Pamiętaj, odnowimy dzisiejszą gawędę.
Teraz żegnam, sąsiadów! niedługie rozstanie.

Bądź zdrów, panie Serwacy!

Sędzia.

Bądź zdrów, panie Janie.

AKT TRZECI.

[*Wnętrze oberży w miasteczku; drzwi na prawo i na lewo oznaczone numerami. W głębi gospodarz woła w okno za kulisę.*

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ, *potem* PODKOMORZY, ANNA i SŁUŻĄCY,

G o s p o d a r z.

Proszę jasnego pana, niech pan tu zajędzie:
Jest piwo, owies, siano, obwarzanki, śledzie,
Cukier, kawa, herbata, jest mleko, są sery,
W całym mieście pan takiej nie znajdziesz kwatery.
Proszę jasnego pana!

(*Wybiega i wprowadza Podkomorzego i Annę, za nimi unoszą paki podróżne.*)

P o d k o m o r z y.

Pewnie wszystko drogo.

(*Idzie do drzwi na prawo.*)

G o s p o d a r z.

Nie, ten numer zajęty. Tu nie masz nikogo.

(*Wskazuje na lewo:*)

Tu stanął z Pustopola pan sędzia Nowina.
Daj Boże jemu zdrowie—nas nie zapomina.
Bo zawsze tu zajężdza każdy pan wielmożny,

Pan marszałek, pan prezes, pan deputat drożny,
Pan Kociuba podsędek z Wysokiego Siola...

Podkomorzy.

A jesteście w domu sędziego?

Gospodarz.

Wyszedł do kościoła;

Jest tylko syn sędziego, co się Stefan zowie,—
Jaki to dobry panicz! daj mu Boże zdrowie!

(Do służącego:)

Ot tutaj, mój kochany, ot tu paki wnosicie.
Trochę nie zamieciono—wyjechali goście—
Ale to nic... ot tutaj.

Podkomorzy *(patrzy na zegarek).*

Godzina dwunasta.

Rozgość się, moja Anno, ja idę do miasta.
Pilnuję pana Szmula—zguba na człowieka!
Kapitału nie płaci i procenta zwleka.

(Wychodzi przez głąb sceny. Anna, za nią służący idą do drzwi na prawo.)

Gospodarz *(do siebie).*

Dwóch ludzi, cztery konie... o! to nie hołota!
Lubię, gdy takie państwo zajeżdża przed wrota:
Można coś utargować, liczyć na intratę,
Za owies, siano, mleko, cukier i herbatę.
Tylko, że ten pan Leszczycki skąpy nadzwyczajnie;
Ma rozum... Pójdę teraz pokazać im stajnie.

(Odchodzi.)

SCENA DRUGA.

STEFAN, ANNA *(wbiegają każde z przeciwnych drzwi).*

Stefan *(z radością).*

Czy wiesz?

Anna.

Czy wiesz Stefanie? niespodzianka miła:
Powiadał mi mój ojciec...

Stefan.

Mnie matka mówiła.

Anna.

Lecz cicho...

Stefan.

Pod sekretem.

Anna.

Niby to nie wiemy...

Stefan.

Oni chcą nas połączyć... dla jakiegoś systemu,
Dla jakichś tam widoków....

Anna.

Kłękam przed rozkazem.

To najlepsze systema, że będziemy razem.
Cieszysz się?

Stefan.

A ty, Anno?

Anna.

Czyż pytać potrzeba?

Nie śmiałam nawet o to modlić się do Nieba,
Nie śmiałam się spodziewać, by rodzice starzy,
Aby ojciec, co ciągle o majątku marzy,
Zechciał zmienić o tobie swe zdanie surowe...
A widzisz, co to znaczy mieć serce i głowę,
Takie jak ty posiadasz—to każdego wzruszy.

Stefan.

Dla tego, żeś twój pięknej podobał się duszy,
To myślisz, że mój widok wszystkich już pokona?

Mam serce, sam to czuję—lecz głowa szalona,
 Przed chwilą mi krążyła od licznych kłopotów,
 Teraz od zbytku szczęścia umierałbym gotów.
 Chwieje się słaba głowa przy każdej odmianie,
 Krew mi do niej uderza...

A n n a.

To źle, mój Stefanie!

Na nowém stanowisku trzeba krew mieć chłodną,
 Serce wolne od wzruszeń, a głowę swobodną,
 Nie wpadać w uniesienia, te zawsze dziwaczne...
 Słuchaj... jak będę twoją, to zrzędzić ci zacznę.
 Siadaj—zagraj przedemną twoich reform rolę.
 Dziś twój ojciec na ciebie spuścił Pustopole,
 A wkrótce... wraz po ślubie... naszych Zajeziery
 Mój ojciec pełnomocny zarząd ci powierzy.
 Będiesz u nas najpierwszą parafialną głową,
 Stefana jasnym panem w miasteczku nazową;
 To mnie cieszy, to w uchu jakoś brzęczy ładnie,—
 A tytuł jasnej pani wszak i na mnie spadnie.
 Więc od czego poczynasz twoją jasną władzę?

S t e f a n.

Najprzód po wszystkich wioskach szkółki zaprowadzę;
 Bo młodzież, która nowych czasów się doczeka,
 Co ze stanu niewoli ma przejść na człowieka,
 Więcój powinna umieć.

A n n a.

To dobrze, a potem?

S t e f a n.

Pocznę szczerzej pracować nad ich sercem złotém,
 Wytępiąc złe nałogi, nie przez groźbę kary,

Ale drogą miłości, ufności i wiary;
Tak—wiary, droga Anno, bo lud u nas wierzy.

A n n a.

A mnie pozwól, bym dziatwę uczyła pacierzy.
Sprowadzę im obrazki, zbiorę me słuchacze,
I każdego obrazka treść im wytłómaczę,
Czytać im będę książki dla ludu pisane,
Naszemu organiście pomocną się stanę...
Cóż potém?

S t e f a n.

O! szerokie, szerokie me plany.
Twój ojciec przemysłowym zabiegiem oddany,
Kapitały i procent dopatrując wszędzie,
Ma kmiotka nie za człeka, ale za narzędzie.
I mój ojciec tak samo, choć ceni człowieka,
Na oświatę ludową straszliwie narzeka.
Słuchaj, aż ci bolesno — mówią jak bluźnierce;
Lecz myślisz, droga Anno, że to przez złe serce?
Nie... lecz drobiazgowymi zajęci rachuby,
Moralnej i pieniężnej lękają się zguby;
Nie widzą, że chłop większe przyniesie im plony,
Gdy będzie z niewolnika sąsiad oświecony.

(Podczas tej rozmowy wchodzi Sędzia i Podkomorzy. Podkomorzy wskazuje ze śmiechem zadowolenia młodą parę, daje znak Sędziemu i obaj się rozchodzą, każdy do swęj izby.)

A n n a.

A jakże ich przekonać? jak walczyć z narowem?

S t e f a n.

Powoli a nieznacznie, przykładem i słowem.
Tylko przez wolną pracę w całej Europie
Stańło dziś rolnictwo na olbrzymiej stopie;

Tylko z użyciem machin i tylko z oświatą
 Można dziś niwę naszą uczynić bogatą:
 Ulżywszy rękom ludzkim przez nowe narzędzie.
 Do innych prac ziemiańskich więcej rąk przybędzie;
 Gdy osuszą się bagna, ulepszą pastwiska,
 To na skarbie wioskowym — na trzodzie się zyska.
 Wół towarzyszy rolnika, koń jego ozdoba,
 Co dziś zniedołężniały, pokarłały oba,
 Przy większej troskliwości, przy obfitszej paszy,
 Trzykroć większe ciężary dźwignąć się nie straszy.
 Lecz niewolnik w pustyni, w pocie swego czoła,
 Potrzeby téj odmiany i uczuć nie zdoła.
 Pan jego, a on trzody swojej nie oszczędza,
 Tak idzie w pokolenia ciemnota i nędza.

A n n a.

Jakże temu zaradzisz?

S t e f a n.

Chcę życie dać insze,
 Opiszę kilku włościan w przyzwoite czynsze,
 Nie dam im zapomogi, lecz tylko swobodę,
 I młodszych moich braci za rękę powiodę.
 Wszczępię w serca moralność, czytać ich wyuczę,
 Prawdziwego postępu do ręki dam klucze.
 Gdy będą oświeceni, gdy będą bogaci,
 Gdy pan to na nich zyska, co na innych traci,
 Ukazę porównanie — niech sam ojciec przyzna,
 Czy lepsza wolna praca, czy lepsza pańszczyzna.

A n n a.

O! jakże się ja wtedy szczęśliwą nazowę,
 Gdy złożysz na me ramię spracowaną głowę,

Będziesz mi opowiadał każdy zamiar skryty,
Każdą myśl, co ci przyjdzie, każdy trud przebyty.

S t e f a n (kładzie głowę na jej ramieniu i mówi dalej).
Każdą troskę, co spotkam pełniąc me zadanie,
A która wtedy dla mnie troską być przestanie,
I znów opromienieją moje wielkie cele.

SCENA TRZECIA.

CIŻ, SĘDZIA (wybiega ze swej izby z gazetą w rękę) potem PODKOMORZY.

S ę d z i a.

Ratuj mię, panie Janie, bo w łeb sobie strzele!

(Stefan i Anna, cofają się przerażeni.)

A n n a.

Co panu?

S t e f a n.

Co ci ojcze?

S ę d z i a.

Panie podkomorzy!

Podkomorzy (wybiega od siebie).

Co tam?

S ę d z i a.

Na, weź, przeczytaj, to cios na mnie boży,
Nagły, niespodziewany... Czytam *Kuryera*,
Wszystko dobrze... widocznie na wojnę się zbiera:
Don Karlos w tarapatkach — tylko mnie kłopot,
Że król Filip ministrem mianował Guizota;
Pamiętam w przeszłym roku krok jego zuchwalczy,
Lecz to fałsz, myślę sobie—Anglia go zwalczy.
Dalej... dwa włoskie statki skołatała burza,

Jeden już miał się nurzać, drugi się zanurza,
 I wszystkoby zginęło na podwodnej skale,
 Gdyby Turczyn pomocy nie dał im wspaniale.
 Ho, ho, ho! myślę sobie — to już każdy widzi,
 Że się Turcy z Włochami trzymają jak Żydzi.
 Znamy te allegorye, — my nie małe dziatki!
 Więc skończyłem gazetę, a czytam dodatki.
 Nic ważnego... podrady, sprzedaże, ukazy...
 Aż tu na końcu czytam... czytam po dwa razy,
 Przecieram sobie oczy — wzrok mię nie omyła.

(Czyta.)

„Ogłoszenie rządowe. Czwartego Apryla,
 „Na mocy polecenia z tój a z tój tam daty,
 „Będzie się wyprzedawał w skutek niewypłaty,
 „Za dług banku, podatek, za peny, za winy,
 „Majątek Pustopole sędziego Nowiny.“
 Masz... czytaj gdy nie wierzysz... O święty Serwacy!
 Gdyby Indyje Wschodnie wzięli Austriacy,
 Takbym się nie zadziwił... intrygi widoczne...
 I co ja teraz pocznę?... co ja teraz pocznę?

Podkomorzy (zimno).

Cóż to do mnie należy?... Dług to jest rzecz święta.
 Skarb musi mieć kapitał i swoje procenta.
 A czemuż nie płaciłeś?...

Sędzia.

Ha! bo trudne czasy!
 Licząc, że będzie wojna, chowałem zapasy,
 Te później kupił Szloma... kupił za część czwartą.

Podkomorzy.

Bankrut... bankrut widoczny... mówić z nim nie warto.
 Zadłużyć się skarbowi! — nie zapłacić raty!

A jakież masz sposoby wybrnąć z tarapaty?

Sędzia.

Liczę na twoją pomoc...

Podkomorzy.

Wyliczenie głupie!

Ja lepiej Pustopole sam dla siebie kupię,
Zalicytuję z młotka, nawet taniej może,
Kiedy dziesięć procentów na forszę wyłożę.
Choć to wprawdzie lichota—cała w bagnach leży,
Ale będzie przyległa do mych Zajezierzy.
Zakończy się przynajmniej spór, co nie ustawał,
O ten tam kawał łąki, o ten gruntu kawał.
Biegnę, lecę do miasta...

(Chce odchodzić.)

Sędzia *(zatrzymując go)*.

Sam wskazałeś drogę.

(Ukazuje nieznacznie Stefana i Annę.)

Miałeś swoje projekta.

Podkomorzy.

Nie mogę... nie mogę...

Dać córkę, dać majątek! proszę uniżenie—
Ja nigdy na niepewne pewnego nie zmienię.
Pustopole nie wasze!—w interesach zmiana;
A zresztą—moja córka nie kocha Stefana.

Anna *(podchodzi ku niemu)*.

Kocham go, drogi ojcze! Cios, co na nich spada,
Ja całym mojem życiem odwrócićbym rada.
Dopomóż... oni spłacą, wdzięczni ci bez granic.
Ale i moje szczęście czyż uważasz za nic?
Czyż mię wtrącisz do grobu, gdy mi szczęście świta?
Ratuj ich...

Podkomorzy.

Lecz nie mogę, nie mogę i kwita!
 Twoje szczęście... jak każe, to zapomnisz o nim.
 Jeszcze ludzie powiedzą, że to my ich gonim.
 Nie lękaj się—przeszkodą nie bądź w interesie,
 Kapitał twego serca procenta przyniesie.
 Jest marszałkowiec Trębosz, jest syn Paliwody,
 Jest podsędek Kociuba, choć niebardzo młody,
 Jest Alfred, co w Paryżu leczy się tyzanną,—
 Nie bój się, moja córko, nie zostaniesz panną.
 Wszakże wiesz, ja nie byłem za stadłem bogatém,
 Stefan z głową czynniejszy, intratniejszy zatém,
 Ja mu nic nie zaprzeczam—lecz dziś zmienne role,
 Ja dziś mogę za bezcen kupić Pustopole,
 Dług ich pewno niewielki, ale go nie spłacą,
 Wszak sami powiadają, że nie mają za co.
 Sędzio! waszego długu, a wieleż tam, wiele?

Sędzia.

Cztery tysiące... złotych.

Podkomorzy.

To są bagatele,
 Tyle spłacę do skarbu, a przez forsy drogę,
 Pustopole za bezcen zlicytować mogę.

Anna.

Cztery tysiące złotych... więc w tak małej cenie
 Leży cały ratunek, całe ocalenie!
 A ty ojciec się wahasz dzwignąć ich z rozpaczki?
 Wszak to fraszka dla ciebie, prawie nic nie znaczy,
 Dla nich jest ocaleniem... zostanie ci dłużny.
 Ja cię błagam...

(Kłęką.)

Lecz ponieważ stałego nic niema na świecie,
 I wy przy waszój wiosce zostać nie możecie.
 Czyż wasze dobre serca gniewać się powinny,
 Że ja kupię Pustopól raczėj niż kto inny?
 Wszak ja wam nie wchodziłem i nie wchodzę w drogę,
 Ale służyć pieniędzmi — dalipan nie mogę.
 Nie mam;— miałem grosz jakiś, wyznaję wam święcie,
 Ale to z każdym rokiem ginie na procencie,
 Żaden mi nie oddaje, który się zadłuża,
 Cztery tysiące złotych — ho! to summa duża.
 Pożycz gdzie — zalicytuj, wszakże według prawa
 Ty, sędzio, masz pierwszeństwo.

Sędzia.

Sąsiad się najgrawa...

Któż mi dzisiaj pożyczcy, gdy gruchnęło wszędzie,
 Że fortunę mych przodków sprzedają w urządzie,
 Żem nie spełnił, co święty obowiązek wkłada,
 Żem nie oddał synowi com wziął od pradziada?

Stefan.

Pracy mi nie zabraknie na społecznej niwie,
 I sędziwych rodziców mym trudem przeżywię.
 Tak... weźmiemy dzierżawę, pójdziem w obce strony,
 Jest Bóg w niebie...

SCENA PIĄTA.

CIŻ, *oraz* WÓJT *i kilku* WIEŚNIAKÓW *z Pustopola.*

Wójt.

Niech będzie Jezus pochwalony!

Sędzia.

Na wieki wieków Amen... A czego wy chcecie?

W ó j t (*zakłopotany*).

Tak widzi pan wielmożny... różnie bywa w świecie.
Szczęścia... jak mówią ludzie... nie związać powrozem;
Dzisiaj człowiek na wozie, a jutro pod wozem.
Nikt na świecie nie zgadnie jakie sądy boże,
A nieszczęście każdemu przytrafić się może.

S ę d z i a.

Do czegoż ta przedmowa?

W ó j t.

Widzi pan wielmożny,
Chciałbym się o coś spytać... ale jestem trwożny,
Może pan się zagniewa, że się pytam o to...
Może ludzkie języki nie wiedzieć co plotą.

S ę d z i a.

Cóż przecię?...

W ó j t.

Otoż mówią, z przeproszeniem pana,
Że nasza podatkowa rata nieoddana,
Cośmy ją panu wnieśli z wiosny na początku,
Że jakiś dług bankowy ciąży na majątku,
Że... niech się pan nie gniewa...

(*Do drugiego:*)

No, kończże sąsiedzie!

D r u g i W i e ś n i a k .

Że majątek sprzedadzą... a pan ztąd odjedzie.

S ę d z i a (*z boleścią do obecnych*).

Już i im moja smutna niedola wiadoma.

(*Do wieśniaków:*)

Któż wam o tém powiadał?

Wieśniacy.

Powiadał nam Szloma;

On to nas zawiadomił powróciwszy z miasta,
I wiele tego długu, i za co narasta.

Sędzia *(z boleścią)*.

Tak, prawda moje dzieci! Te lata, złe lata,
Ciężyla mi na głowie niejedna wypłata,
Więc wziąłem wasz podatek, karmię się nadzieją,
Że wiosną będzie wojna, zboża podrożeją,
A zboża było mało, nie rodziło pole,
Sami wiecie, że pustka...

Wieśniacy.

Ej pustka w stodole!

Sędzia.

Przeszedł termin podatków, rośnie sztraf po sztrafie;
Widzę dobrze, że z biedy wybrnąć nie potrafię;
Chciałem gdzieś grosz pożyczyć, odmówiono wszędzie;
Może wy się lękacie, że wam co ubędzie,
Że wam znów przyjdzie płacić? Nie, was nic nie spotka.
Majątek mój sprzedadzą z publicznego młotka,
Pójdę z torbą i kijem,—ma stać, niech się stanie.

Wójt.

Czyż do tego już przyszło?—Oj panie nasz, panie!
Wszakże to w naszym dworze wy z wieków ci sami,
Dziady nasze mieszkały pod twymi dziadami,
Ojce pod twoim ojcem—niech mu Niebo świeci!
My pod tobą pracujem—a dla naszych dzieci
Miał panicz być pociechą... O! to zacna dusza,
Szkółkę dla nich zakłada, łąki nam osusza,
Chaty począł budować, zna i lubi człeka.

Zdawało się, że wioska dobra się doczeka,
 Że jak poczniem czynsz płacić, jak się słusznie płaci,
 Człek mając więcej czasu, łatwiej się z bogaci,
 Lepiej się urządzimy i z polem, i zbożem,
 I panu służyć będziem, i siebie wspomozem.
 A teraz wszystko marnie... kto da więcej groszy,
 Zły jaki pan nas kupi i wioskę spustoszy.
 Ej panie! ej paniczu! tego być nie może!
 Nie rzucajcie nas biednych, siedźcie w swoim dworze.

Sędzia (*rozczulony*).

Dziękuję wam, dziękuję.

Podkomorzy (*do siebie*).

Patrzę jak na dziwy.

Anna.

A co? widzisz Stefanie, jaki lud poczciwy.

Stary Wieśniak (*z gromady*).

A ja starego pana dzieckiem jeszcze małym
 Na kolanach pieściłem, cacka mu strugałem,
 Znałem jego swawole, znałem każdy narów,
 Do szkoły go woziłem do księży Piarów...

Drugi Wieśniak (*do Sędziny*).

A czy pamiętasz pani? wszak to lat trzydzieści,
 Jakaś tu w naszym dworze mieszkała przy teści,
 Jak po waszém weselu my ludzie prostacy
 Chleb i sól wam przynieśli na lipowej tacy,
 Jak ja miałem przemowę...

Trzeci wieśniak (*do Stefana*).

A ty młody panie,
 Pomnisz, jakem cię dzieckiem brał na polowanie?
 Teraz wydam z sekretu, aż pusty śmiech bierze,
 Jakaś to swojskie kaczki strzelał na jezierce.

Starzec.

Wszystko to w naszych oczach powstało na nogi,
 A teraz chcą porzucić swój naród ubogi;
 A czy wy macie serce?...

Sędzia.

Serce mi się kraje...
 Lecz ja nie z dobrej woli majątek sprzedaję;
 Biorę go za podatek, za bankową ratę,
 A ja nie mam i grosza na długów wypłatę,
 I muszę was porzucić przed początkiem zimy.

Stary wieśniak.

Otoż pan nie wyjedziesz, bo my nie puścimy...
 Nie zechcesz od nas gwałtem wyrwać się sądzę.

Sędzia.

Lecz trzeba mi pieniędzy.

Wójt (*nieśmiało*).

U nas są pieniądze,
 Cztery tysiące złotych, tak wiemy od Szlomy.
 Przyjmiej to,—spłać należność, interes wiadomy,
 I wieki nam panujcie z dziatkami, z wnukami!
 (*Kładzie na stół pieniądze z nieśmiałością.*)

Sędzia.

Czy mi się przywidziało? czy to sen mię mam?
 Wy placicie pieniądze... wracacie mi życie...
 Zkąd u was tyle grosza?—sami się krzywdzicie,
 Ja nie przyjmę...

Podkomorzy.

Bierz sędzio, wybrniesz z tarapaty.

Wójt.

Zkąd my mamy pieniądze?... Człowiek niebogaty,

Lecz gdy się złożą wszyscy, za pomocą Nieba,
Gromada wielki człowiek, gdy tego potrzeba.

Starzec (z gromady).

Zkąd my mamy pieniądze?... Powiem, jak to było.
Zeszliśmy się w niedzielę, — trochę się podpiło,
Aż wtém powiada Szłoma, jak rzecz cała ma się,
Że jegomość dobrodziej w wielkim ambarasie,
Że majątek sprzedają... zginienie otwarte;
Więc postawiłem kwartę—wójt postawił kwartę,
I dalej rada w radę.

Wójt.

Tu niedługa rada.

Ratować nas i panów w ten moment wypada.
Spojrzeli się po sobie co bogatsi kmiecie,
Jeden z nich kilka groszy przysporzył w kalecie,
Drugi miał niepotrzebną dobrą sochę wołów,
Młynarzowi na rybie poszczęścił się połów,
Franciszek Szwed, co zda się na oko biedota,
Miał jeszcze po Francuzach małą skrzynkę złota,
Každy złożył po trosze, czy wielki, czy mały,
Kobiety niepotrzebnych kilka kur sprzedały,
Tak się grosz i zgromadził zebrany wśród braci.
Bierzcie go z dobrém sercem—a dług niech się spłaci.

Sędzia (spogląda na Stefana).

Stefan.

Grzech nie przyjąć dobrodziejstw z tak czystego źródła.
Odmowa ich serdeczność przykroby ubodła.

Sędzia (po namyśle).

Przyjmuję!...

(Ściska Starca i Wójta, kłania się gromadzie.)

Lecz to spłacić... wkrótce spłacić muszę.

Starzec.

Zwróć! O, przeciw temu odezwać się muszę.
Wszak panowie kupują nasze chłopskie dusze,
Dla czegożbyśmy dzisiaj, choć rzecz niesłychana,
Nie mogli za pieniądze kupić sobie—pana?

(*Sędzina ścisła ręce gromady.*)

Stefan (*po cichej naradzie z ojcem*).

Kupiliście już pana i z sercem i z duszą,
A te wasze pieniądze świętymi być muszą.
Nim je wam całkiem zwrócić lepszy los pozwoli,
Odtąd siedzieć będziecie na czynszowej roli,
Przy zamożniejszym bycie i w szczęśliwszej chwili
Odbierzcie choć cząstkami coście tu złożyli.

Wiśniacy (*po naradzie z sobą*).

Trudno i nam nie przyjąć téj waszój ofiary;
Lecz byle żył pan młody, byle żył pan stary,
Zakwitnie w naszej wiosce poczciwy lud boży,
A reszta, jak wrócicie, w domu się ułoży.
Spieszajcie do urzędu pospłacać swe raty,
I powracajcie zdrowo, a nam czas do chaty.
Niech będzie pochwalony!

O b e c n i.

Na wieki! na wieki!

(*Wiśniacy odchodzą.*)

SCENA SZÓSTA.

CIŻ, oprócz WIEŚNIAKÓW.

Podkomorzy.

Widzę, panie Stefanie, twój zawód daleki:
Czyja włość tak poczciwa, a taka zamożna,

Tam wysokich procentów doczekać się można.
 Z tym czynszem trochęś szybko wyrwał się młodzieńcze,
 Ale na tém nie stracisz, ja ci za to ręczę;
 Bo włosć przygotowana, moralnie bogata,
 A jest i z moralności pieniądze intrata.

(Do Sędziny i Anny, które z sobą rozmawiają w głębi:)

Pani sędzino—Anno! ten płacz, a to na co?
 Łzy, stracony kapitał, procentu nie płacą.
 No, sąsiedzie—tyś wesół, jak z bitwy wygranej;
 Ale czas już odnowić nasze stare plany.
 Co myślisz?...

(Szepce mu do ucha, ukazując Annę i Stefana.)

Sędzia.

Ja nic nie wiem—a cóż na to matka?

Sędzina.

Ja nie wiem—chcesz sąsiedzie, idźmy do ostatka.
 Na pieniądze rachubie nie snujemy planów.
 Stefanie! sam nad szczęściem swoim się zastanów.

Stefan *(biorąc rękę Anny).*

W tych rękę moje szczęście.

Anna.

Przy nim moje szczęście.

Podkomorzy.

No, już teraz, sąsiedzi, głowami nie trzęście,
 Pobłogosławmy dzieci...

(Otoczają młodą parę.)

Niech Bóg błogosławi!

Sędzia *(do Podkomorzego).*

Czy się traktat utrzyma, jesteśmy ciekawi.

Podkomorzy.

Dziedzicu Pustopola—teraz bądź spokojny,

Już nigdy między nami nie przyjdzie do wojny.
W dobre i młode ręce powierzamy fortunę;
Z czasem ty się usuniesz i ja się usunę,
Odpoczniemy na starość...

S ę d z i a.

Tylko mię przestrasza,
Jak z wojskiem przyjdzie Turek lub Ibrahim basza!

1858. *Wilno.*

WYROK JANA KAZIMIERZA.

DRAMAT HISTORYCZNY

W IV AKTACH.

OSOBY:

JAN KAZIMIERZ, król.
MARYA LUDWIKA, królowa.
STEFAN CZARNIECKI.
KONIECPOLSKI, wojewoda sandomierski.
KANCLERZ KORONNY.
MARSZAŁEK KORONNY.
GNOIŃSKI.
HELENA, jego córka.
PIELGRZYM.
LACKI.
STRZEMIEŃ.
PIERWSZY PAŻ.
DRUGI PAŻ.
PIERWSZY SZLACHCIC.
DRUGI SZLACHCIC.
GOSPODARZ.
GOSPODYNI.
PIERWSZY HALABARDNIK.
DRUGI HALABARDNIK.
SZLACHTA. PANNY DWORSKIE. ŻOŁNIERZE.

(Rzecz dzieje się w pierwszym akcie w obozie; w drugim w gospodzie na pograniczu szlązkim; w trzecim w Głogowie na Szlązku; w czwartym w Gdańsku.)

AKT PIERWSZY.

SCENA PIERWSZA.

Las. — Ciemność. — Na uboczu pień nisko ucięty. — Z prawej strony w hełmie i zbroi wchodzi STRZEMIEŃ.

Strzemień (*do siebie*).

Droga nieznana, nie widać księżycy,
 Nawet jak widzę na deszcz się zanosì.
 Szkaradna puszcza, ciemna jak piwnica,
 Albo jak oczy mojej lubej Zosi!
 Zosia... piwnica... wino i dziewczyna,
 To specyały, jak mówili starzy...
 Ej tam do licha! deszcz kropić poczyna,
 Muszę tu przetrwać całą noc na straży;
 Bo tędy szwedzcy mają iść szpiegowie,
 Nam rozkazano pochwycić ich żwawo.
 Mają mieć listy, z których wódz się dowie,
 Czy ma uderzyć na lewo, czy prawo.
 Niewielka sztuka wziąć za gardło Szweda
 I grzecznie spytać: gdzie idzie? co niesie?
 Jakoś się zrobi,—ale gorsza bieda,
 Że mój towarzysz gdzieś zbłąkał się w lesie.
 On puszczy nie zna, może gdzie i blisko
 Błąka się tutaj przez ciemne zarośle.
 Uderzę w trąbkę, zapalę ognisko,
 To mu w ten sposób znak o sobie poszlę.

(*Dobywa krzesiwo i hubkę.*)

No!... jeśli ognia od razu wykrzeszę,
 To będzie znaczyć, że Zosia jest stałą.

(Krzesze ogień.)

Ha! coś nie pali — bo się nazbyt śpieszę.
 Raz, drugi, trzeci, ot niby zatlało,
 Iskry się sypią, tylko wiatr zawiewa:
 Tu stałość Zosi nie winna nic wcale.
 Ot pójdę lepiej pod konary drzewa
 I tam w zaciszy ognisko rozpalę.

(Wychodzi na chwilę i wraca z rozpaloną drzazgą i w pniu roznieca ogień.)

A co? mówiłem... ot jak jasno bucha!
 Bo Zosia wierność dochowa najściślej.
 Och! to dodaje rycerskiego ducha,
 Jeśli człek wierzy, że ktoś o nim myśli.

(Uderza w trąbkę.)

Powinien słyszeć, echo się rozlega,
 Blask od ogniska szerzyć się poczyna.
 Dobrze to chłopię Krzysztof, mój kolega,
 Tylko że milczy i nie pije wina.
 Mnie niepojęta takowa odraza.
 Ale tam w krzakach słyszę coś szeleści:
 Kto idzie? hasło?

Głos za sceną.

Jan Kazimierz Waza.

Strzemięń.

Wiwat! niech żyje w radości i cześci!

SCENA DRUGA.

STRZEMIENIĘ i LACKI.

Strzemięń.

Czołem waszmości, panie Floryanie!
 Coś mi przepadłeś i z duszą, i z ciałem.

Lacki.

Pan wojewoda nim skończył pisanie,
Czekać przed jego namiotem musiałem.

Strzemię.

Cóż tam w obozie?

Lacki.

Oplakane wieści!

Coraz to sroższe ciosy na Polaków!
Słowa mi w usciech drętwieją z bolesti:
Szwed pod Krakowem.

Strzemię.

Co! zdobył już Kraków?

Lacki.

Zdobył już może: tam słaba załoga,
Wojsko co chwila swoją wierność zmienia,
Król zdawszy Polskę na Opatrzność Boga,
Kędyś na Szlązku szuka ocalenia.
Wszystko w popłochu, w rozterkach, w bezładzie,
Co czynić?

Strzemię.

Zdać się i złożyć oręż.

Lacki (z zapalem).

Hańba! kto dzisiaj miecz do pochew kładzie,
Kto się prawego pana wyprzysięże!
Stójmy z Czarnieckim przy gromadzie bratniej,
Idźmy za wodzem, gdzie jeno wyruszy.
Lejąc krew naszą do kropli ostatniej,
Przynajmniej umrzem spokojni na duszy.

Strzemię.

Umrzeć nie sztuka — ja życia nie ważę,
Byle krew moja na co się przydała.

Lecz trzeba czynić co roztropność każe:
 Ich taka chmara, a nas garstka mała.

L a c k i.

Krew waszmościna na wiele się przyda:
 Wojna ze Szwedem długie potrwa lata,
 Może się staniem kamykiem Dawida,
 Co kiedyś strzaska głowę Goliata!
 Czarniecki zdoła wycelować procę.

S t r z e m i e ń.

Daj Bóg i Amen. Przekonałeś wasze:
 Pójdę z Czarnieckim, Goliatów zgrzmocę!

L a c k i.

Na Rakoczego dziś ostrzym pałasze.

S t r z e m i e ń.

Przeklęty Węgier — licho go tu wnosi.
 Popsuł mi plany, biednaż moja głowa!
 Chciałem się wymknąć do méj pięknej Zosi,
 Aby zobaczyć, czy mi wierność chowa.
 Bo to u niewiast jak z oczu, tak z myśli:
 Trudne kochanie o sto mil z oddala!
 Niechaj w miłości pilnuje się ściślej,
 Kto się wystrychnąć nie chce na rogała.

L a c k i.

Nie czas miłości roić w mężkiej głowie,
 Kiedy o wojnie trzeba myśleć samój,
 Kiedy kraj ginie, gdy wierni synowie
 Nad konającą już matką czuwamy.
 Grzech teraz kwilić żalami pieszczocha,
 Kiedy się sprawie takiej świętej służy.
 Och! i ja kocham, och! i mnie też kocha
 Dziewica piękna jak wonny kwiat róży.

Z duszą szlachetną, w młodości zaraniu,
 Tęskniłem do niej jak dusza do nieba.
 Lecz dziś kazałem zamilknąć kochaniu,
 Na inną miłość serca mi potrzeba.

Strzemień.

A ja to jakoś jedno z drugim godzę:
 I Zosia droga, i ojczyzna droga!
 Służę królowi, tęsknię ku niebodze,
 I dziewczęę scisnę, i pobiję wroga.
 Czytałeś waszmość, jak to się kochali
 Dawni rycerze świętej krucyaty?
 Lecz mnie się zdaje, że mimo oddali
 Dziewczęta były wierniejsze przed laty.
 Bo ja o moją jestem niespokojny,
 Chociaż to niby i słodka, i czuła.

Lacki.

Sroższy niepokój nie wiedzieć wśród wojny,
 Czy ona żyje i kędy się tuła.
 Rodzice mojej serdecznej niebogi
 Żyją w pobliżu puszczy Białowieża;
 Ojciec jój — szlachcic stary i ubogi,
 Wiernym jest sługą Jana Kazimierza.
 Dał swym sąsiadom powód do niechęci;
 Czekali dobrój do odwetu chwili.
 Więc kiedy przyszli szwedzcy adherenci,
 Dwór zrabowali i wieś mu spalili.
 Dokąd się udał — Bóg to wiedzieć raczy!
 Czy gdzie się schronił? czy może w niewoli?
 Dziś pełno w Polsce takowych tułaczy,
 Łacno odgadniesz, że mi serce boli...
 Pomyszę, westchnę, czasem łza nabieży,

Ale się wstydzę tój łezki niewieścięj;
 Bo serce nasze dzisiaj przynależy
 Świętszej miłości i świętszej boleści.
 Dziś tylko jeden... jeden cel przed nami:
 Tam skupiać ducha i ramienia siły.
 Niewolno piersi rozmiękczać żalami,
 Aby swojego hartu nie straciły.

Strzemięń.

Mądrze mówiciel! ale z tamtej strony
 Sunie się stary pielgrzym z siwą brodą.

SCENA TRZECIA.

CIŻ i PIELGRZYM.

Pielgrzym.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Strzemięń.

Na wieki wieków!... Gdzie to bogi wiodą?

Pielgrzym.

Do miejsc cudownych, waleczni rycerze,
 Do Częstochowy, aż do Jasnej Góry!
 Zmówię tam chętnie i za was pacierze,
 Jeśli jałmużną obdarzy mię który.

(Kłania się.)

Strzemięń *(do Lackiego cicho).*

U tego starca twarz jakaś zdradziecka:
 Trzeba go badać, jak ordynans każe.

Pielgrzym (*do siebie*).

Muszę zrozumieć, czy to strona szwedzka,
Czy Czarnieckiego, broń Boże! hussarze?

Strzemień.

Kto waszmość jesteś?

Pielgrzym.

Zowię się Mikoszą.

Strzemień.

A herb waszmoścín?

Pielgrzym (*zakłopotany*).

A mój herb... Kościeszka.

Lacki (*do Strzemienia*).

Nie... Mikoszowie Topór w herbie noszą:

Ja znam ich pieczęć...

Strzemień (*do Lackiego*).

Coś starzec się miesza.

(*Do Pielgrzyma:*)

Z kim waszmość trzymasz?

Pielgrzym.

Jakto?... nie dosłyszę.

Strzemień.

Kogo waśc wolisz, czy króla, czy Szweda?

Pielgrzym.

Ja trzymam z Bogiem, dobrzy towarzysze,

Partya ziemska zbawienia mi nie da.

Strzemień.

Waszmość, jak widzę, i uszy przytuła,

I odpowiedzi otwartéj unika!

Tu trzeba wyznać, czy waśc wolisz króla,

Czy trzymasz stronę Szweda najezdніка?

Pielgrzym (*do siebie*).

To Czarniecczyki.

(*Do Strzemia:*)

A, moi panowie!

Takie pytanie, to czysta obraza:

Ja wciąż się modłę za królewskie zdrowie,

Zatém: niech żyje Jan Kazimierz Waza!

Strzemię i Lacki.

Niech żyje król nasz!

(*Żołnierze zdejmują hełmy, a starzec kapelusz.*)

Strzemię (*wpatrując się bacznie, do Lackiego*).

Głowa za ryza, a broda za siwa,

Czoło bez marszczków, a wzrok jakiś kosy.

Lacki.

Badajmy dalej, wszak zwyczajnie bywa,

Że broda wcześniej siwieje niż włosy.

Strzemię (*do Lackiego*).

Coś jak na starca za prostą ma szyję.

(*Wpatrując się mocniej:*)

Broda przyprawna! trzymaj, bo uciecze!

(*Lacki chwytą za ramiona pielgrzyma, Strzemię odrywa mu białą przyprawną brodę, z pod której wypada list.*)

Strzemię.

A tuś mi ptaszku!

Pielgrzym (*szybko dobywając z pod płaszcza sztylet*).

Puść mię! bo przebiję.

Strzemię (*wyrywając zręcznie sztylet*).

O, nie tak łatwo, pocziwy człowiecze!

(*Podjmuje list z ziemi.*)

Oho! to pismo!... a co? kole w oczy?

Zaraz historya wykryje się cała.

Zobaczmy pieczęć! To pisze Rakoczy
Do Wittenberga, Szwedów generała!
Pismo do wodza, szpieg do nas należy:
Szpiega na gałąź!

(Odpina swój rzemienny pas i ciągnie Pielgrzyma.)

Chodź, duszo pobożna!

Pielgrzym *(wyrywając się).*

Puściecie mię! puściecie!...

Lacki *(do Strzemięcia).*

Wstydz się, panie Jerzy!

Czyż się bez wodza rozporządzać można?

Pielgrzym *(klęka).*

Zabierzcie listy, mnie puściecie łaskawie,

Ja się wykupię, zapłacę z ochotą!

Lacki.

My żołd bierzemy—lecz powszechniej sprawie

Bardzo się przyda Rakoczego złoto.

(Strzemięć uderza w trąbkę; na to hasło wychodzi z za krzaków kilku żołnierzy).

Strzemięć *(wiążąc pasem ręce pielgrzyma).*

Héj towarzysze! weźcie go pod strażę,

Do wojewody prowadźcie Judasza;

A czy go puścić, czy powiesić każe,

W tém jego wola, a nie głowa nasza.

Weźcie te listy, co znaleźli przy nim,

Weźcie do wodza to złoto, co w kiesie.

A my tu naszą powinność uczynim,

Na dalszej warcie zostaniemy w lesie.

Pielgrzym.

Puściecie mię ludzie! puściecie, jam niewinny!

Mnie Rakoczego obietnice zwiodyły.

Strzemię.

Gdybym miał prawo—za mój kraj rodzinny
 Sambym ci ptaszku roztrzaskał łeb podły!
 Lecz naszą zemstę na hetmana zdajem,
 Niechaj postąpi jak mu każe władza.

Lacki.

Boże zastępów! nie mścij się nad krajem,
 Który tak czarne potwory wyradza.

(Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma.)

SCENA CZWARTA.

Zmiana — wewnątrz namiotu Czarnieckiego. — W środku prosty stół, na nim papier i pióro, księga i karta geograficzna. Na ścianie pancierz, hełm i pałasz. CZARNIECKI w żupanie, rysiej delii i kołpaku wchodzi do namiotu.

Czarniecki (do żołnierza, który wszedł za nim).

O świcie pochód niech trąba obwoła!

(Żołnierz odchodzi.)

Już dziś nie legnę, bo mię sen nie bierze.

Nim się Rakoczy opamiętać zdoła,

Wpadnę mu na kark z mojemu harcerze!

Jeszcze wróg jeden—miłosierny Boże!

Gdyby nie wiara jak tęcza przymierza,

Jużbym się zachwiał albo złamał może:

Tyle tu wichrów ze wszech stron uderza!

Tam Szwed, tam Północ, tam Siedmiogrodziany,

Tam Kozaczyzna... tam drzeć od Tatara.

Upadł na duchu król troską znękany,

Kraj spustoszony, a w sercach niewiara.

O ciemna! ciemna tej krainy dola!

(Podchodzi do okna.)

Ha! i noc ciemna... lecz w Panu nadzieja!
 Przyszłe jutrzeńkę, rozwidni te pola,
 Da nam sturęczną siłę Bryareja;
 Sto rąk urośnie:—cudowne są Nieba!
 Ale mieć siłę, to jeszcze nie dosyć:
 By władać siłą, chyba nam potrzeba
 Sto serc szlachetnych w jednej piersi nosić,
 Bo to dzień próby, dzień pokus, dzień chłosty!
 Dębem i miedzią trzeba okuć serce!..
 W rękach hart został—staroświecki—prosty:
 Dusze zmały w krajowej rozterce!
 Rozbudź je Boże!

(Wznosi ręce do nieba.)

SCENA PIĄTA.

CZARNIECKI, STRZEMIEN, LACKI.

(Za nimi żołnierze wprowadzają drżącego Pielgrzyma.)

Strze mi ę n.

Panie wojewodo!

Wedle rozkazu czatując dziś w lesie,
 Wzięliśmy człeka z przyprawioną brodą,
 Który do Szwedów to pisanie niesie.

(Oddaje list.)

Chciał nas przekupić... oto jego złoto.

(Składa trzos na stole.)

Czarniecki *(skwapliwie biorąc list).*

Wittenbergowi...

(Odrywa pieczęć i czyta:)

Swoje plany skore

Skreśla w tym liście Rakoczy niecnota.

Wyborne wieści! przysły w samą porę!

Przyjmcie me dzięki, towarzysze młodzi!
Wódz wam dziękuje i Rzeczpospolita,
A król jegomość wdzięcznie wynagrodzi,
Jak skoro w progi domowe zawita.

Strzemień (*z pokłonem*).

Cóż teraz czynić wasza miłość każe
Z tym oto jeńcem w świątobliwej masce?

Czarniecki (*do Pielgrzyma*).

Polak?

Pielgrzym.

Och Polak!.. w niewinnym zamiarze
Te listy... Panie! polecam się łasce!

Czarniecki.

Na gałąź szpiega.

Pielgrzym.

Ulituj się, panie!

Czarniecki.

To prawa wojny. (*Do siebie:*) Lecz to syn tej ziemi,
Pomiędzy szlachtą może być szemranie,
Żeśmy okrutni... (*Głośno:*) Pogardzam podłemi,
Puścić go wolno!

Strzemień.

Ej, to ptak nielada:

Szkoda go puszczać.

Czarniecki.

Słyszysz, co wódz mówi!

(*Żołnierze odprowadzają Pielgrzyma i odchodzą.*)

Czarniecki (*wychodząc na przód sceny*).

Naród na sercu widocznie upada.

Donieść to wszystko potrzeba królowi;

Niech rychlej wraca — obecność monarsza

Biednym poddanym nada zapal świeży.
 Porzuci Szweda nasza bracia starsza,
 A drobna szlachta w jej ślady pobieży;
 Wspólnemi takty uderzą pałasze.
 Tak... niech król wraca... niech koniecznie wraca.

(Klaszcze w dłonie.)

Mospanie Lacki! zatrzymaj się wasze,
 Czeka waszmości niepoślednia praca.

(Lacki wchodzi.)

S C E N A S Z Ó S T A.

CZARNIECKI, LACKI.

Czarniecki.

Koń wasz i zbroja niech będzie gotowa,
 A ja tymczasem przygotowuję listy.
 Mimo Warszawy, pomimo Krakowa
 Pojedziesz waszmość aż na Szlązk górzysty!
 Przez szwedzkie czaty przemykaj się w ciemnie,
 Wyszukaj króla, co gdzieś w Szlązku gości;
 Oddaj me listy, i złóż mu odemnie
 Hołdy poddańczej mojej powinności.
 Padnij na klęczki, proś, niech się nie mami,
 Niech się nie lęka podstępów i zdrady;
 Niech wraca zapal wskrzeszać między nami,
 Bo tu bez ojca nie damy już rady.
 Spraw mi się pilno, zaufać ci mogę,
 Masz serce prawe a rozum bogaty;
 Powracaj rychło — a oto na drogę
 Masz Rakoczego węgierskie dukaty.

(Z uśmiechem potrząsa trzosem.)

Grosz przeniewierstwa, srebrniki Judasza,
Będą wydane w naszej dobrej sprawie.

L a c k i.

Ważne mi rzeczy zleca miłość wasza,
Aby je spełnić i gardła nadstawię!

C z a r n i e c k i.

Nie... teraz drogie gardło waszmościne,
Ciężko mi Szwedzi odpowiedzą za nie.
Gotuj się w drogę i przyjdź za godzinę,
Znajdziesz gotowe już moje pisanie.

L a c k i.

Przetrwam da Pan Bóg trudności choć mnogie,
I wiernie oddam co mi dadzą w ręce:
I śmierć, i życie zarówno mi drogie,
Kiedy je sprawie królewskiej poświęcę.

(Kłania się i odchodzi.)

SCENA SIÓDMA.

C z a r n i e c k i (sam patrząc za odchodzącym).

Kraje jak ludzie — mają straszne chwile;
Lecz duch ofiary kiedy kwitnie w młodzi,
Jeszcze żywotnej można ufać sile,
Jeszcze o śmierci marzyć się nie godzi.
Póki jednego znajdziesz bohatera,
Póki społeczność bożych natchnień słucha,
Kraj nie umiera — jak człek nie umiera,
Gdy jeszcze czuje choćby iskrę ducha.
Serce omdlewa, głowa się posłania,
Lecz to są tylko Opatrzności próby;

To nie skonanie — to pozór skonania,
To przesilenie wśród ciężkiej choroby.

(Zasiada do pisania.)

(Zastona spada.)

AKT DRUGI.

*Wnętrze obszernej gospody na pograniczu służkiem; drzwi w głębi
prawy i na lewo z obu stron stoły otoczone ławami.*

SCENA PIERWSZA.

GOSPODARZ I GOSPODYNI.

Gospodyni.

Oj czasy, czasy! ot widzisz przed nocą
Gospoda pusta, nikt drzwi nie uchyli.

Gospodarz.

Bo prawdę mówiąc, nie byłoby po co:
Szwedzi nam wszystko zjedli i wypili.
Raczejby Bogu dziękować, niewiasto,
Że nam domowstwo zachowali cało.
Niejedna wioska i niejedno miasto
Krwiań opłynęło, z dymem poleciało!..
Gdyby nie kufel, nie gospoda nasza,
Gdyby nie starość, ale młodość w wiosnie,
To takbym jeszcze przypasał palasza
I pędził Szwedów tam, gdzie pieprz nie rośnie!

Gospodyni.

Ot młodzieniaszek! jego stare graty
Cóżby tam komuś pomogły na wojnie?
A patrzeć kufła, a pilnować chaty,

A miodek gościom rozlewać spokojnie!
 A liczyć, kręcić i kredką i główką,
 Wdzięcznie przyjmować, kogo Pan Bóg zdarza!
 To twoja sprawa.

G o s p o d a r z (*śmiejąc się*).

A zaraz z wymówką!

W pustej gospodzie nietrza gospodarza.

G o s p o d y n i (*z szyderstwem*).

W pustej gospodzie?... Ani wie co w domu,
 A chce wojować! Patrzenie, jaki śmiałek!
 Toż ja przed Szwedą schowałam kryjomu
 Dwie beczki miodu i wina antałek:
 A on tu jeszcze o pustkach mi gada!
 Miałabym głowę nie wiedzieć już na co.
 Zapas niewielki, lecz na to jest rada:
 Za każdą szklankę podwójnie zapłacać;
 Teraz drożyzna!... Tylko pijcie zdrowi
 I płacicie dobrze, a ja wam dostarczę...

SCENA DRUGA.

C I Ż i **PIELGRZYM**, *jak w pierwszym akcie.*

P i e l g r z y m.

Pokój niech będzie waszemu domowi!

G o s p o d y n i.

Pokój waszmości, bogobojny starcze!

G o s p o d a r z.

Zkąd Bóg prowadzi?...

P i e l g r z y m.

Z daleka, z daleka!

Och! bolą nogi, niech trochę wypocznę.

(Usiada.)

Opieka Pańska! *(Zdejmuje sakwy.)* Tak, Pańska opieka
Miała nademną staranie widoczne.

Powracam z Rzymu, przez Wiedeń, przez Kraków,
Bo święte miejsca odwiedzać człek musi.

Bywałem w ręku i szwedzkich żołdaków,

Bywałem w ręku i polskich rabusi.

Wszędzie dręczony, badany, pytany,

Checieli zrabować, rozsiekać na ćwierci.

Nic nie znaleźli. Bodaj to łachmany!

Zawsze człowieka wykręcą od śmierci.

A świat ten marny, toć do złota wzdycha,

Szatańskiem jabłkiem skusiła go Ewa.

Cóż z tego poszło?— grzech, kłamstwo i pycha,

Potém obżarstwo... Jeść mi się zachciewa:

Szedłem dzień cały, a w moim już wieku

Idę niesporo... Ot, nic siły niema!

Zamieram w drodze... Miłosierny człeku!

Daj tam puharek miodu dla pielgrzyma.

Gospodarz.

Z całego serca... i sam się napiję.

Gospodyni.

Może co zjecie?

Pielgrzym.

Daj Boże wam zdrowie!

(Gospodyni odchodzi.)

Za waszą łaską choć trochę odżyję.

(Bierze podany puhar i kosztuje.)

Miodek rzeźwiący!

Gospodarz.

Więc byłeś w Krakowie?

Pielgrzym.

Trzy dni tój łaski człek grzeszny doznawał;
Wszystkie kościoły obszedłem ze świecą.

Gospodyni (*wracając*).

A może łaska na kapłona kawał?

Pielgrzym.

Zęby mam słabe... pokosztuję nieco.

(*Zajada i pije.*)

Gospodarz.

A więc nasz Kraków zawsze w ręku Szweda?

Pielgrzym.

Zawsze łaskawcoł ustąpił przed siłą,
Król szwedzki nigdy zwyciężyć się nie da.
Czarnecki zemknął, bo rady nie było.

Gospodarz.

Myśmy słyszeli, lecz wcale inaczej;
Wszak do zmykania Czarnecki nieskory:
Wyszedł jak rycerz, z honorami raczej
I z bronią w ręku.

Pielgrzym.

Liche tam honory!

Wyszlić tam wprawdzie z chorągwią, z armatą,
Przy biciu bębnow, we trzy regimenty;
Lecz w kilka czasów pod Siewierzem za to
Wszystkich Polaków rozbito na szczęty!
Jedna uciekła, a druga połowa
Przysięgła wierność szwedzkiemu królowi.
Czarnecki uciekł, Bóg wie gdzie się chowa:
Król szwedzki szuka i pewnie go złowi,
Wtrąci w więzienie i wszystkich pozyska,

I królem naszym już zawsze zostanie.
 A Szwedy jego to dobre ludziska,
 Dajże im Boże długie panowanie!
 Ot teraz, słyszę, biorą Częstochowę,
 W czém jak najlepiej pomagaj im Boże!
 Ja pielgrzym starą kłopotalem głowę,
 Że tam na odpust człowiek pójść nie może.
 Kościół w fortecy, — zamknięto fortecę,
 Księża się bronią: — im słuchać spowiedzi,
 Nie zaś do wojny brać się tak dalece,
 Bo co to Szwedzi!

Gospodarz (*z niechęcią*).

Smakują wam Szwedzi!

Pielgrzym.

Pod kim mi lepiej, to ja tego wolę.
 Ja stary pielgrzym, dla mnie wszędzie ścieżka.
 Ojczyzna moja nie na tym padole,
 A Król Najwyższy nie na ziemi mieszka!

(*Dopija resztę miodu.*)

Gospodyni.

Pobożny człowiek...

Pielgrzym.

Ale ja tu gwarzę,
 A wieczór ściemniał i w drogę mi pora.
 Bywajcie zdrowi, zacni gospodarze!

Gospodyni.

Chciejcie odpocząć, oto jest komora.

(*Ukazuje na lewo.*)

Pielgrzym.

Ha, jak się wzmocnię, zawędruję dalej,

Trochę się zdrzemać może i należy.
 Ale nad rankiem... wy będziecie spali,
 Gdy stary pielgrzym z milę już ubieży.
 Jam ranny ptaszek: póki nie wyświta,
 To czas chłodnawy, najlepszy do drogi!
 Bywajcie zdrowi!...

(Odchodzi do komory na lewo, którą mu wskazuje gospodyni; za chwilę wraca.)

A jak kto zapyta,
 Czy nie przechodził tędy dziad ubogi,
 To nic nie mówcie. Teraz takie czasy,
 Że muszą truchleć nawet włóczykije.
 Dopytywania, badania, hałasy,
 To mię z pobożnych rozmyślań wybije.
 Najlepiej milczkiem i chyłkiem na świecie,
 W pokorze ducha bądź ślepy i niemy.
 Więc dobrzy ludzie, wy nic nie powiecie,
 Że ja tu byłem?

G o s p o d a r z.

O, nic nie powiemy.

P i e l g r z y m.

Dobrej wam nocy! niech Pańska opieka,
 Niechaj was strzegą niebiescy anieli!

S C E N A T R Z E C I A.

CIŻ, prócz GOŚCIA.

G o s p o d a r z *(do siebie).*

Ja nie pojmuję nic tego człowieka:
 Czyżby już Szwedzi zagarnąć nas mieli?...

Gospodyni (*do męża*).

A ja mówiłam, że daremna praca
Chcieć wskrzeszać dawną potęgę koronną!
Dziś inne czasy... Ale ktoś kołace.

Gospodarz (*patrząc w okno*).

Dwie jakieś bryki i trzech szlachty konno.

(*Zawsze patrząc w okno, do siebie:*)

Chmurno, i ciemno, i deszczyk na dworze,
A tam z daleka jutrznia promienieje.

Głos za sceną.

Prosim otworzyć...

Gospodarz.

W ten moment otworzę.

(*Do siebie:*)

Szwedzi, to ciemność — jutrznia, to nadzieja!

(*Wychodzi naprzeciw gości.*)

SCENA CZWARTA.

GNOIŃSKI — HELENA, córka Gnoińskiego — KILKU
SZLACHTY, — GOSPODARZ i GOSPODYNI.

Gnoiński (*do gospodarza*).

Zacny człowieku! dacież nam komorę,
Kędy odpocząć?

Gospodarz.

O wielmożny panie!

Gospoda pusta; w tę nieszczęsną porę
Każdemu z gości znajdzie się posłanie.

Gnoiński (*z uśmiechem*).

Dla nas posłanie!... zdrzymiem się przy stole,
Nawet pałaszów nie zrzucim od boku;
Byleby miejsce dla wozów w stodole,
Byleby koniom siana i obroku,
Bo się zmęczyły...

(*Do jednego ze szlachty:*)

Panie Kalasanty!

Waś do tych rzeczy bierzesz się najteżej!
Wozy w stodolę niech wtoczą drabanty,
Konie do żłobów; nie zrzucac uprzęży.

(*Do szlachty:*)

A jak łaskawie daliście mi władzę
Być gospodarzem w podróznym taborze,
To rozsiodływać koni wam nie radzę.
W nocy przygoda przytrafić się może.
Kolejno wartę trzymać przed gospodą,
A wypocząwszy wyruszyć o świcie.

(*Szlachta odchodzi.*)

Gospodyni (*do Gnoińskiego*).

Dla czego, panie, tę dziewicę młodą
W ten czas wojenny ze sobą wozicie?

Gnoiński.

Ha! moja pani, konieczność przywiodła,
Musim choć na czas rzucić kraj rodzimy.
Dom mi spaliła zgraja Szwedów podła,
Z ostatkiem mienia na Szlązk uchodzimy.
Kilku mi szlachty towarzyszy w drodze,
By bronić głowy niewiasty i starca!
Spokojny uchron znalazłszy niebodze,
Do wojennego powracamy harca.

Wszystko mi jedno... jesteśmy gotowi
 Choć w obóz wroga wrąbać się do środka
 Bom tak ślubował memu patronowi:
 Wszędzie bić Szweda, kędy się napotka.
 Pobłogosławi Pan Bóg naszą czynność,
 Czy nakieruje losy ku odmianie,
 Wtém Jego wola,—a nasza powinność
 Służyć królowi, póki sił nam stanie.

G o s p o d a r z (do siebie).

Padłbym na klęczki, to jakiś zuch stary,
 Co po bożemu trzyma stronę Wazy.

G o s p o d y n i (do siebie).

Czysty szaleniec! — jeszcze ma zamiary
 Oprzeć się sile większej o sto razy!

(Do Gnoińskiego:)

A może Wasza Dostojność pozwoli
 Wypić za zdrowie Jana Kazimierza?
 Jest stary węgrzyn, głowa nie zaboli,
 Potem podróżna znajdzie się wiecezra.
 Wprawdzie drożyzna... wielka tu drożyzna:
 W trzy razy płacą mięso, wino, zboże;
 Lecz pan wielmożny i sam pewnie przyzna,
 Że być po Szwedach inaczej nie może.
 Jedli tu, pili bez końca, bez miary,
 I zostawili długi niepłacone.
 Biorę za kurczę po cztery talary,
 Lecz za to kurczę! i bażant na stronę.

G o s p o d a r z (współ głośno do żony).

Lecz ten pan trzyma z Janem Kazimierzem,
 Warto ustąpić.

Gospodyni (*cicho do męża*).

Poszedłbyś do czarta!

(*Głośno do Gnoińskiego*.)

To co inszego!.. My od takich bierzem
Po swojej cenie: za kurczę pół-czwarta.

Gnoiński.

Dziękuję wasciom! jeść i pić nie będę,
Bom się straszliwie umęczył w podróży.
Szlachcie, by miała czém skrzepiać gawędę,
Chciejcie postawić miodu gąsior duży.

Gospodarz.

Wedle rozkazu wnet wszystko się stanie.

(*Odchodzi.*)

Gospodyni.

Ugościm szlachtę, czém chata bogata!

(*Odchodzi.*)

SCENA PIĄTA.

GNOIŃSKI, HELENA.

Helena.

Coś mi tu straszno... Niewypowiedzianie
Smutném przecuciem serce me kołata.
Jedźmy ztąd prędko, bo za chwilę może
Będzie już późno.

Gnoiński.

Trwożliwe ty dziecię!

Konie zmęczone, ulewa na dworze;
Mamy tu z sobą garstkę szlachty przecię;
Nie ufać mężtwu albo ich przyjaźni,
Byłoby grzechem—tak wiernie nam służą.

Porzuć te widma chorąg wyobraźni,
 Spoczniej, boś nocną znużona podróżą.
 Wszak my nad tobą niedarmo czuwamy,
 I włos z głowy nikt ci tu nie zdejmie.

G o s p o d a r z (*wchodząc z pułkami miodu*)

Oto ktoś znowu kołata do bramy.

G ł o s z a s c e n ą.

Otwórzcie waszmość!

G o s p o d a r z (*otwierając drzwi*).

Prosimy uprzejmie.

S C E N A S Z Ó S T A.

C I Ż, *wchodzi LACKI w burce i zbroi.*

L a c k i (*z pośpiechem do gospodarza*).

Konia do żłobu, nie zrzucać mu trzęzli,
 Niech się wysapie, i znów dalej lece!
 Byli tu Szwedzi?

G o s p o d a r z.

Gdzieś pono ugrzęzli,
 Na Jasnej Górze chcą zdobyć fortecę.
 Taka przynajmniej pogłoska się szerzy,
 A tu już panie cztery dni nie byli.

L a c k i (*zrzuca burkę—postrzega Gnoińskiego i rzuca się w jego objęcia*).

O zacny panie!

G n o i ń s k i.

O kochany Jerzy!
 Gdzież to spotkanie i w jakowej chwili!

(*Ściskają się.*)

Gnoiński (do Lackiego).

Czyś zdrów? co słyhać? gdzie lecisz jak strzała?!

(Do córki:)

A co! czy widzisz głowo chorowita!

Czy ci w przeczuciu dusza powiedziała,
Że narzeczony wkrótce cię powita?

Helena (podbiega z radością do Jerzego).

Ach, to pan Jerzy!

Lacki.

To ja, to ja, pani!

Takiego szczęścia nie wróżyłem za nic!

Gnoiński.

A my spaleni, my z domu wygnani,
Musim do obcych przemykać się granic!
Siadajże Jerzy!... pot płynie ci z czoła,
Musiałeś lecieć... spadłeś nam jak z nieba.

Lacki.

O chciałbym jeszcze mieć skrzydła sokoła,
By prędzęj stanąć tam, gdzie mi potrzeba.

Gnoiński.

Zkąd Bóg prowadzi? w jaką lecisz stronę?

Lacki.

Od Czarnieckiego w naglącej potrzebie
Lecę do króla.

Gnoiński.

Czy wszystko stracone?

Lacki.

Jeszcze nie wszystko: jest Pan Bóg na niebie,
Jest wódz Czarniecki, jest w piersiach otucha;
Ale zaprawdę chwila rozpaczliwa!

Wódz pragnąc wskrzesić upadłego ducha,
Króla co prędzej do kraju przyzywa.

G n o i ń s k i.

Was, jak slyszalem, zbito pod Siewierzem?

L a c k i.

Nie tak pobili, jak podeszli zdradą.
Ubezpieczeni krakowskiem przymierzem,
Stalismy w polu bezbronną gromadą.
Wódz nasz dotrzymał, Szwed złamał swe słowo
Uderzył w nocy w obozowe pole.
Szlachta do bitwy nie była gotową.
Jednych rozproszył, drugich wziął w niewolę.
Wódz zdołał umknąć, ja z drugim kolegą,
Z panem Strzemieniem—co na to mówicie?—
My osłonili piersią Czarnieckiego!

(Z zapalenem.)

Ja ocalilem Czarnieckiemu życie!
Teraz się hufce zbierają powoli,
I obrót rzeczy już biorą szczęśliwszy.

G n o i ń s k i (ściskając go z rozrzewnieniem).

Zazdroszczę chłopcze! zazdroszczę twój doli:
Kraj ocaliłeś, jego ocaliwszy!
Chlubię się tobą, że będziesz mym zięciem,
Lecz do téj chluby mieszam łzę rozpaczey.
Syn mój rodzony umknął mi dziecięciem,
Na Ukrainie kędys hajdamaczy.
Pohańbił ród mój i zakrwawił serce,
Wpuścił tam węża, co się zabić nie da.
Już go widziano pomiędzy mordercey,
A teraz, słyszę, miał przystać do Szweda,
I jako Judasz za garść szwedzkich groszy

Na głowę matki naprowadza katy.
 Dwory i wioski współziomków pustoszy,
 Z łupów zbójeckich chce zostać bogaty!
 O! nie uwierzysz, jak serce się ścisza,
 Jakim ja wstydem między ludźmi płonę!
 Chcę strzaskać herb mój, wyprzeć się nazwiska!
 Bo te skalane, bo te już spodlone.

L a c k i (biorąc go za jedną rękę).

Czcigodny paniel! nie wąpij o cudzie:
 Wróci do trzody owieczka zbłąkana.

H e l e n a (biorąc go za drugą rękę).

Hamuj się ojczy, idą obcy ludzie.
 O nawrócenie módlmy się do Pana!

SCENA SIÓDMA.

C I Ź i SZLACHTA (powraca).

G n o i ń s k i (do szlachty).

Mości panowie! bracia miłościwi,
 Mego przyszłego zięcia wam przedstawię:
 Pan Jerzy Lacki!

S z l a c h t a (z ukłonem).

Jesteśmy szczęśliwi.

J e d e n z e S z l a c h t y.

Znane to imię w terażniejszej sprawie.

D r u g i z e S z l a c h t y (występując naprzód z uroczystą przesadą).

I dobrze znane!... bo mądra Pallada,
 Którą Minerwę przewali Rzymianie,
 Wieniec laurowy na skroń jego wkłada,

Już przewiduje, czém później zostanie.
 Choć z wieku dziecko, z umysłu był stary,
 Smakował w księgach jak inszy w zabawce,
 Kiedy w Krakowie u świętej Barbary
 U Jezuitów siedział w pierwszej ławce.
 Skoligacony z najpierwszemi domy,
 Na górę Parnas wdzierał się tém śmielój!
 Bo czuł spadkowej mądrości ogromy,
 Jedne po mieczu, drugie po kądzieli.
 Matka z zacnego rodu Śrzeniawitów...

Gnoiński (*uderzając go przyjaźnie po ramieniu*).

Mój Kalasanty! coś za długi wątek.
 Daj temu pokój...

Szlachcic.

Ale tych zaszczytów
 Jeszcze nie koniec, to tylko początek.
 O święta wiaro w zacne antenaty!
 Na młodem sercu czegoż ty nie zdziałaasz?
 Jako Rzymianin biorąc męzkie szaty,
 Gdy szkolne pióro zamienił na pałasz,
 Rzekłbyś spojrzawszy: to Mars, nie literat,
 To młody Herkul w dzielności potędze;
Et robur et aes circa pectus erat,
 Jak o tém pisze Horacy w swój księdze.
 Herkul! bo Hydre już schwycił za szyję,
 I śmiercionośną maczugą już kręci;
 Herkul nemejskie, on szwedzkie lwy bije
 (Bo państwo szwedzkie nosi lwa w pieczęci).
 Zwalczysz, młodzieńcze! zwalczysz te giganty!
 Łupem lwięj skóry okryjesz twe łono!
 A teraz przejdźmy...

(*Uroczyście wznosi rękę.*)

Gnoiński (*biorąc go za rękę*).

Panie Kalasanty!

Przejdźmy do stołu, gdzie miód zastawiono.

Szlachcic (*z ukłonem do Lackiego*).

Głosiłbym dalej, ale nie mam czasu
Brnąć w miodo-płynną wymowę powodzi;
Wody hyblejskiej, z Kastalu, z Parnasu,
Sarmackim miodkiem zapieć nie zaszkodzi.

(*Bierze puhar miodu, kosztuje i mówi:*)

Wyborny napój!... O nam się nie godzi
Hyblejskich pszczołek zazdrościć wam Greki.
U nas miód warzył Piast król i kołodziej,
I pieć go kazał na potomne wieki!

(*Szlachta się śmieje.*)

Szlachcic pierwszy (*z puhaem*).

Czytajcie waszmość o piwie i winie,
Niech nasz Klonowicz, niech Acernus powie:
Wino rzecz ludzka, wino z ziemi płynie,
Miodek z powietrza stworzyli bogowie.

Drugi ze Szlachty (*ze szklanicą piwa*).

Ja wolę piwo...

Szlachcic Pierwszy.

Polak zasiał pole,
Polskim jęczmieniem zarodziła niwa:
Polak go pozał, zwiózł, zmlócił w stodole,
Wtém przyszedł Niemiec i nawarzył piwa!

(*Śmiech ogólny.*)

Drugi Szlachcic.

Oj warzy Niemiec... ale krotchwile
Pan Kalasanty jeszcze lepiej warzy.

Gnoiński.

Panowie bracia! poucztujcie chwilę,
A ja postoję przy koniach na straży;
Potém mię z warty zluzuje kto łaska.

Szlachcic Pierwszy.

O! już na dzisiaj nie doznawaj biędy!
I nasze konie, i wasza kolaska
Jakby za murem u Semiramidy.
O murach Troi pisze Iliada,
Stajnia tu krzepka jak trojańskie wały.

Gnoiński.

A przecięż fortel i przewrotna zdrada
I w mury Troi dostać się zdołały.

(*Odchodzi.*)

SCENA ÓSMA.

Szlachta na stronie w milczeniu zapija. Na przodzie sceny LACKI i HELENA.

Helena (podając rękę Lackiemu).

Jak senna marzę i sobie nie wierzę,
Czyś panie Jerzy żywy, czy umarły?

Lacki.

Cztery miesiące!... wyznajcie mi szczerze,
Czy mię z waszego serca nie wydarły?

Helena.

Krzywdzisz mię waszmość: czyż polska dziewczica
Raz przyrzeczonej wiary nie dochowa?
A moje dla was kochanie podsycą
O waszych czynach wiadomość wciąż nowa.

Ja was jednego wybrałam na świecie,
 Bo tutaj bez was któż mię uszczęśliwi?
 Wy... powątpiewać dziś jeszcze możecie?
 Nie, panie Jerzy, wy niesprawiedliwi...

Lacki.

Miałbym nie wierzyć twój szlachetnej duszy!
 Och! gdyby wojna skończyła się skoro...

(Cicha rozmowa.)

Szlachcic pierwszy *(do innych)*.

Kiedy król szwedzki za morze wyruszy,
 Ja przepowiadam, oni się pobiorą.
 Ja wiem co mówię: przy pomocy bożkiej
 Jestem astrolog i prorok nielada!

Szlachcic drugi.

Co z kalendarza, stanąwszy wśród wioski,
 Zaćmienie słońca chłopom przepowiada.

Szlachcic pierwszy.

Córkę Tarpeja strącono w przepaści,
 Z tego wynika...

Szlachcic drugi.

Rzuć twych słów brylanty!
 Nikt nie zarzuci, że erudyt z waści.
 W ręce waszmości, panie Kalasanty!

(Piją.)

Szlachcic Drugi.

Lecz idzie o to, czy pić wodę czystą,
 Kiedy zawita wielki dzień wesela?

Szlachcic Pierwszy.

Ja trzymam z królem, z prorokiem, psalmistą,
 Że wino serce ludzkie rozwesela!

Miodek rzecz dobra! — i ja miodek lubię;
 W piwku bożego nie pogardzam daru;
 Wszystko uchodzi — no! ale przy ślubie
 Szlachetniejszego chcę zażyć nektaru.

(*Piją.*)

L a c k i (*do Heleny*).

Ja przy Czarnieckim odbywszy walk tyle,
 Lepiej niż inny kraj widziałem w grobie.
 Czy wierzysz, luba! iż bywały chwile,
 Żem nawet zdołał zapomnieć o tobie?
 Nieraz, jak innym, przyszła myśl wątpliwa,
 Lecz na me serce nie upadła skaza;
 Bo sprawa święta, chociaż rozpaczliwa,
 A wódz nasz wielki, wykowan z żelaza!

H e l e n a.

Jerzy mój! Jerzy! nie gniewam się zgoła,
 Żeś mię pochował w swoim sercu na dnie;
 Lecz czy ty wierzysz, gdy cię trąba woła,
 Że walczysz w sprawie, która nie upadnie?

L a c k i.

O nie, Heleno! ni Szwed, ni Rakoczy,
 Kędy stanęli, nie mogą pójść dalej!
 Barwianém szkiełkiem zaświecili w oczy,
 A im się zdaje, że wszystko działałi.
 Że przyjął złoto jakiś przeniewierca,
 Że dał się skusić prostak bezrozumny,
 Już oni sądzą, że z naszego serca
 Fałszywym bogom postawią kolumny!
 O jacy mali!... jacy oni mali,
 Że śpią spokojnie pod tak lichą strażą!..
 Są jeszcze prawa, które podeptali,

Jest jeszcze kościół, który lekceważą.
 Im się wydaje w chwilowym obłądzie,
 Gdy rzesza do nich tłoczy się ciekawa,
 Że szlachta nasza obojętna będzie
 O święty kościół i o święte prawa.
 Ha! ale u nas silne jest uczucie,
 Ślepi przejrzawszy postawią się śmieie:
 Nie dadzą słówka wyrzucić w statucie,
 Ani cegielki wyrzucić w kościele.
 Na tych podstawach stojąc niezachwianie,
 Czyżbyśmy dbali na zbójcekie noże?
 Bóg kształty krajów zakreślił na planie,
 Bóg tylko jeden przekształcić je może!

Helena.

Dzięki ci, Jerzy! wlewasz wiarę nową,
 Że znów odetchniem z Janem Kazimierzem.
 Boże! nad męźnych bojującą głową
 Modlitwa moja niech będzie puklerzem!

Lacki.

Kto idzie walczyć, spodziewać się może,
 Że nie przyniesie głowy z bojowiska;
 Lecz czuję w sercu jakieś tętno boże,
 Jakiś mi promień przed oczami błyska.
 Od Bałtyckiego do Czarnego morza
 Pogodny błękit spostrzegam nad krajem;
 I widzę ołtarz, u jego podnoża
 Słyszę, jak wiarę i miłość wyznajem;
 I pod lipami mojej cichej wioski
 Oglądam ciebie w uroczej postaci;
 Widzę przed sobą najwyższy dar bozki,
 Szczęście domowe wśród szczęścia współbraci.

H e l e n a.

Żołnierz... a jednak przed twemi oczyma
Snuje się obraz spokojności samój.

L a c k i.

Przebac, żołnierzy w naszém wojsku niéma,
Tylko obrońcy tego, co kochamy.
Niejeden naród męztwa nam zazdrości!
Cóż nasze męztwo? — to wiara z nadzieją!
Cóż nasze piersi? — u źródła miłości
Niezwyciężonym hartem kamienieją.
Gdyśmy w pancerzu, gdy z bardyszem w dłoni,
Wśród ryku armat, wśród morderczej chwili,
Marzym, jak na wsi dzwon kościelny dzwoni,
Na naszej strzesze jak jaskółka kwili,
Jak buja żyto, jak się łąka kwieci,
Jak tam zbierają kwiaty niemowlęta.
Wspomnisz ten kościół, tę strzechę, te dzieci,
To za nich walczysz, i ofiara święta
Bardziej a bardziej odwagę podsyca,
Lwem czyni człeka w stanowczej godzinie.
Oto naszego męztwa tajemnica!
Ona zaginie — i męztwo zaginie.

H e l e n a.

O! ja pojmuję tę miłość rycerzy,
Co cuda męztwa rozpala w ich łonie;
Lecz wiele wody, łez i krwi ubieży,
Nim nasza ślubna gromnica zapłonie.
Niejedną wojną wre Rzeczpospolita,
Na długo twoją opuścisz niebogę...
Jerzy! Bóg z nami!

(*Podaje mu rękę.*)

SCENA DZIEWIĄTA.

CIŻ, PIELGRZYM (*wychodzi z lewej strony przecierając oczy*).
(*Po chwili Gnoiński ukazuje się we drzwiach.*)

Pielgrzym.

Co widzę! już świta.
Zaspałem nieco, wielki czas do drogi.
Gdzieś moje sakwy zostały na ławie.

(*Idzie ku stronie pijącej szlachty, za nim Lacki.*)

(*Do szlachty:*)

Tu moje sakwy, tu mój kij sękaty.

(*Do Lackiego:*)

Czego tak waszmość poglądasz ciekawie?

Lacki.

Znamy cię, ptaszku, nie z dzisiejszej daty!

(*Chwyta go za ramiona.*)

(*Do szlachty:*)

Mości panowie! kto z Czarnieckim trzyma,
Niech tego starca ująć mi pomoże.
To jest szpieg szwedzki...

Szlachta.

Chwytajcie pielgrzyma!

Pielgrzym.

To chyba na was zaślepienie boże!
Kto mi dowiedzie?

Lacki.

Ja sam ci dowiodę,
Ja sam odkryję twe bezecne plany,
Niezręczny szpiegu! Przyprawiles brodę,
Z którą niedawno byles przydybany.
Czy mię pamiętasz?

Pielgrzym (*krzyczy*).

Brońcie, gospodarze!

Tu gwałt się dzieje na me stare lata!

(*Jeden ze szlachty odrywa mu brodę.*)

Szlachta (*wydobywa szablę*).

Ńo szpieg!!

Helena (*wpatrując się w pielgrzymą, z rozpaczą*).

To brat mój!...

Pierwszy ze Szlachty.

Powinność nam każę

Dziś nie oszczędzać ni swata, ni brata.

SCENA DZIESIĄTA.

CIŻ i GNOIŃSKI.

Gnoiński (*wpada z dobytym sztyłem*).

A nawet syna... Bo kto przeniwierca,
Temu sam nawet Pan Bóg nie przebacza!
Tyś serca nie miał, nie mam dla cię serca:
Z ojca własnego zrobiłeś siepacza!

(*Przebija pielgrzymą. Pielgrzym pada.*)

Gnoiński.

Giń, zdrajco!..

(*Po chwili bolesnego wahania się uklęka.*)

Synu!.. przebacz mi i wskrześnij!

Cożem uczynił w uniesienia chwili?

Pierwszy ze Szlachty.

Rzymianinowi wszak było bolesniej,
Gdy przebił córkę, by jój nie zhańbili;
A on się zhañbił...

Gnoiński (*nieprzytomny*).

Widzisz, panie Jerzy!

Hańba!.. szpieg... syn mój... upada nieżywy;
Ojciec go zabił!..

Helena.

Ach! kto w Boga wierzy,

Ratujcie ojca!..

Lacki.

O ja nieszczęśliwy!

Królu! Czarniecki!.. toż moja zapłata,
Za waszą sprawę żem nadstawiał szyję!
Patrzcie, com zdziałał!

Helena (*z rozpaczliwym wyrzutem*).

Tys zabójcą brata!

(*Kłęka przy trupie.*)

Gnoiński (*w obłąkaniu*).

Patrz panie Jerzy, czy mu puls nie bije?

(*Usiada obłąkany.*)

Gospodarz (*wchodząc do Jerzego*).

Wasz koń już gotów!.. Co! trup tu się tarza?

Lacki.

Głos obowiązku!.. O leczę już, leczę!

(*Rzuca gospodarzowi kiesę ze złotem.*)

Trupa ze szlachtą nieście do cmentarza,
A tych nieszczęsnych miejcie w swój opiece.
Muszę biedz... listy doręczyć królowi,
A potem... potem... pożegnać świat marny...
Przyjdę zobaczyć, czy żywi, czy zdrowi,

(*Z rozpaczą.*)

I strzaskać głowę o kamień cmentarny.

(*Wybiega. Szlachta krząta się około pielgrzymy, Gnoińskiego i Heleny.*)

(*Zasłona spada.*)

A K T T R Z E C I.

Mieszkanie królowej w Głogowie na Szlązku; komnata królowej—stół zawalony papierami. Jeden Paź krząta się i ustawia sprzęty, drugi Paź wchodzi i mówi.

SCENA PIERWSZA.

P i e r w s z y P a ź.

Królowa jejmość pewnie nieubrana,
Albo spoczywa po wczorajszej pracy.

D r u g i P a ź.

O gdzie tam! pisze od samego rana,
Spocząc jój nigdy nie dadzą Polacy.
Dziwnaż to Polska! rady sobie nie da,
Choć ma rycerstwo, i konie, i bronie.
Gdyby tak na mnie, przepędziłbym Szweda
Jednym zamachem.

P i e r w s z y P a ź.

Milczałbyś Gaskonie!

Być Lubomirskim lub dzielnym Czarnieckim,
Być Koniecpolskim nie tak łatwa sztuka!
Im trudno idzie z najezdnikiem szwedzkim;
Mędrsza ich głowa niż twoja peruka.
Czyś kiedy słyszał, by sama królowa
Bez uwielbienia wspomniała tych ludzi?
Lub rzekła jakie pogardliwe słowa
O naszej Polsce?

D r u g i P a ź.

Ta Polska mię nudzi!

U nas w Paryżu, na królewskim dworze,

Jest blask przynajmniej, jest monarsza świta,
 Człowiek z płcią piękną zabawić się może,
 Może potańczyć, naśmiać się do syta.
 A tutaj pusto, grobowo, bezładnie,
 Rój starych zrzędów królową otoczy,
 Jedno a jedno do uszu jój kładnie:
 A Szwed, a Tatar, a jakiś Rakoczy!
 Jak się im takie gadanie nie sprzykrzy?
 Choćby dla zmiany pośmieli się trochę.
 Dziki to naród.

Pierwszy Paź.

Ty sam jeszcze dzikszyszy,
 Żeć teraz w głowie pustowanie płochy,
 Gdy senatorów, bohaterów głowy
 Pełnią przy pani obowiązek święty.
 Tobie się przykrzą ich ważne rozmowy:
 To idź, Francuzie, chychotać z dziewczęty!

Drugi Paź.

Dziewczęta wasze jak odlane z lodu;
 Ja, com w Paryżu dokazywał cuda,
 Tu żal się Boże marnego zachodu,
 Nawet rozśmieszyć żadnej się nie uda.
 Królowa jejmość te nudne szlachcianki
 Kocha i pieści więcej niżli warto.

Pierwszy Paź.

Bo to rycerzów córki i kochanki,
 Lub tych, co z domu własnego wyparto.
 A że królowej matczyną opieką
 Dała przytułek nieszczęsnej dziecinie,
 Za to ją wdzięczność od narodu czeka,
 Błogosławieństwa niejedna łza spłynie.

D r u g i P a ź.

Łzy a łzy wieczne.., jakże one szpecą!
 Tu pięknych dziewcząt jest orszak niemaly,
 Moznaby oczka rozweselić nieco,
 A te od płaczu aż ponabrzmiwały.
 Ot téj na przykład, Gnoińskiej Helenie,
 Co ją niedawno przywieźli do dworu,
 Niczego nie brak — postać i spojrzenie,
 Mógłby ją malarz rysować dla wzoru;
 Ale cóż z tego?... ustawnie łzy leje,
 Ustawnie wzdycha, nie wiadomo po co.

P i e r w s z y P a ź.

A czy slyszales bolesne jój dzieje?
 A czy wiesz dobrze jój dolę sierocą?
 Pieszczone dziecię bogatego człeka
 Żyło jak ptaszę w rodzicielskim domu;
 Wtém brat jój starszy do Szwedów ucieka,
 Bo z Radziejowskim związał się kryjomu.
 Ojciec go przeklął. Już biedna dziewczyna
 Poczęła boleć boleścią rodzinną;
 Biedne jój serce już cierpieć poczyna,
 Co cienia troski znaćby nie powinno.
 Lecz Bóg zna serce, ile cierpień zmieści,
 I od rozpaczy nieszczęsną ochrania:
 Gorzkie uczucia domowój boleści
 Osłodził miłém uczuciem kochania.
 Pan Jerzy Lacki, rycerz zawołany,
 Zdobył jój serce... Kochała dziewczyna,
 Ojciec chcąc zgoić swego serca rany,
 Chciał nim zastąpić straconego syna.
 Po zaręczynach dzień ślubu wybrano.

Wtém weszli Szwedzi na zgubę téj ziemi;
 Wszystkie rycerstwo na koń powołano:
 Lacki na boje poleciał z drugiem.
 Próžno nieboga i tęskni, i kwili...
 Ale te czasy nieszczęśliwe znacie:
 Któraż niewiasta nie płacze w téj chwili
 Po ojcu, mężu, kochanku lub bracie?
 Lecz sroższym ciosem niebo ją nawiedzi,
 Jakby skazawszy na ciągłe ofiary.
 Dom jój rodzinny zrabowali Szwedzi,
 Wioskę spalili, tak, że ojciec stary
 Musiał uciekać tutaj w szląskie kraje.
 Jechała z ojcem. Już kresu dobiega,
 Wtém gdzieś w gospodzie Gnoński poznaje
 Zbiegłego syna, wiarołomcę, szpiega;
 Więc oburzenia gniewem się zapala:
 Zabija syna jak Brutus surowy!
 Dziś obłąkany wzięty do szpitala,
 Ona oddana opiece królowej.
 Bez ojca, brata, bez rodzinnój strzechy,
 Nie poślubiona, gdy ołtarz był gotów, —
 Czy chciałbys jeszcze, by stroiła śmiechy
 Lub twoich pustych słuchała zalotów?

D r u g i P a ź.

Prawda, sierota, bardzo nieszczęśliwa!
 Lecz po co płakać? to na oczy szkodzi.

(Słychać za sceną dzwonek.)

Ale królowa na służbę mię wzywa,
 A waszmość zostań, bo ktoś tu nadchodzi.

S C E N A D R U G A.

PAŹ, *otwiera drzwi boczne; wchodzi ALEKSANDER KONIECPOISKI, wojewoda sandomierski.*

W o j e w o d a (*do Paza*).

Jak zdrowie naszej najjaśniejszej pani?
I czy już wstała?

P a ź.

O, wstała już dawno!
Dworscy Francuzi już wszyscy zebrani.
Ona jest teraz listami zabawną;
Lecz jak się dowie, że pan wojewoda
Chce posłuchania, to pewno przybędzie.
(Paź odchodzi.)

W o j e w o d a (*do siebie*).

Cóż ja jej powiem? Codzielną nową szkodą,
Pożoga wojny rozlała się wszędzie.
Wszędzie przegrana, zagrodzono drogę,
A my tu żywot prowadzimy beczynny...
Musimy patrzeć zaparci zagrodą,
Jak niszczą nasze krainy bogate.

(Uchylają się podwoje w głębi.)

S C E N A T R Z E C I A.

Wchodzi KRÓLOWA, za nią kilka dworskich PANIEN, w liczbie których znajduje się HELENA GNOIŃSKA.

K r ó ł o w a (*wesoło*).

Niedobry jesteś, panie wojewodo,
Że tak nieczęsto odwiedzasz mą chatę;

I księżę prymas nie lepszy od waści.
 Chociaż król waszój powierzył mię straży,
 Żaden nie przyjdzie bronić od napaści,
 Chociażby Głogów oblegli Tatarzy.
 Lecz gdy mię polski opuścił obrońca,
 Z hanem tatarskim zawarłam przymierze, —
 I mój przyjaciel, stryjeczny brat słońca,
 Pisuje do mnie serdecznie a szczerze.
 Czytaj com dzisiaj otrzymała z rana...

(Oddaje mu list.)

Miłosny bilet od Achmet-Gireja.

(Usiada.)

Wojewoda *(przeczytawszy list).*

O dobry Boże! pomoc niespodziana.

Królowa.

Cóż wojewodo! jeszcze jest nadzieja?

Wojewoda.

Pisze, że przyjdzie w dwadzieścia tysięcy
 I Rakoczego od Krymu otoczy.
 O! muzułmani dobrzy sprzymierzeńcy!
 Wzięty w dwa ognie podda się Rakoczy.
 Kiedyśmy niemal do szczętu złamani,
 Bóg miłosierny jeszcze nas ochrania.
 Ty zbawiasz kraj nasz, najjaśniejsza pani!
 Ja ci zazdroszczę twego panowania.

Królowa *(smutno).*

Nie, wojewodo! nie zazdrość méj doli,
 Nie zazdrość mojej korony i krzyża.
 Gdy na samotność człowiek się wyzwoli,
 Dusza się jego do aniołów zbliża.
 Wszystko mię teraz dręczy, niepokoi,

Wśród ciągłej walki obumiera siła.
 O! proście Boga, przyjaciele moi!
 Aby mi prędkiej samotność wróciła, —
 Tak jest... samotność, spoczynek choć w grobie,
 Byleby skończyć tę drogę mozolną.

(Powstaje z zapalem.)

Nie, wojewodo! ani mnie, ni tobie,
 Teraz nikomu umierać niewolno!
 Idzie o króla, idzie mi o męża,
 Idzie nam wszystkim o całość tej ziemi.
 Użyjmy pióra, użyjmy oręża,
 Brońmy ich, brońmy siłami wszystkiemi.
 Użyjmy zdrady — choćby nawet zdrady,
 Byle ocalić ich życie i zdrowie.

(Chłodniej:)

Wiesz, wojewodo! w tej chwili układy
 Mój szpieg ze Szwedem rozpoczął w Krakowie.

(Ciszej:)

Niektórzy Szwedzi zdradzą swego króla,
 Poddadzą Kraków, wątpliwości niema.
 Pisz Czarniekiemu, niech wpadnie jak kula,
 Jak skoro hasło odemnie otrzyma.
 Lecz z głębi kraju dotąd nie mam wieści,
 Coś niepokoi, coś mi serce boli.

W o j e w o d a .

Och dobra pani! boleść po boleści
 Musimy przenieść, nim nas Bóg wyzwoli.
 Piszą mi z Rusi—pogłoska tam lata,
 Przebacz mi, jeśli tą wieścią zatrwożę:
 Pan Jan Zamojski ze Szwedem się brata,
 Podda mu Zamość lub poddał już może.

Królowa (*śmiejąc się wesoło*).

O! co już temu, to śmiało nie wiercie,
 Dajcie mu pokój, panie wojewodo!
 Na Zamojskiego mam sidła niewieście:
 Patrz tylko na tę swawolnicę młodą.
Każmira d'Arquin figlarne ma oczy,
 Lecz dobrej sprawie służą te figlarze;
 Pan Jan Zamojski i do morza wskoczy,
 W ogień polecą, jeśli ona każe.
 On moją wolę spełnia co do joty,
 Na nim się nigdym jeszcze nie zawiodła.
 Och wy mężczyźni! gdyby wasze cnoty
 Z ich prawdziwego upatrywać źródła!
 Jeden krajowi zda się wylan cały,
 Bo bogatego starostwa chce w darze;
 Drugi jak rycerz idzie w pole chwały,
 Bo mu tam piękna dziewczyna iść każe.
 Zajrzeć do serca waszego tajnika,
 Namiętność, chciwość lub próżność dziecinna...
 Zręczna kobieta zawsze to przenika,
 I ze wszystkiego korzystać powinna.
 Widzisz, żem szczerą.

Wojewoda.

Pani miłościwa!

Widzę, że umiesz trzymać nas pod władzą.

(*Słychać trąbkę.*)

Królowa.

Spójrz, wojewodo, czy goniec przybywa?

Jeśli są listy, niech je tu podadzą.

Wojewoda (*patrząc w okno*).

Goniec z listami.

Królowa.

O, są listy przecie!

Drzę cała... serce jakby ścisnął głazem.

Prędnij mi listy!

(Do Paniń dworskich:)

Wy odejść możecie.

(Do Wojewody:)

A wy zostańcie, — przeczytamy razem.

SCENA CZWARTA.

KRÓLOWA, WOJEWODA, potem LACKI.

Królowa *(wznosząc oczy do nieba z modlitwą).*

Panie Zastępów, łaski Twojej, łaski!

(Niecierpliwie do wchodzącego Lackiego:)

Jakież mi niesiesz waszmość wiadomości?

Lacki *(z pokłonem).*

Pan Opaliński, wojwoda podlaski,

Szle swoje służby Jój Królewskiej Mości.

(Oddaje list.)

Królowa *(odbiera go drżącą od wzruszenia ręką i łamie pieczęć).*

Głoski się chwieją przed oczami memi!

(Oddaje wojewodzie list.)

Chciejcie przeczytać, co tu napisano.

Wojewoda *(przebiegłszy list).*

Na czele szlachty wielkopolskiej ziemi
Zbił Opaliński Szwedów pod Kościaną.

Dwa ich tysiące wyprowadził w pole,

Udał ucieczkę, sparł w głęboki parów.

Samego wodza zabrawszy w niewolę,

Posłał do króla z dziewięćma sztandarów.

A insza szlachta pomniejsze zamczy ska
 Poodbierała Szwedom niespodzianie,
 I ma nadzieję, że resztę odzyska.

K r ó ł o w a (z zapalem).

O! dzielny naród ci Wielkopolanie!
 Jeżeli w Polsce zapal taki samy
 Zdoła u szlachty ożywić się wszędzie,
 To jeszcze Szwedom oprzeć się zdołamy,
 Za dwa miesiące już ich tu nie będzie.
 Wytchną nakoniec królewscy poddani!
 No! cóż tam dalej pisze wojewoda?

W o j e w o d a.

Poleca łaskom najjaśniejszej pani
 Tego młodzieńca, co to pismo poda:
 On ze śmiałością walcząc niepojętą,
 Dobrze zasłużon przed Rzeczpospolitą;
 Przez niego wodza szwedzkiego ujęto,
 Przez niego wszystkie sztandary zdobyto.

K r ó ł o w a (patrzac na młodzieńca).

O! to pan Lacki! On od Czarnieckiego
 Wieść króla w Polskę jawił się z usługą.
 Jeszcze powracać nie było do czego,
 Więc się rzecz zwlekła...

(Z westchnieniem.)

Bóg wie jak na długo.

Nasza z waszmością znajomość nieświeża,
 Bo po raz drugi tu się go spotyka.
 Wiernych poddanych Jana Kazimierza
 Nie zapomina Marya Ludwika.
 Nad narzeczoną prosileś opieki;
 Spełniłam prośbę—ona już przy dworze.

Kochasz i walczysz jako w dawne wieki,
 Lecz musisz wyznać, żeś trafny w wyborze.
 Lubię gdy widzę rycerza kochanka,
 Bo to szlachetną duszę zapowiada.
 Mospanie Lacki, królowa wygnanka
 Waszeby mężtwo wynagrodzić rada;
 Ale w tój chwili mam środków za mało
 Nagrodzić ciebie i twe towarzysze.
 Zasługi wasze król uwieńczy chwałą,
 Kraj w karcie dziejów, Bóg w niebie zapisze.
 Dziś, kiedy idziesz laur zdobywać nowy,
 Widokom pańskim służyć za narzędzie,
 Przyjmiej ten pierścień, pamiątkę królowej.
(Oddaje mu pierścień i mówi z dobrocią półgłosem:)
 Wkrótce, jak mniemam, przydatny wam będzie.

L a c k i.

Za waszą dobroć wynagrodzą Nieba.

K r ó l o w a *(do Wojewody).*

Chodź, wojewodo, do mojej komnaty,
 Opalińskiemu dać odpowiedź trzeba.

(Do Lackiego:)

Wy zaczekajcie.

(Odkhodzi, za nią Wojewoda.)

SCENA PIĄTA.

L A C K I *(podczas jego monologu słyhać trąbkę).*

L a c k i *(do siebie).*

Ona tu na dworze!

Cóż jeśli spotka, jeśli mię zobaczy?
 Natchnij mię radą, miłosierny Boże!

Czy mam ją widzieć, czy umrzeć z rozpacz?
 Tak jest, ucieknę, ucieknę w kraj świata,
 Na pole bitwy, kędy śmierć mię woła.
 Zabiłem ojca, zabiłem jój brata,
 Ona mi nigdy przebaczyć nie zdoła!
 Samby mój widok rozjątrzył na nowo
 W biedném jój sercu smutne przypomnienie.
 Ale spełniłem powinność krajową,
 Serce mię boli, lecz się nie rumienię.

SCENA SZÓSTA.

LACKI, *potém* STRZEMIEN *w podróznym ubiorze jak Lacki.*

S t r z e m i e ń (*zakłopotany*).

Gdzie też królową znajdę na ostatek?
 Pilno to pismo oddać jój należy.

(*Postrzegając Lackiego:*)

A! góra z górą!... o! trzy kopy latek!...
 A cóż porabiasz tutaj, panie Jerzy?
 A jak ci zdrowie, kochany kolego?

L a c k i.

Witam cię, witam, panie Floryanie!

(*Ściskają się.*)

S t r z e m i e ń.

A po coś waszmość z pułku Czarnieckiego
 Zniknął tak nagle i niespodziewanie?

L a c k i.

Sam wódz mię wysłał, bym Wielkopolany
 Wezwał do sprawy króla i narodu,
 I uniwersał przez niego wydany

Obwiózł po szlachcie od grodu do grodu.
 Szlachta przyjęła takowe wezwanie:
 Na wielkie rzeczy tam się dziś zanosi.
 Cóż u was słyhać, panie Floryanie?

S t r z e m i e ń.

O czém? o wojnie czy o mojej Zosi?
 Oj Zosia! Zosia! to rozumny ptaszek!
 A ja liczyłem na jej lata młode.
 Ledwim wyjechał, jakiś młodzieniaszek
 Już w sercu panny zapisał gospodę.
 A ja wierzyłem—lecz co dnia i co dnia
 Jakiś niepokój udrećzał mą duszę.
 Więc proszę wodza: choć na pół tygodnia
 W strony domowe oddalić się muszę.
 Wódz się nie zgodził raz, drugi i trzeci,
 Wreszcie go znudził mój jęk nieustanny:
 Pozwolił. Jadę—słyszę, co się świeci:
 A toś mi taki, mój kwiatku różanny!
 Więc ja z wymówką, Zosia w płacz, w wykrety,
 Lecz ja się srozę jak Bolesław Chrobry!
 Wreszcie wyznała, że tu pan Jacenty
 Czasem tak sobie... przyszedł na dzień dobry.
 —„Czy tak! krzyknąłem, ja go tu wytropię,
 „Obetnę uszy i niech mię pozywa“.
 Lecz pan Jacenty schował się w konopie,
 A ona w końcu płacze nieszczęśliwa,
 Że ja nie wierzę, że tylko ją czernię,
 Że mnie miłuje swoim sercem całym.
 Takie mię słowa wzruszyły niezmiernie,
 Lecz do obozu powracać musiałem.

L a c k i.

A cóż tam Szwedzi?

S t r z e m i e ń.

Pal ich szatan, Szwedzi!
 Żołnierzom polskim nie straszna ich tłuszcza.
 To mi Szwed gorszy, co w konopiach siedzi
 I do méj Zosi konkury przypuszcza.
 A chciałem, chciałem na samém odjezdнім
 Dobrze się zemścić nad takim wisielcem.

L a c k i.

Lecz gdzież Czarniecki?

S t r z e m i e ń.

Miał bitwę pod Gniezmem,
 Potém pod małym miasteczkiem Kościelcem.

L a c k i.

Czyjaż wygrana?

S r z e m i e ń.

A Bóg to wie święty!
 Była kurzawa i dym od armaty.
 Mnie w każdym Szwedzie zdawał się Jacenty;
 A więc każdego rąbałem na szmaty;
 Jak wszyscy podli, jako wszyscy tchórze,
 Pierzchnął niegodny przez zarośnię ciemną.

L a c k i.

Szwed pierzchnął od nas! O, dzięki Ci Boże!

S t r z e m i e ń.

Nie, to Jacenty tak pierzchnął przedemną.
 Ale nie ujdzie, ja dotrzymam słowa,
 I jakem szlachcic, obetnę mu uszy!

L a c k i.

Panie Floryanie! czyż sprawa domowa
 Niżli publiczna bardziej ci na duszy?

Strzemień (*z urazą*).

A czyż nie niosę za Rzeczpospolitą
 Głowy na kule, miecze i bardysze?
 A czy tam Szwedów, czy naszych pobito,
 To wódz w tych listach do królowej pisze.
 A czy ja hetman? czy do mnie należy
 Liczyć zabitych i ranionych głowy?
 Ja z listem jadę; powiedz, panie Jerzy,
 Jak tu otrzymać przystęp do królowej?

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i PAŻ, *potém* HELENA.

Paż.

Od Czarnieckiego jest posłaniec świeży,
 Królowa jejmość przyjąwszy go rada.

(Strzemień kłania się; Paż do Strzemienia:)

Proszę iść za mną.

Strzemień (*do Lackiego*).

Ależ, panie Jerzy,
 W tej burce stanąć przed nią nie wypada.

(Zrzuca burkę.)

Jam przecię niby poseł uroczysty,
 Ja muszę stanąć w rycerskiem żelezie.

Helena (*wchodząc zakłopotana z pęczką listów*).

Do wojewody podlaskiego listy,
 Które pan Lacki w Poznańskie powiezie.

(Paż, za nim Strzemień odchodzą.)

S C E N A Ó S M A.

Lacki, Helena. (*Helena drżącą ręką oddaje listy Lackiemu*).

Lacki.

Wszystko oznacza duszę przebolełą,
Ta zmiana w głosie, te rąk waszych dreszcze.
Czynicie sobie ofiarę niemałą,
Żeście raczyli obaczyć mię jeszcze.

Helena.

Rozkaz królowej a nie własna wola
Tu mię przywiodła oddać to pisanie.
A cóż dziwnego, że ciężka niedola
Tak mię zmienia w waszych oczach, panie!
I w rzeczy samój, łzy ciągle mi płyną,
Śmiertelna rozpacz w moich piersiach pała!

Lacki.

To ja, Heleno, waszych lez przyczyną.

Helena.

Ty, ojciec, brat mój, wszyscy, com kochała!
Lecz ja nikogo... nikogo nie winię:
Taki był wyrok, tu skargi na stronę.
Boleć i płakać chciałabym jedynie,
Rozpamiętywać me szczęście minione
Na łonie ojca, z marzeniem o tobie,
Wśród cichój wioski, gdzie się wszystko śmieje.
Dziś moje wszystko pochowano w grobie:
Ojca i brata, wioskę i nadzieje.
Ty jeszcze żyjesz, tyś chluba rycerzy!
Kiedy świat twoje podziwia przymioty,
Ja mniej cię kocham; tak jest, panie Jerzy,
Lękam się twojej Katonowskiej cnoty.

Tys nic nie winien, że brat był zbrodniczy,
 Że ojciec syna zbryzgał się posoką;
 Jednak ku tobie żal pełny goryczy,
 Żal córki, siostry, pozostał głęboko.

L a c k i.

Och! czuję, czuję, co ciebie odkłania,
 Widzę z rozpaczą mą dolę złowrogą.
 Ależ twój ojciec wyjdzie z obłąkania,
 Piękną twą wioskę odbudować mogą.
 A ja z uczuciem synowskiem a świętém
 Jegobym stare pielęgnował lata!

H e l e n a.

Zawszebym jednak patrzyła ze wstrętem,
 Jak na mordercę jedynego brata.
 O! zapomnijmy tę przeszłość minioną!
 Nie dla mnie szczęście w miłości człowieczej.
 Pójdę na boże przytulić się łono,
 Klasztorna cela może mię uleczy...
 Czemu łza w oczach, źrenica tak pała?
 Czemu z twych piersi ten jęk się wrywa?

(Biorąc go za rękę z rozrzewnieniem:)

O! nie chciałbyś Jerzy, bym ciebie kochała,
 Bo będę bardziej... bardziej nieszczęśliwa!
 Czy chciałbyś twojej nieszczęścia niebodge?
 Jedź, jedź ztąd prędzej... spełnij chlubne dzieło,
 Szczęście i sławę znajdź na twojej drodze...

(Po chwili, wzruszona:)

I zapomnienie tego, co minęło.

(Ścisła mu rękę i śpiesznie odchodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

Lacki sam.

(Ostłupiały.)

Sen to... czy prawda?... Ależ prawda przecię:
 Głosu jęj słyżę ostatnie odbicie...
 I ja sam jeden zostaję na świecie...
 Życie bez jutra, bez nadziei życie.
 Więć mi niewolno marzyć nawet we śnie...
 Więć bez powrotu moje szczęście znika!
 Nigdy, mój Boże... nigdy mi nie wskrześnie,
 Nikt go nie wróci...

SCENA DZIESIĄTA.

Wchodzą KRÓLOWA, WOJEWODA, STRZEMIEN i PAZIEWIE.Królowa *(do Lackiego)*.

Marya Ludwika

Zna twoją boleść, mości panie Lacki.
 Wiem, ile cierpi to biedne niebożę;
 Lecz Bóg dał władzę królowej sarmackiej,
 Że łyż poddanych jeszcze otrzeć może.
 Swemu królowi kto tak wierność chowa,
 Kto jęj dowodzi i krwią, i zasługą,
 Spraw jego serca strzedz będzie królowa,
 I nie pozwoli, aby cierpiał długo.
 Bądź dobrej myśli,—my ręczymy sami,
 Bógdajby nasza zdała się opieka!

A teraz na koń, — pośpieszaj z listami,
Bo pan Sieniawski niecierpliwie czeka.

(Podaje mu rękę do ucałowania, Lacki ją z uszanowaniem całuje.)

(Zasłona spada.)

AKT CZWARTY.

(Rzecz w Gdańsku).

Mała izba straży przed królewską salą obrad; dwaj halabardnicy stoją u drzwi na lewo. Zegar bije dziesiątą; za ostatniem uderzeniem korytna się podnosi.

SCENA PIERWSZA.

Dwaj HALABARDNICY, potem GNOIŃSKI wchodzi z téjże strony.

Gnoiński *(do siebie).*

Zobaczę króla o dziesiątej rano...

Spowiedź méj zbrodni on wysłucha bacznie.

(Wchodzi do izby; Halabardnicy krzyżują przed nim halabardy.)

Pierwszy Halabardnik.

Teraz nikogo wpuszczać nie kazano.

Drugi.

Za pół godziny obrada się zacznie!

Pierwszy.

Potém sąd będzie, co wymierza kary,

Sąd, który żadnej zbrodni nie przebacza.

Gnoiński.

Powiedz królowi, że przyszedł dziad stary

Oddać swą głowę pod topór siepacza;

Co zabił syna... rozumiesz, kolego...

Wnet król jegomość przywołać mię każe.

Pierwszy z Halabardników.

Żeś zabił syna, a co nam do tego?

My tu w przedsiönku odprawujem strażę.

Wejść tu niewolno!...

Gnoiński (*nieprzytomnie*).

Idę wedle prawa!

Mój syn... uważasz... jął się szwedzkiej strony

I został szpiegiem Karola Gustawa.

(*Cicho do Halabardnika:*)

Ja go zabiłem...

Halabardnik.

Jakiś dziad szalony!

Gnoiński.

Sprawie królewskiej usłużyłem szczerze,

Ale zgrzeszyłem.... pokuty mi trzeba.

Niech prawny wyrok życie mi odbierze,

Mocą statutu chcę trafić do nieba.

Idę grzech wyznać przed sądową kratą.

Halabardnik.

Niewolno!...

SCENA DRUGA.

CIŻ i LACKI.

Lacki (*do Halabardników*).

Wpuść!... niech stanie przy kracie.

Ja sam królowi odpowiadam za to.

(*Halabardnicy wpuszczają starca.*)

Lacki (*do Gnoińskiego, wchodząc do izby*).

Ojczy mój drogi! czegoż tu żądacie?

G n o i ń s k i.

Ha!... to pan Jerzy... Pamiętasz tę żmiję,
Jak w samo serce przebodłem pacholę!

(Z zapalem:)

Głowę położę i syna zabiję,
Lecz sprawy króla zdradzać nie pozwolę!
Powiem królowi, w czém jest moja zbrodnia,
Niech wedle prawa ukarać mię raczy.
Wszak my śmiertelni umieramy co dnia,
Dzisiaj z podagry, a jutro z rozpaczy.
Lecz córka moja!... zameżcia tak blizka!
Miałeś być mężem... nikt cię nie nalega...
Bo ona biedna aż dwa ma nazwiska:
Córka zabójcy, albo siostra szpiega.

L a c k i.

O jak bolesno słyszeć w ustach ojca
Tak obelżywe dla córki nazwanie!

(Głośno z przyciskiem:)

Tys nie zabójca!

G n o i ń s k i.

Jakto nie zabójca?

Zabiłem syna...

L a c k i.

Twój syn żyje, panie!

G n o i ń s k i.

Żyje!... czy prawda?... Gość niespodziewany
Zkąd wraca: z ziemi, czy z piekielnej strony?
Gdzie jest?

L a c k i.

W więzieniu... Wyleczył się z rany
I tu do Gdańska przed króla stawiony.

Gnoiński.

Sądzić go będą...

Lacki.

Dziś wedle rozkazu
Sąd tu się zbierze, zwołany umyślnie.

Gnoiński.

O! czemu raczej nie umarł od razu!
Gnoińskich imię kat hańbą wyciśnie
Na zaszczyt ojcu, na pociechę siostrze,
Na pamięć wiekom. O! nie doczekacie!
Gdzie jest mój sztylet? Lepiej go wyostrzę,
Uprowadzę cię, niedołączny kacie!...
Gdzie jest więzienie?... O! będzie mi słodziej
Zabiwszy syna, co swe imię plamił
Idę...

Lacki *(do Halabardników)*.

Nie puszczaj, niech ztąd nie wychodzi.

(Kłęk przed Gnoińskim.)

Ojczy! zlituj się nad sobą, nad nami:
Wyrok królewski los jego osłodzi!

(Słychać za sceną dzwonek. Sądzi starca na krześle za kolumną.)

Słuchaj go, ojczy, ze spokojną twarzą.

(Znowu dzwonek.)

Podwójny sygnał, oto król nadchodzi.

(Do siebie:)

W tej chwili losy ojczyzny się ważą...

SCENA TRZECIA.

Podnosi się środkowa zasłona, widać stół długi, ostawiony krzesłami jak do obrady. Wchodzą senatorowie.

KANCLERZ KORONNY, MARSZAŁEK KORONNY, *za nim*
CZARNIECKI.

Marszałek koronny.

Więc powiadacie, panie kasztelanie,
Że powodzenia Szwedów już ostatki?

Czarniecki.

Na ziemi naszej niech tylko król stanie!
Naród bez króla jak dzieci bez matki.
Czyż z Gdańska mimo swe chęci gorące
Zdoła prowadzić układ wojny całej?
Czy zdoła wzbudzić stronników tysiące,
Które na jedno słowoby powstały?

SCENA CZWARTA.

CIŻ i KRÓL.

Krół (*wchodząc ściska Czarnieckiego*).

Panie Czarniecki! witajcie nam zdrowo!
Znowu Szwed doznał twojej dzielnej ręki.
Zniosłeś Steinboka siłę wyborową.
Ileż ojczyzna winna ci podziękil
Łzami wdzięczności król u swego proga
Wita was tutaj okrytego sławą.
Do wielkich nagród otwarta ci droga,
Boś się zasłużył mozolnie i krwawo.

Czarniecki.

Królu i panie! siłami wszystkiemi
 Będę ci służył, gdzie się zręczność poda.
 Od nieprzyjaciół zbawienie tój ziemi
 To będzie moja najmiłsza nagroda.
 Ale to szczęście nieprędko się stanie:
 Przy mój czujności, przy wojska odwadze,
 Za wielka praca, najjaśniejszy panie!
 Żebrzę pomocy, bo sam nie poradzę.
 Po całym kraju rozleli się Szwedzi,
 Hufiec po hufcu potrzeba ich znosić;
 Moja troskliwość wszędzie ich uprzedzi,
 Ale w narodzie nie masz ducha dosyć.
 Lud całej ziemi jak stado pisklące,
 Gdy ptak drapieżny matkę mu odbierze;
 Najwaleczniejsi załamali ręce
 I najwierniejsi zachwiali się w wierze!
 Wyjazd monarszy przejął kraj rozpaczą,
 Ku wygnańcowi wzdychają żałośnie.
 Wracaj nam, królu! Gdy ojca zobaczą,
 To sercu dzieci odwagi przyrośnie.

Król.

Panie Czarniecki! już po kilka razy
 Waszmość mię o to prosi i zaklina.
 Boleje serce Kazimierza Wazy,
 Lecz jeszcze wracać nie przyszła godzina.

Kancierz koronny.

Głowa królewska za nadto nam droga!
 Wśród niebezpieczeństw, pośród mrozów zimy,
 Nie sposób wracać. Wszak pełen kraj wroga:
 Czyż głowę pańską na szwank wystawimy?

Dokąd powracać? Kraków i Warszawa,
 Obie stolice zajęte przebojem.
 Rozpierzchły senat, podeptane prawa,
 Cóż ma król polski czynić w państwie swoim?
 Tu wojna obca, tu wojna domowa,
 Wróg goni z tyłu, wróg czeka na przedzie.
 Czy sejm zwoływać, gdy szlachty połowa
 Trzyma z kim innym i na sejm nie zjedzie?

Czarniecki (zbliżając się do króla uroczyście).

W hełmie spędziłem dziecinne me lata,
 W hełmie starości doczekałem siwój:
 Żołnierz za ojca, za waszego brata,
 Dziś tobie służę, królu miłościwy!
 Przychodzę pełen serdecznej boleści
 Donieść o klęskach, co cierpim w tej chwili;
 Jakżebym słodko weselsze niósł wieści,
 Żeśmy spokoju milego dożyli!
 Lecz promień jutrzni na niebios lazurze
 Jeszcze nie zwalczył cienności ponurój;
 Jeszcze północne nie przegrzmiały burze,
 A już od Karpat gromadzą się chmury!
 Chrześcijańskiego imienia zakala,
 Znalazł Rakoczy do Polski swą drogę;
 Choć mu się żadna przyczyna nie dała,
 Wszędy rozpuścił mordy i pożogę.
 Prymas koronny, senatu zebranie,
 Małżonka twoja trwogą przerażona,
 Tu mię przyskali, najjaśniejszy panie!
 Spiesz na ratunek ojczyzny, co kona!
 Jeśli cię naród wśród siebie zobaczy,
 Zdoła pokrzepić swą duszę zboląłą,

Nowego męztwa nabierze w rozpaczy,
 Pokona wroga albo umrze z chwałą.
 Serca nam trzeba! daj nam serce, panie,
 A żadna klęska już nas nie przestrasza.
 Przebacz twe ciernie, przebacz twe wygnanie,
 To wina losów, a nie wina nasza!
 W imieniu rady twojego senatu,
 W imieniu ludu, co dzisiaj bez chleba,
 W imię królowej, co wzór daje światu,
 Jak kochać naród i męża potrzeba,
 W imieniu starców, i niewiast, i dzieci,
 W imieniu dziejów, coć gotują kartę,
 W imieniu świątyń, które rok już trzeci
 Stoją w pustkowiu zbójcecko odarte, —

(Klęka.)

Błagam cię! wracaj, królu nasz dostojny!
 I spraw krajowi piękny dzień wesela,
 I daj nam hasło, — a my pożar wojny
 Niech ugasimy krwią nieprzyjaciela!..

K r ó l.

Powstań, Czarniecki! Bohater nie klęka,
 Chyba w modlitwie, kiedy się rozczuła.

(Podaje mu rękę i podnosi z ziemi.)

Twoja zwycięztwem namaszczona ręka
 Niech podtrzyma rękę twego króla!
 Tyś mię przekonał: jadę do was, jadę,
 Niech sercem waszém mą boleść osłodzę.

(Do Kanclerza:)

Na wieczór zbierzcie senatorów radę;
 Jutro przed świtem będziemy już w drodze.

(Do Czarnieckiego:)

Panie Czarniecki! na żołnierskiém siodle,
 Wszak wiesz sam o tém, trudna równowaga;

Jednak nie spadnie, nie zbłoci się podle,
 Kto miłosierdzia u Niebios wybłaga.
 Trzeba jutrzeńki, by rozpędzić chmury:
 Swoją jutrzeńkę wszak mają niebianie!
 Królowa niebios, Panna z Jasnej Góry
 Królową naszą niech odtąd zostanie.

Wszyscy obecni (uroczyście wznoszą ręce).

Na wieki, Amen!

K r ó l.

Kiedy plan się zmienia,
 Kiedy tu zostać nie mamy już dłużej,
 Czy są jakowe sprawy do sądenia,
 Byśmy je mogli skończyć do podróży?

K a n c l e r z.

Jest jedna sprawa, co twe serce zrani,
 Bo tu potrzeba użyć miecza kary!
 Chciałbyś, monarcho, by twoi poddani
 Żyli szczęśliwi, wierni enocie starój;
 Lecz sprawiedliwość, co sądzi i karze,
 Tamę królewskiej łaskawości kładzie.
 Każdego czasu bywają zbrodniarze,
 A cóż dopiero w krajowym bezładzie?
 Gdy jedni idą bronić praw korony,
 Życia i zdrowia nie mając na względzie;
 Drudzy przechodzą do przeciwnej strony,
 Widokom wroga służyć za narzędzie.

K r ó l.

Szalony obłąd rozszerzył się razem,
 Miecz buntowniczy w krwi bratniej się pławi;
 Na polu bitwy gromim ich żelazem,
 Lecz dla pojmanych musim być łaskawi.

K a n c l e r z.

Na polu bitwy umniejsza się wina,
 Jeżeli zdradę co umniejszyć może.
 Ale kto listy Siedmiogrodzianina
 Nosi do Szweda w przybranym ubiorze,
 Raz uwolniony wyrokiem łaskawym
 Na téjże zbrodni schwytny na nowo:
 Czyż nie powinien ugiąć się przed prawem
 I ciężką zbrodnię okupić swą głową?

G n o i ń s k i (który aż dotąd siedział osłupiały, zrywając się).

To o nim mowa! Puść mię, panie Jerzy...
 Prawda... wszak jeszcze żyje ta potwora!

L a c k i (*cicho*).

Obrad sądowych mieszać nie należy,
 Wkrótce stosowna nadarzy się pora.

K r ó l.

Tam, gdzie nagradzać trzeba towarzysze,
 Zawsze i chętnie król polski nagradza;
 Ale wyroków śmierci on nie pisze:
 Na to są grody, jest hetmańska władza.
 Choć mię oburza wszelki czyn zdradziecki,
 Lecz może zdoła zmniejszyć się ohyda.
 Wódz nasz najwyższy, pan Stefan Czarniecki,
 Niech to roztrząśnie i wyrok swój wyda.

C z a r n i e c k i (przejrzawszy podane sobie od Kanclerza papiery).

Ja znam tę sprawę, najjaśniejszy panie!
 Jam go raz pierwszy uwolnił od kary.
 Dziś niepodobne twoje zlitowanie,
 Bo winowajca przewinił bez miary.

Krół.

Któż jest ów zbrodzień?

Czarniecki.

Z Gnoińskich rodziny,

Imieniem Krzysztof: ród znany u świata.

Krół.

Jakaż jest kara za podobne winy?

Czarniecki.

Wieczna niesława i śmierć z ręki kata.

Gnoiński *(do Lackiego)*.

Moje nazwisko... i kat w jednej parze...

Pójdę go zabić, by méj czei nie mazał.

Krół *(do Kanclerza)*.

Lecz prawo nasze zbyt surowo karze.

Kanclerz.

Sam własny ojciec już na śmierć go skazał:

Gdy się dowiedział o jego niesławie,

Sam przebił piersi wyrodnego syna.

Nieszczęsny młodzian już legł trupem prawie,

Ale w szpitalu gdy zdrowieć poczyna,

Wzięty w więzienie czeka swych wyroków.

Gnoiński *(do Lackiego)*.

Puszczaj mię, Jerzy... ocalę nędznika...

SCENA PIĄTA.

CIŻ i GNOIŃSKI, za nim LACKI *wychodzą z ukrycia*.

Gnoiński *(klękając przed królem)*.

Królu i panie! wyzwólcie go z oków,

Niechaj kat głowy jego nie dotyka.

Ja jestem ojciec... och! boli mię serce!
 Wszak imię moje ma w kraju zasługi.
 Czuję, że trzeba zabić przeniewiercę!
 Ja sam go, królu, zabiję raz drugi,
 Ugodzę lepiej... i sam się zabiję!
 Nie chcę przebaczeń, prawo nie przebacza;
 Tylko od hańby zachowaj mu szyję,
 Zachowaj imię od ręki siepacza!

K r ó l.

Co widzę!.. to wy... to wy w saméj rzeczy,
 Stary Gnoiński!.. Pamiętasz, pod Żwańcem
 Tyś nam sto koni przysłał ku odsieczy,
 Gdyśmy już stali nad przepaści krańcem.
 Dobrze nam tamta pamiętna wyprawa!
 Przymknęłam wtedy, że ci się odslużę.
 Lecz dzisiaj... przebac... muszę służyć prawa,
 Prawo jest z głazu... a to praw są stróż!

(Ukazuje Czarnieckiego i Kanclerza.)

G n o i ń s k i.

Krzywdzisz mię, królu! Czyż ja przypomniałem,
 Żem dał pod Żwańcem twój obrót zwycięzki?
 Wszak powinienem i duszą i ciałem
 Monarchę mego obraniać od klęski.
 Swój powinności nikt nie przypomina;
 Lecz w imię prawa znies wyrok sądowy.
 Niech własną ręką zamorduję syna,
 Byle kat jego nie dotknął się głowy.

K a n c l e r z (do Czarnieckiego).

To Brutus rzymski!..

Gnoiński.

Nie... Brutus bez drżenia

Skazał swe syny pod topór najprościej;

Lecz chrześcjanin inaczej ocenia

W rodzinnym domu swoje powinności.

Nie dla oklasku, który gmin omami,

Lecz dla ofiary wypełniając cnotę,

Winien jak Chrystus ze krwią i ze łzami

Krzyż swojej męki zanieść na Golgotę.

Król.

Wybijcie myśli rozpaczliwe z głowy;

Z senatorami pomówię w tej sprawie.

SCENA SZÓSTA.

Ciąż i Paż.

Paż.

Przybywa tutaj część dworu królowej,
Która ze Szlązka ciągnie ku Warszawie.Wiedząc, że teraz król jegomość pono
Wracać do Polski powziął zamiar stały,
Chce, by pod jego rycerstwa zasłoną
Slabe niewiasty bezpieczniej jechały.

Król.

Kędyż są listy?

Paż.

Jedna z dziewic dworu
Wnet je przyniesie.

Czarniecki (z niechęcią).

Tak!... tak, nie inaczej...

Królowa jéjmość za wiele honoru
 Biednym żołdakom okazywać raczy,
 Gdy nam potrzeba lecieć dniem i nocą,
 Być w Częstochowie za trzy dni najdaléj...

K r ó l *(z uśmiechem)*.

Panie Czarniecki, nie każdy z rycerzy
 Równie niechętny na orszak dziewiczy.
 Toż córki polskie, nam strzedz ich należy.
 Zresztą cóż począć? Tak niewiasta życzy,
 Nam trzeba słuchać....

SCENA SIÓDMA.

CIŻ i HELENA *zakłopotana wchodzi z listem w ręku.*

Helena.

Najjaśniejszy panie!

Przebacz... że tutaj... że wchodzę tak śmiała.
 Ale królowej przynoszę pisanie;
 We własne ręce oddać je kazała.

(Oddaje list, który król otwiera i bacznie czyta.)

Helena *(postrzegając ojca)*.

Ojcie! tyś tutaj... Jakżeś niespodziany!
 O co za szczęście!...

(Ściska go.)

Ty patrzysz tak smutnie!...

Gnoiński.

Wiesz... brat twój żyje... wyleczył się z rany.
 Teraz jest więźniem... kat głowę mu utnie!
 Tak każe prawo... tak chce król i wodze:
 Trzeba oczyścić z gadów ród człowieczy!

Zhańbił nam imię, podeptał nas srodze
W obliczu całej Pospolitej rzeczy....

Helena.

Ale on żyje!... czy pewno, że żyje?
Czy to jest prawda?...

(Do Lackiego:)

Prawdaż, panie Jerzy?

Gnoiński.

Jeszcze zbrodniczej nie ścięto mu szyje,
Ale już ona do kata należy.
O córko moja! niedawno, dziś rano
Gryzłem sumienie o jego zabicie.
Chciałem wybłagać, aby mię skarano,
Przyszedłem oddać moje własne życie.
Ale on żyje.... w łańcuchy gdzieś dzwoni,
A na mym domu niezmazana skaza.
O! bądź przeklęta, niedołączna dłoni,
Żeś głębiej w serce nie wbiła żelaza!

(Król odczytawszy list, pokazuje go Czarnieckiemu i Kanclerzowi, i narzuca się z nimi.)

Helena.

Ojczel! daremnie swą ranę jątrzycie,
Jest jeszcze pora.... zaradzić się zdoła.
Tu król przed nami.... wybłagamy życie...

Gnoiński.

Ale mu hańby nie zetrzemy z czoła!
Nie, moja córko! z sakwami i z kijem
Pójdziem ztąd zaraz w jakiś kraj daleki;
Sponiewierane nazwisko ukryjem,
Obcą mi ziemią zasypiesz powieki.

Wychodź ztąd prędzej, córko nieszczęśliwa,
Dopóki hańby nie masz na twém czole.

(Helena chce uklęknąć przed królem, Gnoiński ciągnie ją ku drzwiom.)

Kanclerz *(głośno).*

Panie Gnoiński, król jegomość wzywa,
Chce ci objawić swoją pańską wolę.

(Gnoiński staje osłupiały.)

Król *(podchodząc ku niemu łaskawie).*

Najmilszą gorzkich dni moich osłodą
Jest łzy ocierać, łagodzić niesnaski.
Dziś za obecnych senatorów zgodą...

(Ukazuje Czarnieckiego i Kanclerza.)

Mam prawo użyć królewskiej méj łaski.
Dzisiaj niewolno, by ktoś łzę miał w oku,
Kiedy król wraca, a kraj żyć poczyna.

(Do Kanclerza:)

Panie kanclerzu! powiedz treść wyroku,
Jakiśmy dali w sprawie jego syna.

Kanclerz.

Syn wasz w téj chwili swobodnym zostanie,
Król piętno hańby z jego czoła ściera.
Niech w obce kraje idzie na wygnanie,
I tam niech obce nazwisko przybiera.
A gdy się dowie, że te nasze kraje
Przestanie miotać wojenne igrzysko,
Śmiało przed króla majestat niech staje,
A król mu wróci łaskę i nazwisko.

Gnoiński *(z niedowierzaniem).*

Więc hańba zdjęta?...

Kanclerz.

Całkowicie zdjęta.

Gnoiński.

I syn mój żyje?

Kancierz.

Wnet wolność mu damy.

Gnoiński.

Dzięki Ci!... dzięki, Opatrzności święta!
 Więc ja nie zbójca, a mój dom bez plamy?...
 Więc moje imię jeszcze jaśnieć może
 Po całej Litwie i całej Koronie?...
 O! pozwól królu, niechaj pancierz włożę,
 Niech całe życie twojej sprawy bronię!
 Jak młody harcerz dosiędę rumaka,
 Najwaleczniejszych prześcignę hussarzy!

Helena.

Dzięki ci, królu! Dawno radość taka
 Na jego smutnej nie jaśniała twarzy!

Król (do Gnoińskiego).

Służba waszności wdzięczną mi zostanie,
 Trzeba nam mężnych w tę nieszczęsną porę!
 Ale skazując syna na wygnanie,
 Twojej starości musim dać podporę.
 Pisze królowa, że ta młoda para
 Dawno się kocha i jest narzeczoną;
 Niech się pan Lacki troskliwie postara
 Być siwej głowy rycerską ochroną.
 Stawił się mężnie, kędy wódz go użył,
 Wierność dla tronu chował najszlachetniej;
 Dobrze się Lacki krajowi zasłużył,
 Król mu dziękuje, los jego uswietni...
 Dacież mu córkę?..

Gnoiński (*ścisnąc Lackiego*).

Miał ją mieć niebawem,
Kiedy nieszczęście spadło nam na głowy.

Król (*do Heleny*).

A cóż wy na tó?

Helena.

Dla mnie świętém prawem
Wola mojego króla i królowej.

(*Król łączy ręce Lackiego i Heleny.*)

Lacki.

Królu! czym godzien twój łaski tak wiele!

Gnoiński (*upojony radością*).

Gdzie jest mój pałasz... mój pancerz z żelaza?

(*Do Lackiego*.)

Na koń, mój Jerzy, po wojnie wesele!

Teraz...

(*Wznosi czapkę do góry.*)

Wszyscy (*uroczyście*).

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

Czarniecki (*uderzając po ramieniu Lackiego*).

Nie szczyptą soli, ani glebą roli

Szlachcie się polski chlubi i bogaci.

Przetrwaj, co ciału i co sercu boli,

Znajdziesz nagrodę w duszy twoich braci!

Takie polskiego wojownika cele;

Przy nich nie padnie na twe serce skaza.

Na koń, mój Jerzy... po wojnie wesele!

Teraz...

(*Podnosi w górę czapkę.*)

Wszyscy.

Niech żyje Jan Kazimierz Waza!

(*Otoczają króla, zasłona spada.*)

BOHDAN.

UŁAMEK LIBRETTA DO OPERY.

Chór Swatów.

Dobry wieczór wam, wam!
Czy wy radzi nam, nam?
Czy wy radzi, czy nie radzi,
Dobry wieczór wam, wam!
Szumiał stary las, las,
Przyprowadził nas, nas,
Radość wasza nas zaprasza,
Idziem w dobry czas, czas.
Kręże głową kręc, kręc,
Bo już przybył zięć, zięć!
Pięknej doni nie zabroni
Wasza dobra chęć, chęć.
Gospodyni héj, héj!
Pełne czarki lój, lój,
Aby swaty u twój chaty,
Pohulały lżej, lżej.

Przewódca chóru (*podprowadzając Bohdana do Matki*)

Matko zbliż się doń, doń,
Daj mu szczerą dłoń, dłoń,

On po przedzie pług powiedzie,
Pierwszy brzęknie w broń, w broń.

Matka.

Niech nam wita gość, gość,
Będzie zboże rość, rość!
Niech Oksanę uszczęśliwi,
A już dla mnie dość, dość.

Przewódca chóru.

O ja chłopca znam, znam,
I zaręczam sam, sam.

Chór.

Czy wy radzi, czy nie radzi,
Dobry wieczór wam, wam.

Głos z boku (za kulisami).

Wicher bije po jaworze
Złamał gałąź całą,
Ja spojrzałem w niebo boże
I słońce szerniało.

Przewódca chóru.

Kto to jęczy tam, tam?
O! ja głos ten znam, znam!

Chór.

Co on pieje? czy nadzieje,
Czy pohybel nam, nam?

Głos.

Leciał orzeł, och! wysoko,
Patrzył w słońce śmiało;
Wtém go strzelec wziął na oko,
Przebił serce strzałą.

M a t k a.

Kto to?...

Przewódca chóru.

Omelko wróżbita,

Który z pieśniami swojemi,

Kiedy zła dola zawita,

Jak grzyb wyrasta z pod ziemi.

Czy się radujem, czy płaczem,

Jego piosenki nas tulą;

Czasem jest śmierci puhaczem,

Czasem radości zozulą.

C h ó r.

Czasem jest śmierci puhaczem,

Czasem radości zozulą.

Przewódca chóru.

Lecz dzisiaj tu nikt nie płacze,

Niechaj wróżbita się złości.

M a t k a.

Na chleb, na sól, na kołaczce

Zapraszam łaskawych gości.

C h ó r.

Gospodyni héj, héj,

Pełne czarki léj, léj!

Niechaj żyje piękna para,

Pijmy zdrowie jéj, jéj!

(Wychodzą prócz Bohdana.)

B o h d a n.

Co za radość! co za życie!

Wnet mnie spotka droga dziewa.

O m e l k o (*wchodzi i staje w dali za Bohdanem*).

Czy widzicie? czy słyszycie,
Jak się w chmurze grzmot przelewa?

B o h d a n.

Rosnę, rosnę ja do góry
Jak kalina po nad wodą.

O m e l k o.

Silny wichur zleciał z góry
I kalinę złamał młodą.

B o h d a n.

Jak jaskółka z wiosny rada
Lecę w górę rozpedzony.

O m e l k o.

Czarny orzeł z góry spada
I jaskółkę chwyta w szpony.

B o h d a n.

A r y a.

Złocisty księżyc, dla czegoż przecię
Topi się w chmurnych obłoczkach?
Jasne wy gwiazdy, jednak zgaśnięcie
Przy mojej Oksany oczkach.

Piękna jutrzienka w porannej dobie,
Kiedy z niej świecą promienie;
Lecz przyjdzie jutrzni pobleknąć tobie
Przy mojej pięknej Oksenie.

Złowiona w siatkę rybka w zatoce,
Drząc się wrywa z więcierza,
Silniej drży serce potężniej grzmoce,
Kiedy o piersi uderza.

Lecz po cierpieniach i sny nie roją
 Jakie Bóg zesłał mi leki:
 Piękna Oksana będzie już moją,
 Będzie już moją na wieki!

O m e l k o (pokazując się Bohdanowi).

Będzie już twoją,—a czy ty znasz,
 Że upiór lata nad strzechą chat,
 Że poczerniała księżycą twarz
 I że na łąkach zawiedniał kwiat?
 Będzie już twoją,—a czy ty znasz,
 Gdzie żyją kruki czarne jak zmrok,
 Co w twoją piękną zagładną twarz
 I z twoich oczu wypiją wzrok?

C h ó r (za kulisami, później wchodzi).

Idziem w dobry czas, czas,
 By pozdrowić was, was!
 Państwo młodzi, czy się godzi
 Tak unikać nas, nas?

Przewódca chóru.

Oj Bohdanie, Bohdaniel
 Dziwne twoje dumanie,
 Gdy družbowie ci wiodą
 Żonę piękną i młodą!
 Hulaj dusza swobodna,
 Wypij czarę aż do dna,
 Ja pierwój nie odstanę,
 Aż uściskasz Oksanę,
 Chylże mi czarę, chyl mi aż do dna!

J e d e n z c h ó r u (ciągnąc za rękę Oksanę).

Trzeba cię ciągnąć aż z całych sił!

Oj dziewczki, dziewczki, cha, cha, cha, cha, cha!
A jednak w kątku całusby był.

C h ó r.

Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha...
Całusby był, całusby był!

O k s a n a (*wzbraniając się*).

Niech się swat oprzytomni.

B o h d a n.

Lecz ja nie chcę pić do dna.

Przewódca chóru i Swat.

Och, jacy oni skromni!

C h ó r.

Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha...
Och jacy oni skromni!

M a t k a.

Dajcie im pokój! jak się pobiorą
To się niejeden całusek da.

O m e l k o.

Och! oni w szczęście jak wierzą skoro!
Cha, cha, cha, cha....

C h ó r i w s z y s c y.

Kiedy się w sercu uczucia cieśnia,
Co tu ma znaczyć puszczyka śmiech?
Zatruwać szczęście piekielną pieśnią,
O! to grzech ciężki, to ciężki grzech.
Mieszać nam radość nótą nieznaną,
To niesłyszane jak światem świat!
Niechaj nam żyją Bohdan z Oksaną,
Niechaj nam żyją do setnych lat!

Przewódca chóru.

Błogosław matko modłami twemi,
Bo czy uwierzysz jak serce drga?

Omelko.

I oni wierzą w szczęście na ziemi!
Cha, cha, cha, cha...

Przewódca chóru.

Matulu, mateczko, w tej ważnej dziś chwili,
Śmiejesz się jak dziecko, i płaczesz, i drżysz;
A my tutaj ciebie objedli, opili,
Powiedz nam po prostu: a kysz, a kysz!

Chór.

Powiedz nam po prostu: a kysz, a kysz!

Matka.

Aniście objedli, aniście opili,
Lecz z serca mojego zdjęliście krzyż;
Muszę się pomodlić... Ej bracia, ej mili!
A kysz, a kysz!

Przewódca chóru.

Ej matko, Oksano, ej panie Bohdanie!
A przyjmiej mój uścisk, a tutaj się zbliż!
Panowie gromada skończone swatanie,
A kysz, a kysz!

Matka.

W tak ważnej dla serca, w tak świętej nam chwili,
I ważny, i święty zaciągam dziś dług.

Chór.

Objedli, opili, lecz szczęścia życzyli:
Błogosław was Bóg, błogosław was Bóg!

(Ochodzą.)

BOHDAN I OKSANA.

Śpiew.

Oksana.

Ej ty sokole, sokole, .
 Czemu u ciebie na czole
 Ślad chmurnych plam?

Bohdan.

Ej ty kalino, kalino,
 Łzy z oczu płyną i płyną,
 Ja nie wiem sam.

Oksana.

Ej ty Bohdanie, Bohdanie,
 Może już inne kochanie
 Zajęło cię?

Bohdan.

Och, mnie Oksano przeraża
 Ten głos złowrogi wróżbiarza!
 Ja drzę, ja drzę.

Razem.

Bohdan. { Ach i w mém sercu obawa!
 { Nie straszy walka mię krwawa,
 { Chcę na wojenną pośpieszyć błoń.

Oksana. { Lecz nim się żona doczeka
 { Z oczu jój spłynie łez rzeka,—
 { Broń się Bohdanie, mężnie się broń!

Bohdan. { Ach! i w mém sercu obawa!
 { Postać śmiertelna i krwawa
 { Z czarnego mroku wyciąga dłoń.

Oksana. } A tam z daleka, z daleka,
 } Szumi czerwonej krwi rzeka!
 } Broń się Bohdanie, mężnie się broń!

Oksana.

Mój Bohdanie, ja nie wierzę,
 By ci serce strachem biło.

Bohdan.

Pójdę luba wśród żołnierze,
 Ale z ziemską walczyć siłą.

Razem.

Lecz gdy wróżbit z po za płota,
 Przepowiednie rzuca swoje,
 Przeklęctwami na nas miota,
 Przebac ^{luby}_{luba} ja się boję.

Oksana.

Patrz, na niebie żadna chmurka
 Nie zaciemnia słońca wcale!

(W orkiestrze trąbka sygnałem mocnym odzywa się.)

Bohdan.

Słyszysz trąbkę z za pagórka?
 Życie moje w tym sygnale.

Oksana.

Zkąd ci bolesne dumanie?
 Zrzuc wieniec ciernia z twój głowy.

(Trąbka wyraźniej.)

Bohdan.

Oksano!

Oksana.

Drogi Bohdanie!

B o h d a n.

Słyszysz? to sygnał bojowy.

(Wchodzi posłannik królewski, a za nim chór.)

P o s ł a n n i k.

W imieniu króla, w imieniu sejmu,
W imieniu zacnej izby rycerzy,
Dziś minął z Turkiem termin rozejmu,
Kazano na koń siadać młodzieży.
Jadę z królewskim uniwersałem!

Biada kto w chacie zapleśnił broń!
Do broni dzieci, idźcie z zapalem,
Na koń, na koń, na koń!

C h ó r.

Zahartujmy dłoń, dłoń,
A wyczyśemy broń, broń!
Czy wy radzi, czy nieradzi,
Siadajcie na koń!

Czul się, czy nie czul,
Potłum w sercu ból!
Czy wy radzi, czy nieradzi,
Kazał bić się król!

B o h d a n.

Moja luba! od poranka
Miałem tęskne zadumanie.

O k s a n a.

Lecz kraj świętszy niż kochanka,
Siadaj na koń, mój Bohdanie!

C h ó r.

Lecz kraj świętszy niż kochanka,
Siadaj na koń nasz Bohdanie,

My postawim się gromadą,
Piersi z pierśmi, z dłońmi dłonie.

B o h d a n.

A gdy Turcy wieś najadą,
To ja pierwszy was osłonię.

P o s ł a n n i k.

Kraj od wroga zagrożony
Wezwał orszak swoich dzieci,
I rycerstwo z każdej strony
Na Podole hurmem leci.

C h ó r.

Sławny Turek był, był,
Dziś się pozbył sił, sił!
Och czy radzi, czy nie radzi,
My ich zbijem w pył, w pył!

BOHDAN, OKSANA, POSŁANNIK.

Tercet.

O k s a n a.

Ej Bohdanie, ej kochany!
Jedź się wpisać w bratnie rotę.
Ależ zemną cóż się stanie?
Ja tu umrę od tęsknoty.

B o h d a n.

Krajowi służy ta ręka,
Krajowi oddałem duszę:
Oksano! serce mi pęka,
Ale pożegnać cię muszę.

P o s ł a n n i k.

Ej panowie! komu zdrowie,
Komu dał Bóg iskrę ducha,

Biada, gdy służbę wypowie
I sejmu słów nie posłucha!

O k s a n a.

A jaż pod opieką czyją?
Czyjeż mię ramię otoczy?
A jak cię Turcy zabiją,
Piaskiem przysypią tve oczy!..

B o h d a n.

Oksano!

O k s a n a.

Drogi Bohdanie!
Mieliśmy iść do ołtarza.

P o s ł a n n i k.

Ale królewskie pisanie
Mażeńskich godów nie zważa.

O k s a n a.

Król sam niech odpiera tłuszczę,
Oczyszcza z Turków Podole —
Bohdanie, ja cię nie puszczę,
Mój ty serdeczny sokole!

B o h d a n.

Jadę, ty tutaj wznos modły
O prędką chwilę wesela.
Lecz podły, po stokroć podły,
Kto się od braci oddziela!

W s z y s c y.

Biada na czyjém czole
Taki postanie srom!
Rolniku, rzucaj pole,
Rzucaj rodzinny dom!

Z kupiectwem czy z rzemiosłem,
 Precz dzieci kraju, precz,
 Gdy w powołaniu wzniosłem
 Każą zadzwonić w miecz!
 Dawno nas, dawno bodły
 Żądła tureckich strzał!
 Podły i stokroć podły
 Ktoby je znosić chciał!
 Héjże kto pocziw, wymieć to śmiecie,
 Aż pod Carogród pohança goń!
 Wszak wspólną matkę wy miłujecie:
 Bracia na koń, na koń, na koń!

* * *

ATAMAN, KOZACY.

Chór kozaczy.

Nie masz życia jak kozacze,
 Gdy dobywszy całych sił,
 Na wścigi z wiatrem skacze,
 Tropiąc wroga gdzie się skrył.
 Nie zasępi nigdy czoła,
 W jego sercu zawsze lżęd;
 Bo go grzeje myśl wesoła,
 Że ziemicy broni swęd.
 Jednak panie atamanie,
 Chociaż Kozak każdy zuch,
 Lecz w bezzennym żyjąc stanie,
 Do krasawic tęskni duch.

Ataman.

Choć dziś mamy pozwolenie,
 Niech się żeni Kozak brat,

Ja się nigdy nie ożenię,
 Bo mnie miły boży świat.
 Moja żona — szabla stara,
 Żyje zemną w każdy czas;
 A jak zginę od Tatara
 W jednym grobie złożą nas.

C h ó r.

Nie masz życia jak kozacze i t. d.
 Znój nie przykry, słota fraszka,
 A choć czasem z głodu pość,
 Byle lulka, byle flaszka,
 Pyknał, łyknał to i dość.
 Jednak panie atamanie i t. d.

A t a m a n.

Nic nie znacie wraże syny,
 Zawiazywać chcecie świat:
 Z krasnolicój dziś dziewczyny
 Jutro będzie stary grat.
 A szablica choć starucha,
 Jój narowy przecię znam;
 Jest tatarska przecię jucha
 Do omycia rdzawych plam.

C h ó r.

Nie masz życia jak kozacze i t. d.
 Jednak panie atamanie i t. d.

A t a m a n (wstając).

Dosyc tego, północ blisko,
 Na pagórkach mgła osiada;
 Każdy swoje stanowisko
 Najtroskliwiej niechaj zbada.
 Do roboty towarzysze!

Bądźmy pilni w naszej straży:
 Nie dla żartu hetman pisze,
 Że tam w Krymie coś się warzy.
 Miejcie konie w pogotowiu,
 A obejrzyć spisy życzę;
 Jutro rano w dobrém zdrowiu
 Obejrzymy pogranicze.
(Kozacy klaniają się i odchodzą).

A t a m a n (*sam*).

Arya.

Oni myślą nadaremnie,
 Że kamienne serce we mnie,
 Że gdy szablę cisnę w dłoni,
 To nie tęsknię jak i oni.
 O! i u mnie dusza tkliwa,
 Tylko dola nieszczęśliwa.

Pokochałem dziewczę hoże,
 Pokochany wzajem może;
 Ale ojca pańska pycha
 Pogardliwie mnie odpycha:
 Chociam szlachcic, herb Doliwa,
 Ale dola nieszczęśliwa.

Ukrainę zbiegłem całą,
 Wylewałem krwi niemało,
 I ta czapka atamana
 Za mą chrobrość była dana.
 Hetman bratem mnie nazywa,
 Ale dola nieszczęśliwa.

Gdy mnie pędzi z burzy w burzę
 Święta sprawa, której służę,

Nie mam prawa jako ślepy
 Na łotrowskie wpaść oszczepy:
 Mnie do życia przykowsywa
 Moja dola nieszczęśliwa.

Głos kobiety (za sceną).

Cóż to za gęsty i ciemny las?
 Zkąd się ta luna szerzy?...
 Ludzie! kto żyje ratujcie nas!
 Kto w Boga wierzy!

.

1858—1859. Wilno i Druskieniki.

NATURA WILKA WYCIĄGA Z LASU.

O S O B Y:

ROŚCISŁAW — długoletni aktor.

GŁOS DZIECKA (za sceną).

Rzecz dzieje się w lesie.

*Las — w głębi widać strzelecką chatę — z po za gałęzi drzew przegląda
z daleka miasto.*

Rościsław (ze strzelbą wbiega prędko i ukazując ręką ku miastu).

Ha! już mię nie zobaczysz, miasto ukochane!

Tutaj, w lesie, z naturą i Bogiem zostanę.

Dość być służalcem chwały i złotego cielca...

Ot tę małą lepiankę zajmuję od strzelca

I pocznę insze życie... O dawno już pora!

Nie czekać, aż się słońce schyli do wieczora.

Czas jeszcze wskrzesić w piersiach siłę obumarłą,

Z której mię gwarne miasto niewdzięcznie odarło.

Czas, niechaj spracowane odetchną ramiona,

Precz odemnie ohydna masko histryona!

(Czyni gest jakby zdzierał i rzucał maskę.)

(Usiada na pniu drzewa, zamysłą się i po pauzie mówi:)

Och! pamiętam, pamiętam ten zapal młodzieńczy,

Kiedym wierzył, że sława me skronie uwieńczy,

Garrick, Talma gdy byli moim ideałem,
 Gdy na błękanie niebios ich imię widziałem
 Wypisane gwiazdami—kiedym nieogłędny
 Chciał podlecieć aż do nich—jak meteor błędny,
 Czcząc jak bóstwo Szekspira albo Moliera,
 Gdy czułem, jak ich ogień me piersi pożera.
 Jaki wtedy marzący, jaki byłem czysty!
 Och! nie znacie młodzieńczych urojeń artysty!
 Śmiało—mówiłem—śmiało pójdę po ich drodze!
 Imię unieśmiertelnię i sercu dogodzę.

(Zamyśla się, potem się śmieje ironicznie:)

Cha, cha, cha! i płacz, i śmiech, gdy się w tém roz-
 [patrzę....

Dościłem wreszcie szczęścia, zostałem w teatrze;
 Na głowę rozognioną wspaniałym obrazem
 Jakby z trumny otwartej chłód zawionął razem.
 Tu tłum drobnych zawisci, tłum poziomych celi,
 Nikt młodzieńca nie garnie, nikt go nie ośmieli:
 Zamiast przyprawić skrzydła, by latały chyżo,
 Ściągną cię z nieba marzeń i ku ziemi zniżą.
 Wreszcie gdy dostatecznie duch był wyziębiony,
 Ubrali w szmat purpury, w fałszywe galony,
 I wywiedli na deski napelnionej sali,
 I króla czy tam zbójcę udawać kazali.

(Po pauzie:)

Cha, cha, cha! chciałem każdą przejąć się osobą,
 Bo tu już moich sędziów widziałem przed sobą.
 Publiczność!! wielkie słowo!—śmiały będę, śmiały,
 Chociaż głos trząsł się w piersiach a kolana drżały.
 Grałem... grałem bandytę... i byłem bandytą,
 Oklasku mi nie dano... wieńca nie uwito,
 Odszedłem zapłakawszy.... gdzież tu moja chwala?

Chciałem śmieszyć publiczność—lecz się nie rozśmiała.
 Więc osądzili starsi, że ją głos poruszy,
 Kazano dla niej śpiewać—zatykano uszy.

Do méj zimnej izdebki wróciwszy po scenie,
 Gryzłem ziemię w rozpaczy, ryczałem szalenic;
 Lecz gdy m zbolalą głowę złożył na pościeli,
 Znowu mistrzowie sztuki przedemną stanęli,
 I nieraz we śnie Talma prawicę mi poda:
 „Trudno... trudno, młodzieńcze, lecz wielka nagroda!“

(Usiada na pniu drzewa.)

Ha! nakoniec doszedłem nagrody i łaski,
 Publiczność raz i drugi dała mi oklaski;
 Byłem rad, gdy me imię wołano z zapalem,
 Ale się opamiętał i znów zapłakałem.
 Miałem wiele oklasków! Przejdźmy je kolejną:
 Płaczą nad Rinaldinim, z Hamleta się śmieją;
 Cyd ich nudzi, że długi — Molier nie bawi, —
 Fredry, naszego Fredry widzieć nie ciekawi.
 Nieraz rzekłem do siebie, gdy m otoczon blaskiem:
 Wasz oklask jest szyderstwem, szyderstwo oklaskiem!
 Kto dzisiaj widzi w sztuce powołanie boże?
 Czy dziś Garrick lub Talma urodzić się może?
 Minęły wieki święte hołdujące sztuce...

(Zrywa się.)

Nie chcę was—nie chcę miasta! na zawsze je rzucę!

(Ogląda się w koło siebie.)

Co inszego natura! och, to nie kulisa!
 Jak ta wierzba płacząca do potoku zwisa!
 Jak się wdzięczy ta brzołka pięknie choć po prostu,
 Czuć od niej tchnienie wiosny, nie farbę pokostu.
 Ten strumień, ten wiatr cichy, co szumi po niwie,

To nie nasza orkiestra grająca fałszywie;
 A to rannego słońca między liśćmi drzenie
 To nie lampy olejne, co czadzą na scenie!
 A ten kwiat!—tu mi wszystko uspakaja duszę.
 Nie chcę sceny i na krok już ztąd nie wyruszę.
 Czas odpocząć po trudach—tu i chatka blisko,
 W chacie biednego strzelca najemę przytulisko,
 Pójdę z nim się rozmówić...

(Idzie do chaty i puka w okno.)

Czy gospodarz w chacie?

Głos dziecinny za sceną.

Ojciec prędko powróci, może poczekacie,
 Lecz do chaty nie wolno wpuszczać mi nikogo,
 Bo nasze złe brytany pokąsać was mogą.
 W lesie bez psów nie można—to stróże jedyne,
 A ojciec pewnie wróci na siódmą godzinę.

Rościszta w *(patrząc na zegarek).*

Teraz jest w pół do szóstej... to poczekam sobie.

(Wychodzi na przód sceny.)

A co tam teraz nasi?.. Teraz są na probie.
 Dzisiejsze przedstawienie dość ich namozoli;
 Dam gardło, że Otello nie umie swój roli,
 Bo dramat szekspirowski, to nie bagatela.
 Wróćcie, wróćcie te czasy, gdym ja grał Otella!
 Czarna maska na twarzy, zazdrość w każdym geście...
 Młodociane dni moje, gdzie wy dziś jesteście?
 Pamiętam, zem się kochał.. że pałało łono
 Moją miłością pierwszą, miłością szaloną.
 Zazdrosny jak Otello i mściwy w potrzebie,
 Gdym przebił Desdemonę, przeszedłem sam siebie.
 Teatr drżał od oklasków! A teraz co oni?
 Pan bohater sztyletu nie utrzyma w dłoni;

Słaby, czy się ubieli, czy poczerni sadzą...
 Idę do nich... bo rady bezemnie nie dadzą.

(*Słuchać głos trąbki pasterskiej.*)

Wstrzymaj się, zapaleńcze! Oto wiejska niwa
 Głosem trąbki pasterskiej nazad cię przyzywa.
 A tyś po co do miasta?... a czyż ci nie pora
 Przestać żyć trupiém życiem z rana do wieczora,
 Od nudy śmiać się głośno a ziewać po cichu,
 Lub wypijać bez smaku kielich po kielichu!
 Słuchać miejskiego gwaru, co ci mózg przewraca,
 Albo włożyć na nowo sukmanę pajaca!
 Nie! zostań tu pod cieniem słomianej zagrody,
 Żyj czarnym kęsem chleba i konewką wody,
 Zaprowadź pszczoły w ulach, gołębnik na strzesie...

(*Słuchać z bardzo daleka szczekanie psów i trąbkę myśliwską.*)

Lub weź strzelbę na plecy i zapoluj w lesie,
 Lub idź z pługiem na rolę — praca cię ożywi;
 Spraw zieloną sukmanę, jak noszą myśliwi!

(*Po chwili:*)

Tak! zielona sukmana pamiętną zostanie:
 Grałem niegdyś *Freischütza* w zielonej sukmanie,
 Grałem w *Huzarach* Fredry, to wszystko nie fraszka,
 W *Doktorze Medycyny* grywałem wujaszka.
 Te zielone sukmany — przypominam sobie,
 Widzę je rozwieszzone rzędem w garderobie.
 Grzmiały liczne oklaski i w krzesłach i w łoży,
 O zielone sukmany! któż je po mnie włoży?
 Raczęj wioski i lasu wyrzeknąć się wolę,
 Pójdę grać w tych sukmanach — bo to dobre role...

(*Opamiętują się.*)

Wabi cię histryońska zielona sukmana, —
 Ha! wszakże i ta puszcza zielono ubrana!

Ostre zielone kolce na jodle lub sosnie,
 Ale ten najostrzejszy, co do serca wrośnie.
 Chcesz westchnąć, by wyrazić dolę czy niedolę,
 To ci w serce ukąsi jakby żądło pszczole.
 Ha! i z tym ostrym kolcem, co mi pierś miał przeszyć,
 Trzeba było na scenę iść i ludzi śmieszyć,
 I nieraz igrać w piersiach ze śmiertelną raną,
 I wykrzywiać do żartów twarz łzami zalaną...
 Z czasem się wyuczyłem téj sztuki kuglarzy:
 Nigdy łzy nie popsuły bielidła na twarzy,
 A kiedy się uśmiecham — gdy wesołość kłamię,
 Nie obmyły rumieńca kupionego w kramie.
 W témże całe zadanie — w tém tryumf artysty,
 Poświęcić dobru sztuki swój ból osobisty.
 Tak się idzie do chwały nieśmiertelnych celi, —
 A czyż wielcy mistrzowie jak my nie boleli?
 Wielkość ludzka zależy na dźwiganiu krzyża,
 Jednego boleść wznosi, drugiego poniża.

(Po pauzie:)

I ja krzyż mój dźwigałem — niech mnie teraz wzniesie,
 Nie tam pomiędzy ludźmi, ale tutaj, w lesie,
 Gdzie się jakaś zbawienna tajemnica chowa,
 Gdzie z Bogiem i naturą łatwiejsza rozmowa,
 Gdzie, jak Szekspir powiada...

(Zamyślony usiada znowu na kłodzie.)

Tak Szekspir powiada,
 To był wielki filozof, poeta nielada;
 Ale wcielić się sobą w jaką jego postać,
 Kolosalnym Otellem lub Hamletem zostać,
 Przeznac geniusz mistrza, by z potęgą całą
 Oddać jego utwory! — to i życia mało!
 A ja chciałbym w pół życia rzucić sztukę wzniosłą!

Więc cała moja przeszłość, to było rzemiosło,
 Więc gdybym się innego pochwycił za młodu,
 Dziś miałbym więcej szczęścia — i więcej dochodu??
 O! nie—dajcie mi pieniądź—ja go wam odrzucę,
 Nie chcę szczęścia—jeżeli nie znajdę go w sztuce!
 Jednej pragnę nagrody za mój zawód cały:
 Skonać na deskach sceny, wśród oklasków chwały.

(*Wstaje.*)

Sława!... co to jest sława?.. dym... bańka mydlana,
 Dzisiaj głośna u świata, jutro zapomniana,
 Błahe cacko dla dzieci,—a jednak rozżarza
 Bohatera do cnoty, do zbrodni zbrodniarza.
 Dla niej, ażeby sławne zostały imiona,
 Herostrat kościół pali — Milcyades kona,
 Napoleon traci hufce wśród śnieżnych zamieci,
 A nędzny wierszokleta epopeję kleci;
 Nawet skoczek na linie po wawrzyny sięga...
 W sławie jest ludzka śmieszność i ludzka potęga.
 Lecz, jak mówi poeta — jest pocziwa sława,
 Co nam skrzydła umacnia, pierśmiom głos nadawa,
 Co nas po to ognistym promieniem ogarnie,
 Byśmy w drogach ludzkości stali za latarnie,
 Nasz wiek, naszą społeczność mieli pod swą wodzą...
 Lecz tacy sławni ludzie wiekami się rodzą,
 Z promieni nad ich głowy nam choć po iskierce
 Godzi się dla nas żądać — tylko podłe serce,
 Tylko dusza w poziomych uczuciach skarłała,
 Takięj dla siebie sławy nigdy nie zachciała.
 Ale czuję, że we mnie Bóg inną wlał duszę:
 Ja chcę pocziwój sławy! — i sławnym być muszę!

(*Uderza się ręką w czoło.*)

Za późno... marzycielu zbyt zarozumiał!

Idź raczej teraz płakać na grób twojej chwały,
 Na grób tego, coś kochał—a chcesz odżyć dzielniej,
 To chyba w ciemnym lesie—to chyba w pustelni...
 Lecz czy nie wrócił strzelec?—zapukam do chaty.

(Puka w okno.)

Głos dziecka *(za sceną)*.

Nie pukajcie daremnie, jeszcze niema taty,
 Powróci aż pod wieczór.

Rościszław.

Moje dobre dziecię,
 Powiedz mi—na tej puszczy z czego wy żyjecie?
 I czy wam tu wesoło?...

Głos dziecka.

Ojciec lasu strzeże,
 Albo w rzece na rybę zastawia wędzienie;
 Więc mamy trochę gręszka, mamy kawał chleba,
 Jest mleko z naszych krówek—czegoż więcej trzeba?

Rościszław.

Poetyczna prostota! to dziecię nie kłamie.
 Chciałbym widzieć tę chatkę w jakiej wiejskiej dramie.

(Odchodzi na przód sceny i rozpatruje do koła.)

W środku byłaby chata z tą drewnianą ławą,
 A tenbym dąb umieścił w kulisie na prawo,
 A ten ul ze pszczołkami!! efekt od parady!
 Jużby nasz dekorator dał sobie z nim rady.
 Rzuciłby tony zimne, a potem gorętsze,
 Można by z tego Okno dać na pierwszym piętrze.
 W drugim akcie pasieka—wyborny ul pszczoli.
 Raz pamiętam... w tej sztuce nie umiałem roli.
 Człowiek ciągle się miesza, ciągle bąki strzela,
 A sufler jakby na złość upił się jak bela.

Nadstawiam pilnie ucha, mrugam nań ukosem,
 A on ni w pięć ni w dziewięć coś mruczy pod nosem.
 Położenie fatalne! — jak nieczęsto bywa!
 Kiedy mi niespodzianie przyszła myśl szczęśliwa,
 A w roli byłem hrabią, co niby w podróży,
 Więc udaję znużenie, siła mi nie służy...
 A zresztą kołysany myślami sprzecznemi,
 Zamiast usiąść na stolku — kładę się na ziemi,
 I sekstern z rąk suflera wyrwawszy otwarty,
 Calutką moją rolę odczytałem z karty.
 Gestykuluję silnie, deklamuję żwawo:
 Publiczność nie postrzegła i dała mi brawo!
 I czy jedna przeszkoda!! — ja miałem ich tyle!
 Miło czasem przypomnieć te pocieszne chwile.

(Uroczyście:)

O! to życie na scenie, to jak wieczne gody,
 Życie czynne, braterskie a pełne swobody,
 Życie ciągłej nauki, niewieńczone chwałą,
 Co nie da zdrzemać sercu, by rozleniwiało.
 Czyż ja dla spokojności to życie poświęcę?
 Mam gnuśnieć w dzikim lesie opuściwszy ręce?
 To byłaby niewdzięczność — niewdzięczność obrzydła
 Względem sztuki, co wzięła pod swoje mię skrzydła;
 Względem braci, z którymi zjadłem beczkę soli
 I przeżyłem lat tyle doli i niedoli;
 Względem mistrzów, com niegdyś przedstawiał ich
 [dzieła,
 I względem publiczności, co mi przyklasnęła!
 Nie! nigdy! Skonam raczej.

(Chce śpiesznie odchodzić.)

(Waha się.)

Dobrze się zastanów!

A więc idziesz, szaleńcze, w ten tabór Cyganów,
 Co się nazwał świątynią — u której ołtarzy
 Już święty ogień sztuki dawno się nie żarzy?
 Idziesz do towarzyszków, co zimni, nieczuli,
 Nieraz cię intrygami i waśnią zatruli?
 Idziesz do publiczności na jój niewolnika,
 Co cię dzisiaj przywoła, a jutro wysyka,
 Co staremi przesady napojona z wieka,
 Przykłaśnie aktorowi, lecz wzgardzi w nim czleka?...
 Nie! nigdy! skonam raczej w tym odludnym borze.

Głos dziecinny z chaty.

Ojciec z miasta powrócił!

(Słychać z daleka bicie zegara.)

Roścista w (zrywa się).

Siódma! czy być może!

I w teatrze już grają — nieznośni partacze!
 Otella w pierwszym akcie już dziś nie zobaczę.
 Pośpieszmy!... prędkiej... prędkiej, może się dogoni.

(Zwraca się do chatki:)

Bądź zdrowa! tyś nie dla mnie, lesista ustroni!
 Na moje stanowisko jak żołnierz powrócę,
 By służyć publiczności i hołdować sztuce.

1859. Wilno.

MARKO.

UŁAMEK.

A K T I.

Wnętrze obszernej wiejskiej chaty — pali się na kominie.

Oksana (sama u kądzieli).

Przędź się kądziałko! przędź się lnie mój biały!
Jak długą nitkę wysnuję z twój brody,
Tak długą dumką ten świat boży cały
Chciałabym osnuć... O duchuż mój młody!
Czemu jak przędza, tak i dumka rwie się?
Razby do Boga ulatywać rada,
Albo się błąka po sosnowym lesie,
Lub do matczynój mogiły przypada,
Że czasem płakać byłoby najmilėj.
A czegoś bywa, że tak serce pali,
Ludzie tę dumkę kochaniem nazwali,
Różne piosenki o tém ułożyli.
A już doprawdy jestem narzeczoną,
Kocha mię Prokop... dobre z niego chłopię;
Ale te dumki, co mi w sercu płoną,
Te lepsze dumki—nie są o Prokopie.

Co o nim dumać? że mi rękę poda?
 Że tutaj przyjdzie od czasu do czasu?
 Przędź się kądziałko, przędź się siwobroda,
 Dosyć tych dumek...

(Słychać pukanie do drzwi.)

Ot i ojciec z lasu.

S C E N A D R U G A.

OKSANA i MARKO.

M a r k o *(stawiając strzelbę).*

Zmokłem do nitki.

O k s a n a.

Dalekoście byli?

Już mi tu bez was dokuczyła przędza.

M a r k o.

Aż za moczarem o półtoręj mili.
 Jakieś mi licho zwierzynę rozpędza.
 Jest dzięki Bogu i dzików, i łosi,
 Zwykło to ciągnąć do Szwedzkiego wału;
 Lecz tak się licho w głąb kniei unosi,
 Żem nie dał nawet do sarny wystrzału.
 A człowiek niezdrów, a tu zła pogoda.
 Stado żurawi leciało rozłogiem,
 Lecz myślę sobie... tylko prochu szkoda,
 Licha zwierzyna... lećcie z Panem Bogiem!
 A cóż wieczera? bo głód już potęra.

O k s a n a.

Gotowa dawno, zaścielę nakrycie.

(Zaściela obrus na stole.)

Jest trochę rydzów, jest kawał zająca,
 Jest kasza z jagły, którą wy lubicie.

M a r k o (*zasiadając*).

Przeżegnaj Boże! Zaczniemy od kaszy;
A twoich rydźów niebardzo mi chce się.
Nie chodź po rydze, bo tu w stronie naszej
Konfederaci błakają się w lesie.
Nasz księżę Karol stoi na ich czele.
Gdzieś tutaj krwawa działa się robota,
Pobito szlachty, jak słyszałem, wiele,
Reszta na Wołyn ciągnie przez te błota.

O k s a n a.

Konfederaci!.. to jakiś półk duży...
Słyszałam o nim wiele rozhovorów.

M a r k o.

Szlachta, co w wojsku z księciem panem służy,
Z Radziwiłłowskich zaścianków i dworów,
Jest tam różnego ludu co niemiara,
A jeszcze w każdej przybywa go chwili.
Już to, jak mówią, księżę pan się stara,
Aby nikomu krzywdy nie czynili;
Lecz zbiór drużyny, któż się zabezpieczy?

O k s a n a.

Niech Matka Bozka zachować nas raczy!

M a r k o.

Gorsze mi w wiosce powiadano rzeczy,
Że tabór tutaj snuje się kozaczy.
Słyszę nad Szczarą napadali wioski,
Spalili sterty, zrabowali dwory.
Ho! ho! Poleszuk z Opatrzności bożkiej
Ma się gdzie schronić jakby mysz do nory.
Od czegoż lasy. oczerety. błota?

Schronim dobytek i schronim się sami.
 Lecz bardzo krucha może być robota,
 Jeśli się pastwić zechcą nad wioskami,
 Brać nam ze stodół lub ze sterty zboże,
 Lub palić domy, gdy im nie dopisze.

Oksana.

Ratuj nas, ratuj miłosierny Boże!
 Matko Najświętsza! co ja biedna słyszę!

Marko.

Może tam zresztą naród bałamuci
 I sam na siebie szerzy postrach głuchy.
 Będzie wiadomo jak arendarz wróci,
 Króry do miasta ruszył na podsłuchy.

SCENA TRZECIA.

CIŻ i PROKOP.

Prokop.

Dobry wam wieczór! Wy jeszcze nie śpicie?
 Czołem wam ojczu! Oksana czy zdrowa?

Marko.

Cóż ty tak późno?

Prokop (*przerażony*).

Ot wiadome życie,
 Ledwie na karku została się głowa.
 Złe ojczu Marko! złe słyhać na świecie!
 Pierwszy raz w życiu widzą oczy moje...

Marko.

Cóż się tam stało?

Prokop.

To wy nie nie wiecie?

Konfederaci, Kozacy, rozboje,
 Była potyczka przy smołowej budzie,
 Jak się polanka czarny bór poczyna.
 Ja nie widziałem, lecz mówili ludzie —
 Byłże tam, słyszę, huk i rąbanina!
 Kto kogo pobił niepewna wiadomość,
 Czyli Kozacy, czy konfederaty —
 To tylko pewna, że ksiązę jegomość
 Zaraz do waszej zajawi się chaty.

Marko.

Ksiązę jegomość??

Oksana.

Sam ksiązę?

Prokop.

Sam ksiązę.

Czyż nie ciekawą nowinę wam głoszę?
 Obszedłszy ostęp do domu już dążę,
 I zmordowany, i głodny po trosze,
 I myślę sobie: Ot jak źle na świecie,
 Kto nie ma żony, co na niego czeka!
 Najemna ręka choć chatę zamiecie,
 Choć poda kaszę, albo miszkę mleka...
 To coś niechętnie do chleba się bierze,
 To coś i pokarm człekowi niemiły...
 Inaczéj pewnie spożyłbym wieszczkę,
 Gdyby Oksany rączki ją zrobiły...
 Jak Boga kocham, to tak pomyślałem,
 Bo ja Oksano na prawdę cię lubię.
 Podaj mi rękę, spojrzysz oczkiem całém.
 Ach! żeby prędzej mogło być po ślubie!

Oksana.

Puść mię Prokopie.

Marko (*niecierpliwie*).

No! ale cóż książę?

Prokop.

I zapomniałem po co tu przychodzę!
 Otoż powiadam.... na spoczynek dążę,
 Wtém kilku szlachty spotykam na drodze.
 W rogatych czapkach, z szabłami przy boku,
 Tną tęgim kłusem aż się ziemia kurzy;
 Każdy prócz tego miał kopię w toku,
 Burkę przez plecy jak zwykle w podróży.
 — „Hej, krzykną, chłopie, a czyje to knieje?“
 Ja odpowiadam, że to księcia pana.
 — „Ty sam zkąd jesteś?“ — „Z Moczar dobrodzieje!“
 Powiadam, pokłon dając po kolana.
 A oni na to: — „Dalekoż Moczary?“
 A ja im na to: — „Ze dwie mile drogi,
 „Ale tu bliżej mieszka strzelec stary,
 „Marko Zapuda, człowiek choć ubogi,
 „Potrafi dać wam nocleg doskonale,
 „Po Wielkiejnocy mym teściem zostanie.“

(Do Oksany:)

Bo ja Oksano gdzie mogę się chwaleę,
 Jakie mię z tobą czeka królowanie.

Marko.

Gadajże prędzej...

Prokop.

A wtém z po za krzaku
 Jakieś panisko przysadzisto wali.
 A Jezu Chryste! na siwym rumaku

Cały w sobolach, we złocie, we stali,
 Dopędził szlachtę, wyrównał się przedział.
 — „Panie kochanku!“ głośno do nich powie.
 „Panie kochanku!“ jak on to powiedział
 Tak mię po skórze i przebiegło mrowie.
 Wszak to sam książę!... A on u nich pyta:
 — „A co? jest nocleg? są tu leśne strażę?“
 A oni na to: „Chata już odkryta,
 „Ten dobry człowiek drogę nam pokaże.“
 Książę mię zmierzył od stop aż do głowy,
 Powiedział: — „Dobrze! prowadź panie bracie!“
 Więc przez rzeczułkę, przez gęste parowy
 Oto przy waszój stanęliśmy chacie.

M a r k o.

Jakto Prokopie! więc książę na dworze,
 Ty prawisz baję, a tam książę czeka?

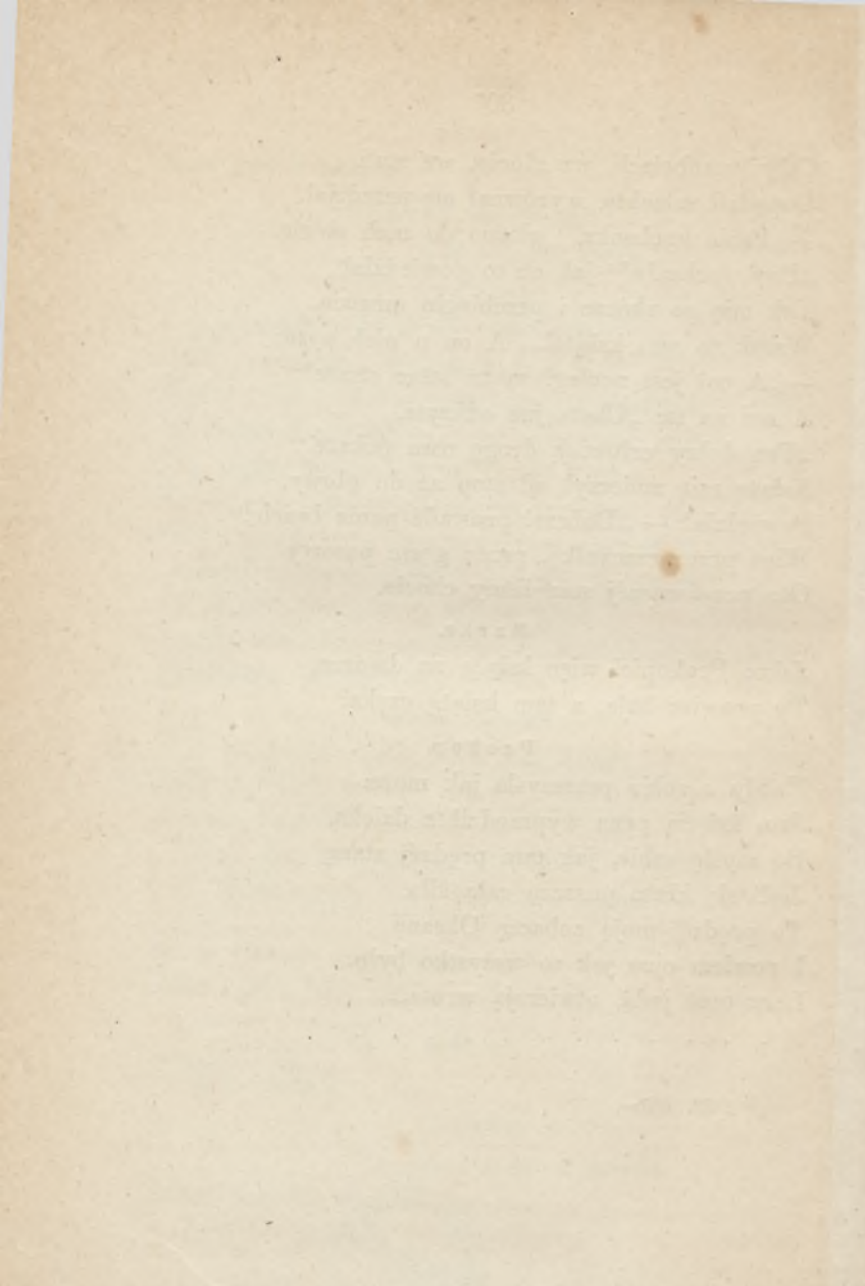
P r o k o p.

Każdy o sobie przemyśla jak może:
 Jam księcia pana wyprzedził z daleka.
 Bo myślę sobie, jak tam prędzój stanę,
 Jeśli się klusa puszcze całą siłą,
 To prędzój moją zobaczę Oksanę
 I powiem ojcu jak to wszystko było.
 Lecz otoż jadą, otwierają wrota....

.

1859. Wilno.





PRZYPISY.

STR. 3. Hrabia na Watorach.

Pomimo napisania już przedtém *Chałki w lesie*, Kondratowicz uważał obecne dzieło za pierwszą swą pracę dramatyczną, i tak też ją dedykował: „Panu Józefowi Korzeniowskiemu, autorowi *Karpackich Górali, Żydów* i t. d., tę pierwszą dramatyczną próbkę poświęca Władysław Syrokomla.“ Jakkolwiek utworowi nadano koloryt historyczny, postaci w nim wyprowadzone są płodem fantazyi autora, z wyjątkiem Stanisława Pachołowieckiego, który jest osobą historyczną i z historyczną też ściśłością odmalowaną. Bartosz Paprocki pisze o tym Pachołowieckim: „Za wieku mego był Stanisław pisarzem w kancelaryi większej za panowania króla Stefana. Ten za wielkim dowcipem i godnością, odnowił i podniósł sławę przodków swoich najprzód *virtute*, potem *calamo et armis*. Chował się z młodych lat swoich na dworach przedniejszych w Koronic, wszędy się tak zachowywał z kąd pochwałę odnosił, pisał trzydzieści pismem jedno od drugiego różne, potem w potrzebach z różnemi narody wiele a mężnie czyniwał, z Turki, z Tatary etc. w każdej potrzebie znacznym się pokazł. (*Herby* wyd. Turowskiego, pod klejnotem Równia, str. 668). W inném znów miejscu, mówiąc o powodach nadania mu nowego herbu, dodaje: „W wielu inszych potrzebach przedtém z młodości prawie swojej znacznych bywał, w Wołoszech naonczas gdy Bogdana Mikołaj Mielecki, wojewoda podolski wprowadzał poczem niewielkim, a na wielkość Wołochów, Turków, Serbów, Greków z nimi przyszedł. Tam się znacznym ten przerzeczony Stanisław Pachołowiecki pokazywał. Wielka godność jego na każdym miejscu i w każdej potrzebie jego cnotę i dowcip okazowała i zalecała.“ (*Herby* pod klejnotem *Pskowczyk* str. 279.) Paprocki przytacza w oryginale łacińskim wspomniany w komedyi obszerny dyplom Stefana Batorego datowany w Pskowie d. 10 września 1581 r., oraz przytoczone także w komedyi świadectwo rotmistrzów i inszych ludzi rycerskich dane Pachołowieckiemu (str. 275 et sq.). Wyjątki z obu tych dokumentów w przekładzie polskim załączył Kondratowicz do pierwszego wydania tego utworu.

Hrabia na Watorach po raz pierwszy wyszedł w osobnej książce w Wilnie 1856 r., drukowany czcionkami A. Marcynowskiego, bez wymienienia na tytule głównym nakładcy, którym była firma tameczna Rafałowicza. W chwili drukowania toczyły się gorące układy o odprzedzą między nabywcą tego utworu a wspomnianą firmą, i to było powodem opuszczenia nazwiska nakładcy. Wystawienie tej sztuki na teatrze wileńskim, pomimo starannej gry szczególnie Józefa Surewicza w roli tytułowej, całkiem się nie powiodło. Tak zwana arystokracja miejscowa, nie zważając na protestacye autora w przedmowie, przeniesienie nowej zasługi w osobie Pachołowieckiego nad przechwałkę z zasług przodków wzięła za przymówkę do siebie, i nie chodziła do teatru. Ponieważ zaś na teatrze tamecznym był to zwykle kontyngens najważniejszy dla kassy, sztuka więc upaść musiała. Daleko lepiej powodziło się *Watorskiemu* na scenie warszawskiej, pokąd go nie usunięto z repertuaru. Od 10 sierpnia 1856 do 24 września tegoż roku wystawiono go ośm razy. Występowali w tej sztuce: pani Bakałowiczowa, pp. Rychter, Panczykowski, Damse i Stolpe, między którymi zwłaszcza ostatni w roli Pachołowieckiego najrzędsze odbierał oklaski.

STR. 18. Pieczętował się Noe jeszcze w swojej łodzi.

Nie jest to bynajmniej poetycka przesada, lecz rys charakterystyczny wieku, do którego odnosi się komedia. Paprocki nie żartem powiada: iż „Valerius Anselmus Ryd dowodzi dawnymi historyki, jako Berozem i Mojżeszem, że *Noe* zaraz wyszedłszy z korabia, używał na znak zwierzchności sceptrum albo laski królewskiej między dwiema kluczami“. Zamieściwszy obok tego wizerunek herbu Noego, dalej podaje opisy i wizerunki herbów *Sema*, *Chama*, *Ozyrysa*, *Izydya*, *Neptuna* i t. d. (*Herby* wyd. Turowskiego str. 50 et sq.).

STR. 50. Piękny herb... patrzcie tylko etc.

Pachołowiecki rzeczywiście używał przedtém innego herbu skromniejszego zwanego Równia, nim za zasługi wojenne otrzymał od Batorego nowy wielce buńczuczny, z pawiami ogony, wieżami i chorągiewami, z godłami Zamojskiego i samego króla Stefana. Opis w tekście zrobiono podług wizerunku u Paprockiego.

STR. 55. Kalejdoskop jarmarkowy.

Ogłoszono po raz pierwszy w tomie V. *Gawęd* 1857 r. Utwór ten pierwiastkowo był napisany bez chórów, co odejmowało mu wiele żywości; inny też był szyk osób występujących po sobie.

STR. 62. Ot co w gazecie!

Po tym ustępie, idzie w rękopiśmie następujący całkiem opuszczony w druku:

Dama z prowincyi.

Ja ci szczerze wyznać muszę,
 Że mój mąż jest z rzędu skner.
 Są prześliczne kapelusze,
Mais c'est trop cher, c'est trop cher!
Imaginez! są trzy pióra,
 Żółte, białe i czerwone.
 Jeśli podkupi mię która,
 Ze wstydu spłone.
 Boże mię skarż,
Que ce plumage,
 Ze taki strój,
 To kolór mój!
 Lecz jeśli mąż
 Uparty wciąż
 Ceni mamonę,
 Ze wstydu spłone.

STR. 65. Zagram każdemu z osobna.

Waryant: A ja każdemu z osobna
 Walca zakręcę.
 Młody i stary
 Płaczcie się w pary
 Puśćcie krok szczery
 Raz, dwa, trzy, cztery.
 Wiwat swoboda!
 A kto mi poda
 Trzy grosze w ręce,
 Walca zakręcę.

Po tym waryancie następuje w rękopiśmie ustęp opuszczony
 w druku:

Mnich.

Chrześcian zacna gromada!
 Od was ratunek jedyny.
 Nasz klasztor w gruz się rozpada,
 W murach pękają szczeliny.
 Niech pan dar z grosza uczyni,
 Kmiołek da prace codzienne;
 Za każdego Bernardyni
 Spieją nowennę.
 Każdy z kolei
 Za dobrodziei
 Prawiąc mszę świętą
 Zmówi *memento*.
 Wybiegi próżne—
 Serca kamienne,
 Dajcie jałmużnę
 Choć za nowennę.

STR. 66. Zatlę skry pa ne.

Waryant: Gdzie prawda czysta?
 Socyalista
 Czy demokrata
 Najwyżej lata?
 Czy z własnej temy
 Jak my nie wiemy
 Bóg postęp skleci
 W imię idei?

STR. 66. Wielec ciekawa będzie rozprawa.

Tu miał pójść niedokończony w rękopiśmie ustęp:

Właściciel menażeryi.

Héj panowie! tu są klatki,
 A w téj klatce jest zwierz dziki;
 A egzemplarz każdy rzadki
 Z Ameryki i z Afryki;
 Jest lew, tygrys i hyena,
 Sęp, co lata pod niebiosą.
 A za wszystko mierna cena:
 Złoty od nosa!

STR. 68. Przedałem szkapę z ułogą.

Ułoga— prowincjonalna nazwa pewnej choroby koni, podobno chronicznego zapalenia stawów, skutkiem czego koń po wycopcznieniu kulceje, lecz przepędzony nieco kuleć przestaje. Można go więc sprzedąć za zdrowego.

STR. 71. Franciszek z Assisu.

Zamieszczono najprzód w 1-m tomie *Teki Wileńskiéj* 1857, następnie wydrukowano w osobnej broszurze nakładem R. Rafałowicza (Wilno 1858), z dwiema eterycznymi rycinami E. Andriollego. W przedmowie do osobnego wydania Kondratowicz tak opowiada powstanie tego utworu: „W życiu Św. Franciszka z Assisu, które skreślił Fryderyk Ozanam, jako studyum służące do wyjaśnienia *Bożkiej Komedyi* Dantego, znaleźliśmy rzewny a pełny wysokiej poezyi obrazek walki na pieśni natchnionego duchem bożym Wyznawcy ze słowikiem. Przedmiot zapalił nas w jednej chwili. Z natury swojej domagał się oratoryum, kantaty, słowem jakiego bądź muzycznego wyśpiewania. Pośpieszyliśmy w ten moment zakommunikować go naszemu znakomitemu Stanisławowi Moniuszce; a zapał, z jakim zacny maestro myśl naszą przyjął i podzielił, tém goręcej wpły-

nał na nas, tak, żeśmy obecną kantatę tchem jednym napisali. Nim publiczność pozna i oceni utwór muzyczny St. Moniuszki, do którego się zabierał, dajemy na widok publiczny nasze libretto, tём ufniejsi w pobrażaniu czytelników, iż każdy dostrzeże, jak trudno było podołać wielkiemu przedmiotowi.“

STR. 87. Kasper Karliński.

Wypadek historyczny, który posłużył autorowi do osnucia obecnego dramatu, tyle jest znany, iż nie potrzebujemy nad nim szeroko się rozwodzić. Wykonanie przez kanclerza Jana Zamojskiego wyroku śmierci na bannicie Krzysztofie Zborowskim, zasiało straszliwą nienawiść między potężnymi domami Zamojskich i Zborowskich. Po śmierci Stefana Batorego nienawiść ta do najwyższego spotęgowana stopnia, wystąpiła na sejmie elekcyjnym 1587 i doprowadziła do jednoczesnego wyboru dwóch królów: Zygmunta królewicza szwedzkiego przez większość przychylną Zamojskiemu, i Maksymiliana arcyksięcia austriackiego przez mniejszość trzymającą ze Zborowskimi. Maksymilian wszedł zbrojnie do Polski, i popierając orężem swój wybór, posunął się aż pod Kraków, którego jednak nie zdobył; aż w końcu klęska pod Byczyną w styczniu 1588 i wzięcie samego Maksymiliana do niewoli położyły koniec jego roszczeniu, a Zygmunt III utrzymał się na tronie. Jednym z ustępów tej walki z Maksymilianem była bohaterska obrona Olsztyna przez Kaspra Karlińskiego herbu Ostoja. Przebieg jej wiersznie opowiedziano w samym dramacie, z tą jedynie różnicą, że syn Karlińskiego był niemowlęciem, tutaj zaś z powodu wymagań scenicznych wystawiony jest jako pacholę. Przed Kondratowiczem brali natchnienie z tego wypadku Stefan Witwicki i Aleksander hr. Fredro. Pierwszy napisał balladę: *Kasper Karliński czyli oblężenie Olsztynu* (tak), drukowaną w *Rozm. Warsz.* 1824; drugi w *Haliczanie* 1830 ogłosił ustęp dramatyczny: *Obrona Olsztyna*, który podobno jest ułamkiem dramatu znajdującego się w rękopiśmie.

Akt pierwszy dramatu Kondratowicza p. t. *Karlińscy* ogłoszony był w *Gaz. Warsz.* 1858; całość pod zachowanym tutaj tytułem wyszła tegoż roku w Wilnie nakładem R. Rafałowicza (druk Rosensona). Na scenie wileńskiej wystawiono *Karlińskie* po raz pierwszy dnia 16 (28) stycznia 1858, i z wielkim powodzeniem niejednokrotnie powtarzano. Główniejsze role grali: Karlińskiego B. Nowiński, Doroty Markowska, Zygmunta Nowińska, Pieniżka Karabanowicz, Stadnickiego Lesser, Czachrowskiego Deryng, Zborowskiego Surewicz, Bieniasza Chelmiński, Martę Lewicka.

STR. 88. Czwarty i piąty syn poszedł na męki.

Księgi Wtóre Machabejskie rozdz. VII.

STR. 105. Oto przychodzi p. Adam Czachrowski.

Czachrowski, albo raczej Czahrowski, rycerz i poeta, jest postacią historyczną. Przy gorącym i nieco awanturycznym charakterze, będąc pokrewnym Jana Zamojskiego, trzymał jednakże przeciwko niemu a za Maksymilianem, służąc w rocie Stanisława Stadnickiego. Czy był istotnie pod Olsztynem, nie wiadomo. W dramacie występuje jako starzec; rzeczywiście jednak w r. 1587 był jeszcze młody, gdyż usprawiedliwiają się później w książce swojej przed Zamojskim, składa winę na „nicunozoną młodość.“

STR. 115. Najwyższy Panie, mocny Hetmanie.

Urywek natchnionej pieśni pobożnej, znajdującej się w starzych Kantyczkach i w zbiorze ks. Szymona Bielskiego, a zaczynającej się od słów: Boże łaskawy! przyjmij płacz krwawy, etc.

STR. 138. Wiejscy politycy.

Wyjątek p. t. *Wiejski polityk* ogłoszono w *Gaz. Warsz.* 1857; całość pod obecnym tytułem wyszła w Warszawie nakładem S. Orgelbranda 1858 r. (z datą 1859). W Warszawie *Wiejskich polityków* grano razy cztery w październiku 1858 r. Występowali w tej sztuce: panna Dutkiewiczówna, pani Bakalowiczowa, pp. Rychter, Chęciński, Chomanowski, Ostrowski i Trapszo. Rychter i Chomanowski byli bardzo dobrze przyjmowani przez publiczność, podobnież Ostrowski i Trapszo; pierwszeństwo wszakże we względach widzów miał Chęciński w roli Wójta. W Wilnie po raz pierwszy wystawiono w październiku 1859 r.

STR. 141. W nałogu zaprzedanym za pieniądz etc.

War.: Pan sprzedał jego nałóg za pieniądz kramarza;
Bez własności... bez woli... bez nauki świętej,
Ciągąc jarzmo ucisku, Paryas wyklęty,
Jak on będzie pracował? jak będzie się modlił?
Kazano mu się spodlić—przecież się nie spodlił.
— Mój Boże! co on gada? etc.

STR. 142. I uważasz... Hiszpanów na cuhunder biorą.

Cuhunder—na Litwie, odpowiada mniej więcej warszawskiemu: „wziąć na kawał,“ zażyć z mańki.

STR. 144. Jak wiesz pod allegoryą pisze Marcinowski.

Antoni Marcinowski, autor kilku dzieł różnej treści, był przez lat przeszło dwadzieścia redaktorem *Kuryera Wileńskiego*.

STR. 145. Łatwo w kłopot, a kłopot sakiewkę wy-
cienczy.

War.: Broń Boże ktoś te słowa powtórzy w urzędzie,
To przyjedzie asessor, ot i śledztwo będzie,
Pęknie mi z tysiąc złotych z tej promiennej tęczy.
—Przepraszam cię etc.

STR. 146. A ty jeśli się ważysz, żmijo jadowita.

War.: Nie pozwalaj, by żmija krwi ludzkiej niesyta
Miała go prześladować...

STR. 165. Idźmy, panie Serwacy.

W tém miejscu i w kilku innych w pierwszym wydaniu przez
omyłkę niektóre wiersze Podkomorzego włożono w usta Sędzi-
go i odwrotnie.

STR. 187. Nic ważnego... podrady, sprzedaż.

Podrad—techniczny wyraz rossyjski: dostawa dla wojska i t. p.

STR. 187. Za dług banku, podatek, za peny.

Poena—po łacinie: kara. Używano tego wyrazu w technicz-
nym znaczeniu kary pieniężnej za niewypłatę w terminie nale-
żności rządowej.

STR. 200. Wyrok Jana Kazimierza.

W źródłach znajdujących się u nas pod ręką nie umieliśmy
znaleźć szczegółów, na których osnuto ten dramat „historycz-
ny.“ Za tło historyczne służy tu najazd na Polskę króla szwedz-
kiego Karola Gustawa w r. 1655 i następnych. Drukowano ten
dramat najprzód w *Gaz. Codziennój* a następnie w osobnej książ-
ce w Warszawie w zakładzie Józefa Bergera, nakładem H. Na-
tansona, 1859 (1860). Kiedy był zamiar wystawienia go na sce-
nie wileńskiej, Kondratowicz na żądanie owoczesnego dyrektora
tej sceny p. Kazimierza Szlagiera przerobił jego zakończenie na
znacznie efektowniejsze i odpowiedniejsze wynikłościom chara-
cterów działających postaci oraz nieubłaganej sprawiedliwości
artystycznej. Nie mając tego przerobienia pod ręką, z żalem
dać go tutaj nie możemy; mamy jednak uzasadnioną nadzieję,
iż za sprawą p. Szlagiera będziemy je mogli zamieścić w dodat-
ku. Ten dramat Kondratowicza nie był wystawiany na scenie
w całości; tylko wyjątki z niego grano w Wilnie.

STR. 211. Da nam sturęczną siłę Bryareja.

Bryareasz— w mitologii klassycznej, syn Tytana i Ziemi, z pięćdziesięciu głowami i stu rękami.

STR. 229. Et robur et aes circa pectus erat.

„I dąb i miedz na piersiach były“. W inném miejscu (str. 211) tę samą przenośnię Kondratowicz kładzie w usta Czarnieckiego po polsku: „Dębem i miedzią trzeba okuć serce“.

STR. 230. Wody hyblejskiej, z Kastału, z Parnasu,

Hybla góra w Sycylii, słynna w starożytności z doskonałego miodu.

STR. 243. A my tu żywot prowadzim beczynny.

Brak dwóch wierszy.

STR. 245. Pan Jan Zamojski ze Szwedem się brata.

W pierwszém wydaniu przekształcono na *Zamecki*. Mowa tu o wnuku sławnego kanclerza Janie Zamojskim i ostatnim w prostej linii jego potomku. Karol Gustaw po nadaremném obleganiu Zamościa w r. 1656, usiłował skłonić Zamojskiego na swoją stronę, obiecując mu udzielne księztwo lubelskie. Zamojski odrzucił poszepty, i Szwedzi z niczém odeszli. To co mówi królowa w tekście, iż na utrzymanie Zamojskiego w wierności na sposób w osobie Maryi Kazimiry d'Arquien, jest faktem historycznym. Podeszły Z. mojski w roku 1658 zaślubił przyszłą „sercem najukochańszą Marysienkę“ Jana Sobieskiego.

STR. 265. Królową naszą niech odtąd zostanie.

Fakt historyczny. Piękne wotum Jana Kazimierza, w którem między innemi ślubował „uwolnienie stanu włościańskiego od wszelkich ucisków“, podaje Kochowski (*Klim.* II ks. 2).

STR. 270. Być w Częstochowie za trzy dni najdalej.

Brak dwóch wierszy.

STR. 275. Bohdan.

Ogłaszamy z rękopismu przyjaźnie nam nadesłanego przez p. Faustyna Łopatyńskiego, który do tego libretta miał pisać muzykę z tematów ludowych ukraińskich. Okoliczności rozdzieliwszy autora z kompozytorem, położyły koniec zamiarowi. Warunki muzyczne widocznie krępowały Kondratowicza w pisaniu tego utworu. Pierwiastkowo był zamiar ułożenia libretta w języku białoruskim, lecz zamysł ten następnie poniechano. Mylnie jednak Kraszewski we wspomnieniu pośmiertnym o Kondratowiczu przytacza czworowiersz białoruski jako początek jednego ze śpiewów tej opery. Jest to początek utworu lirycznego pisanego jeszcze w Załuczu w r. 1848. Podobnie mylnie był poinformowany Kraszewski co do urywku 2-go aktu *Bohdana*, kiedy go ze słusznym powątpiewaniem podawał za przeróbkę *Ułasa*. Ową cząstkową przeróbkę dajemy w obecnym tomie p. t. *Marko*.

STR. 291. Natura wilka wyciąga z lasu.

Drukowano raz pierwszy w osobnej broszurce p. t. *Natura wilka wyciąga z lasu, monodramat wierszem, z dodaniem garstki nowych poezyj*. Wilno, nakład Rafałowicza 1860.

STR. 301. Marko.

Ogłaszamy z rękopismu. Jest to początek następnie zaniechanej przeróbki własnego poematu Kondratowicza *Ulas* na dramat. Akcję przeniósł autor z czasów wojny 1812 w czasy konfederacji barskiej, wprowadził Karola Radziwiłła „panie kochanku“, zmienił imiona osób występujących w poemacie, ale zresztą główna osnowa miała pozostać ta sama.

KONIEC TOMU PIĄTEGO.

SPIS RZECZY W TOMIE V.

UTWORY DRAMATYCZNE.

Hrabia na Watorach	3
Kalejdoskop jarmarkowy	55
Franciszek z Assisu	71
Kasper Karliński	87
Wiejscy politycy	138
Wyrok Jana Kazimierza	260
Bohdan	275
Natura wilka wyciąga z lasu	291
Marko	301







Biblioteka WSP Kielce



0194389